

POMERANIA[®]

9

Miesięcznik społeczno-kulturalny Wrzesień 1995

Cena 2 zł / 20 000 zł



Indeks 371939 PL ISSN 0238-9045

Pytania Kaszubów do kandydatów na prezydenta RP

**Ród
Janków**

Ukraińcy na Pomorsce

Ostatnia rozmowa z księdzem Gruczą

List otwarty
Prezydium Zarządu Głównego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
do kandydatów
na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej:

Hanny Gronkiewicz-Waltz
Aleksandra Kwaśniewskiego
Jacka Kuronia
Waldemara Pawlaka
Adama Strzembosza
Lecha Wałęsy
Tadeusza Zielińskiego

Treść listu publikujemy na stronie 2

POMERANIA

Nr 9 (269) Rok zał. 1963

Séwnik 1995



Ryszard Ciemiński	Gręcza	3
Brunon Synak	Kaszubszczyzna i szkoła	12
Jan Lipuski	Sześć pokoleń rodziny Janków	14
Bolesław Jażdżewski	Kóńtopsczie Jezoro	18
Erwin Kruk	Z mazurskiego brulionu Edward, brat Karola	18
Roman Drozd	Osadnictwo ludności ukraińskiej na Pomorzu Zachodnim w latach 1947-1950	20
Bożena i Stanisława Miechowicz	Z Kraju Klonowego Liścia	23
Józef Borzyszkowski	Brat Zdzisław Jażdżewski	28
Kalina Gumowska-Zabuska	Dwie tradycje, jeden wątek	30
Małgorzata Pieniek	Zamek Bierzgowski	32
Jerzy Treder	Wersja kaszubska pieśni „Idzie żołnierz borem, lasem”	33
s.j.	Henryk Hewelt nie żyje	37
Jan Zbrzyca	Teskný świat	38
	Recenzje	40
	Klęka	42
Kow.	Informacje regionalne	52
Bogna Jakubowska	Przeszłość pięknem znaczone Symbolika Złotej Bramy (II)	54

Zapukałem do drzwi domu, w którym znalazł ci-
chą przystań wiele lat po tym, jak usłyszałem o
nim po raz pierwszy. O wiele za późno, by towa-
rzyszyć mu w jego życiowej, kaszubskiej drodze,
w sam raz jednak, by spróbować opisać to jego dłu-
gie, niezwykle życie.

Gręcza, s. 3

„Moja mama mówi, że nie należy wstydzić się swo-
jego pochodzenia. Sama jest Kaszubką, a zdobyła
wykształcenie. Myślę, że gdybym jeszcze umiał pi-
sać w języku kaszubskim, to czułbym się pewniej.
Tego jednak powinna koniecznie uczyć szkoła - od
pierwszej klasy”.

Kaszubszczyzna i szkoła, s. 12

W drugiej połowie czerwca 1947 roku Departa-
ment Osiedleńczy Ziemi Odzyskanych wznowił wy-
syłanie transportów z ludnością ukraińską na Po-
morze Zachodnie. Pierwsze transporty zaczęły
przybywać do województwa szczecińskiego 25 czer-
wca.

Osadnictwo ludności Ukraińskiej..., s. 20

Na okładce:

Bartłomiej Milwicz „Pożar Długiego Targu”, olej na desce, ok. 1656 r.
Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Gdańsku. Fot. Ryszard Petrajtis

Numer wydano dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki

Wydawca: Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Adres redakcji: Straganiarska 20-22, 80-837 Gdańsk, tel. 31-90-16, 46-27-23, fax 46-26-13
Konto: BG IV Oddz. Gdańsk 301817-664390-132

Redakcja: Stanisław Janke, Cezary Obracht-Prondzyński (redaktor naczelny),
Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Jan Misiek (opracowanie
graficzne), Ewa Judycka (korekta), Zbigniew Wulczyński (skład).

Kolegium: Eugeniusz Gołąb, Jerzy Kiedrowski, Kazimierz Ostrowski, Maria
Pająkowska, Wiktor Pepliński, Jerzy Samp, Brunon Synak,
Edmund Szczesiak

Druk: Drukarnia Wyższego Seminarium Duchownego „Bernardinum”,
pl. Mariacki 7, 83-130 Pelplin

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów.
Prosimy o przekazywanie materiałów na dyskietkach.

**Prenumerata „Pomeranii” w kraju w drugim półroczu
wynosi: 12 zł / 120 000 starych zł; (legz. 2 zł / 20 000 starych zł);
za granicę: 36 zł / 360 000 starych złotych**

Gdańsk, dnia 4 września 1995

Wielce Szanowna Pani, Szanowny Panie

Zwracamy się do Pani, Pana jako kandydatów na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w imieniu członków Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Zrzeszenie jest organizacją społeczno-kulturalną, skupiającą Kaszubów i Pomorzan oraz tych wszystkich, których jednoczy potrzeba działań, zmierzających do wszechstronnego, tak duchowego, jak ekonomicznego, rozwoju naszej małej ojczyzny – Kaszub i Pomorza, jako integralnej części Rzeczypospolitej. Możemy poszczycić się sporym dorobkiem prawie czterdziestoletniej pracy dla dobra regionu. Dorobek ten jest, przede wszystkim, efektem autentycznego zaangażowania i zbiorowego wysiłku członków, którzy obecnie w liczbie ponad 6 tys. działają w 69 oddziałach na terenie 7 województw Polski północnej oraz w Warszawie.

Zrzeszenie tworzą ludzie o różnych orientacjach politycznych, kierujący się w swojej działalności publicznej zasadami wywiedzionymi z uniwersalnych wartości kultury chrześcijańskiej i europejskiej.

Oczekujemy od prezydenta RP, że będzie on, w ramach przysługujących mu uprawnień konstytucyjnych, czynnikiem stabilizującym scenę polityczną, łagodzącym spory i budującym klimat porozumienia społecznego.

Nie popieramy określonego kandydata na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Pragniemy jednak umożliwić naszym członkom i sympatykom oraz całej społeczności regionalnej poznanie stanowiska kandydatów w dwóch podstawowych sprawach, które uznajemy za zasadnicze, tak dla naszej kaszubsko-pomorskiej wspólnoty, jak również w szerszym wymiarze, dla Polski. Stąd prosimy o udzielenie odpowiedzi na poniższe pytania.

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie od początku swego istnienia dążyło do odtworzenia samorządu lokalnego oraz udzielało wsparcia inicjatywom zmierzającym do decentralizacji władzy państwowej. Dlatego skutecznie i z ogromnym zapałem członkowie Zrzeszenia włączyli się w zapoczątkowany w 1990 roku proces reformy samorządowej. Podobnie jak inne środowiska i organizacje regionalne niepokojem napawają nas opóźnienia oraz zahamowania w jej realizacji. Byliśmy i jesteśmy przekonani, że tylko głęboka reforma samorządowa ugruntuje w obywatelach poczucie odpowiedzialności za los wspólnot lokalnych i przyczyni się do najlepszego wykorzystania istniejących środków, stając się tym samym fundamentem pomyślności całego kraju.

Jaki powinien być zdaniem Pani, Pana ostateczny kształt ustroju terytorialnego państwa?

Jakie kompetencje, wraz z jakimi środkami, powinny być zastrzeżone dla centrum, a jakie przekazane niższym jednostkom, w tym samorządowym?

Czy jest Pani, Pan zwolennikiem utworzenia dużych samorządowych regionów, w tym Pomorza Nadwiślańskiego, w ramach którego Kaszubi znaleźliby się wreszcie w ramach jednego organizmu administracyjnego?

Kaszubi są specyficzną kulturową grupą etniczną, która zachowując głębokie przekonanie o swojej odrębności, deklaruje przynależność do narodu polskiego. Kaszubi, niejednokrotnie boleśnie doświadczeni wzgardą, nieufnością i szykanami administracyjnymi są świadomi swego trwałego zakorzenienia w dziejach Pomorza i Polski i pragną zachować swoją tożsamość kulturową. Uważają, że swoim istnieniem w sposób istotny wzbogacają Rzeczpospolitą.

Co należy zdaniem Pani, Pana uczynić, aby Kaszubi mogli zachować i rozwijać swoją odrębność, wyrażającą się w języku, obyczajach i systemie wartości?

Z góry dziękując za odpowiedź, byłibyśmy bardzo zobowiązani za jej nadesłanie do 25 września br., gdyż pragniemy rozpowszechnić ją wśród naszych członków i sympatyków.

Prezes
Zarządu Głównego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Jan Wyrowiński

Saga ta, pokazująca drogę życia ks. Franciszka, spisana została na początku lat 90. Autor wykorzystał przede wszystkim relacje ks. Franciszka Gruczy, stąd ma ona często charakter subiektywny. Wiele wątków nie zostało rozwiniętych, już pewnie nie zostaną wyjaśnione – ks. Grucza zmarł 22 kwietnia 1993 roku. *Red.*

GRĘCZA

Ryszard Ciemiński

– „Jô jem Kaszëba” – tak powiada o sobie, w którejś godzinie rozmowy, w swojej księżowskiej, sopockiej pustelni.

Zapukałem do drzwi domu, w którym znalazł cichą przystań wiele lat po tym, jak usłyszałem o nim po raz pierwszy. O wiele za późno, by towarzyszyć mu w jego życiowej, kaszubskiej drodze, w sam raz jednak, by spróbować opisać to jego długie, niezwykle życie.

Długo przymierzałem się do tego tematu czując, że nie zupełnie jestem do niego przygotowany. Po raz pierwszy odwiedziłem ks. Gruczę w 1988 roku. Drzwi otworzył mi mężczyzna o energicznych ruchach, sportowej, rzec by można, sylwetce. Poprowadził do swego mieszkania na piętrze, gdzie w dwóch pokojach żyje i pracuje.

Wiedziałem: trafiłem do miejsca, gdzie Kaszuby są tak odczuwalne, że niemalże dotykalne.

Tutaj, w Sopocie, przez wiele lat proboszczował. Teraz zaś, jak sam o sobie powiada, przebywa tutaj, za łaskawym przyzwoleniem władz kościelnych na starkowiznie.

Dwa pokoje wypełnione po brzegi księgami – teologicznymi i o kaszubskiej tematyce. Na ścianach portrety przodków, a na naczelnym miejscu Floriana Ceynowy, duchowego przywódcy kaszubszczyzny, i wyobrażenie gryfa – symbolu tej ziemi. Wręcz fizycznie odczuwam, trudny do nazwania, nastrój kaszubskiej dawności, która tutaj przetrwała i jest w sposób tak bar-

dzo twórczy kontynuowana. Na telewizorze stosik fotografii. Przyglądam się im: Stefan Bieszk w sędziwym wieku, filuterne oblicze Aleksandra Labudy, otwarta twarz Jana Trepczyka. I podobizna Feliksa Marszałkowskiego, z którym ks. Grucza przyjaźnił się do ostatnich dni, i Jana Rompskiego. Wszystkich ich łączyła jedna i ta sama sprawa – kaszubska. Powołali w 1929 roku w Kartuzach Zrzeszenie Regionalne Kaszubów, a w 1933 pismo o nazwie „Zrzesz Kaszëbsko”. Po wojnie raz jeszcze zerwali się do lotu. Nie na długo jednak.

Na biurku Biblia w wersji łacińskiej, liczne słowniki. I maszyna do pisania, w którą wkręcona jest kolejna kartka tłumaczenia na język kaszubski.

Ponownie patrzę na wiszące obrazy. Wyluskuję czerstwą twarz starego człowieka.

– To mój tatka – uprzedza moje pytanie. – W swym życiu miał się wielu zajęć. Trudnił się też handlem. Pamiętam przedgwiadkowe ojcowe wyprawy furą z choinkami na targ do Gdańska. Z Gowidlina był spory kawał drogi. Już pod Gdańskiem czekali na takich jak on, Kaszubów, kupcy, by te choinki kupić po niższej cenie. W samym Gdańsku były już dużo droższe. Nie raz udawało im się przedrzeć przez tę naturalną zaporę i dotrzeć na Kaszubski Rynek – Kaschubisches Markt. Jednego roku okazało się, że choinek jest zatrzęsienie. By nie wieść ich z powrotem taki szmat drogi, porzucali je, gdzie

się dało, byle by Szupō – gdańska policja tego nie widziała. Te bezpańskie drzewka na ich oczach zbierała biedota.

Ojcowizną ojca, Jana Gruczy, ożenionego z Martą z Flisykowskich, była wieś Żukowo.

– Ojca starszy brat, Jakub i siostra Marianna spoczywają na żukowskim smętórzu. Strony matki bliżej są Sianowa oraz Chmielna. Drędzi ze starków, Antoni Flisykowski, bëlным bël mularzem. Starka moja po kądzele, rodzonô bęła w 1843 roku i so nazëwała Hinka. To może bęc, że z Heniem Hincem jô jem krewny. On tu bël u mie, wiele mę gôdalë. On, bęli marksista, jô, ksądz. Më so rozumielë. Możece mu dac ten obrazk Swjônowszi Panienci, Kaszëbszi Krôlëwni?

Czemuż by nie? Po drugiej stronie tego obrazka odczytałem później wiersz mego gospodarza, zatytułowany, właśnie: „Swjônowskô Panjienka”.

Swjônowskô Panjienkô cëdnô,
Matinką jes nama wjëdno.
Că kaszëbską naj krôlëwą,
Czestnijmë rodną naj mówą.

Marija.

W Swjônowie w naj swjätim môlu,

Wszëtce Kaszëbj Că chwôlą.
Dôj nóm znądka njesc do chëczy,
Czëstë sërca swjätim zwëczy.

Marija.

Jak są w jezorach ú nas tú,
Njëbô przezërô môdrastë,
Tak w naj sërcach Twoje ókô,
Njëch úzdrzi njëbjeszczim pókôj.

Marija.

Wszystkie informacje, które zostały w tym artykule wykorzystane, zostały wzięte z archiwum rodziny Gruczów. Wiele z nich nie zostało wcześniej opublikowanych. Autor wyraża nadzieję, że ten artykuł przyniesie trochę radości i przypomnień. Autor wyraża nadzieję, że ten artykuł przyniesie trochę radości i przypomnień.



Repr. Edmund Kamiński

Rodzina Gruczów w Gowidlinie. Po prawej, obok matki, stoi Franciszek, za nim dziadek i ojciec. Fot. z 1917 roku

Matinkó naj, prosim Cebje
Bógóstawjé lúd i mówje,
Bě rodnô naj mowa nje kwjitła
Starków wjara nje zanjikwja.

Marija.

Jak ters w Swjónowie, tak w njebie,
Chcemě Bóga rôz Cebje,
Chwólec z anjołmi na wjeczi,
Do ne prosim Twé ópjeczé.

Marija.

– Starka moja, gdy tylko chciała się komuś pochwalić – a który to człowiek nie jest choć odrobinę próżny – zwykła mawiać: „Mój chłop to bęł koescelny mulorz. Czej w Żukowie w koescle robjół, to na linach we wjöldzi czipie podcygele go pod posowę i tak mularską robotę sprowjół. Ślady tej jego majsterskiej roboty jeszcze dziś można oglądać w kapliczce w Pomieczyńskiej Hucie.

W tej Pomieczyńskiej Hucie ksiądz Franciszek urodził się 19 listopada 1911 roku. Już w rok później całą rodziną przenieśli się do Gowidlina, gdzie Jan Grucza wykupił z rąk Żyda Wolgemut-ha wielką karczmę.

U Gruczów co rok to prorok...

– Ostatnią życiową posługę czynię całemu memu bez mała rodzeństwu. W roku 1988 w Steganie pochowałem brata Leona. Miał 83 lata. I brata Brunona, w tym samym mniej więcej czasie. Jemu było lat 87. Na gowidlińskim cmentarzu spoczywają rodzice. Ojca miałem przy sobie w Sopocie, do ostatnich jego chwil. Doczekał 82 lat. Matka zmarła z wojennych zgrzyzot, nie doczekawszy jej końca. Sporo wiekowych ludzi było w naszej rodzinie. Wszystkich ich, bo i brata Klemensa, organistę, zmarłego w wojsku w roku 1938,

i siostrę Gertrudę, gospodarzącą mi przez lat kilkanaście, przygarnął gowidliński cmentarz. W Sopocie spoczywa brat Robert, maszynista kolejowy, stary sopocianin, jeszcze sprzed 1920 roku. Zmarł w wieku 80 lat, w roku 1984. Najstarszy z braci, Władysław, spoczywa na cmentarzu w Słupsku...

Rzuca te wszystkie słowa, daty, widocznie dla niego ważne, zakładając zapewne, że w tej gęstej rodzinnej materii nie uda mi się połapać. Próbuje więc wszystko spisać i zapamiętać; wszystkie te rodzinne wątki nabierają znaczenia.

– Ojciec miał duszę rybaka. Wywodził się z gburstwa, do którego należało jezioro „z pięknych najpiękniejsze”, przy którym wzrastał, które znał w każdym metrze jego głębizny. Już mając 82 lata, zbudował sobie długą wyma-



„Z moich premiejów 6 VI 1939. Przed chęcą Greczów w Gowidlénje. Od lewa: Fel. Marszółka, Jô, Pral., Mestwin Majkowski, Ks. Pral. Bjeszk, Ks. Dr Hajke, Janész Rompszi”

rzony, w myślach wyteśkniony, czóln. I wypłynął nim na toń „swego” jeziora. Ta jego wyprawa, starka już przecie, miała w sobie moc spełnionego zaklęcia.

Za Żukowem, już po minięciu Boro-wa, pod ścianą lasu, z prawej strony mija się jezioro Karlikowo. Zaraz za nim znajduje się inne jezioro – Sętno. To ono właśnie podchodzi pod gburstwo Gruczów. Ich tam już dziś nie ma. Tam rybaczył, od dziecka prawie, mój ojciec. Gburstwo przejęła ojцова siostra, Marychna, która wyszła za mąż za Fularczyka. Po urodzeniu jednego z dzieci zmarła. Wtedy Fularczyk ożenił się po raz drugi i dzieci z tego małżeństwa dziedziczą dziś Gruczów gburstwo.

Franciszka Gruczę rodzice posłali do wejherowskiego gimnazjum. Solidne, z czerwonej cegły, popruskie gmaszys-

ko. W latach dwudziestych jego dyrektorem był prof. Wilhelm Urbanicki, znakomity latynista, krakus. Całe zresztą grono pedagogiczne wywodziło się z południowej Polski. Z jednym wyjątkiem – francuskiego uczyła Maria Kręcka, siostra dr. Franciszka Kręckiego.

Szkolnym kolegą przyszłego księdza był Abdon Stryczek, późniejszy prof. Stryszak (nazwisko swoje zmienił w czasie wojny, gdy mu gestapo na pięty następowało), prof. Karol Gołębiowski, posiadacz przez wszystkie szkolne lata znakomitego świadectwa oraz tzw. złotego pierścienia za postępy w nauce, Daniel Szyca, znakomity sportowiec, księża prałaci Józef Bigus i Antoni Liedtke, a także prof. Gerard Labuda i bracia Roszczynialscy. Proboszcz Edmund Roszczynialski prowadził, po

ks. Walentym Dąbrowskim, pielgrzymki – jedną polską, drugą niemiecką – z Oliwy na wejherowską Kalwarię.

– Miałem ten honor, iż po wojnie po ks. Roszczynialskim przejąłem tę pielgrzymkę. Pierwotnie jej trasa wiodła przez Gdynię – ulicą Świętojańską – dalej przez Chylonię, Rumię, Redę do Wejherowa. Po wojnie jednak trasa pielgrzymki, zwanej oliwską, została zmieniona. Prowadziłem ją przez 33 lata, aż do roku 1979. Wówczas szło się z omińnięciem miasta, tak by nie wadzić nikomu. Od Bractwa św. Krzyża w Oliwie przez Chwaszczyno, Kielno, Szemud do Wejherowa.

Do grupy przyjaciół z okresu wejherowskiego gimnazjum zaliczy nadto ks. Grucza Torlińskich z Wielkiej Wsi – sześciu braci – i jeszcze Klemensa Wického, żołnierza Armii Krajowej; zginął na szafocie w berlińskim Moabicie.

W gimnazjum był czas, by z pasją oddać się teatrowi. Zagrali – pod czujnym okiem reżysera, pani Kręckiej, sztukę Bernarda Sychty „Gwiazdka z Gduńska”.

Maryla Łebińska z Kartuz zagrała w niej główną postać kobiecą. Stryczek namalował obraz olejny, przedstawiający scenę z tej sztuki. Faksymile tego obrazu posiadam w swoich zbiorach.

Wakacyjne powroty do Gowidlina.

W ojcowej oberży, w jej największej sali, w latach 1934-39 grywano kaszubskie przedstawienia. On, przyszły ksiądz, był ich siłą sprawczą. Zawsze go bowiem do teatru ciągnęło. Ta sala, udekorowana specjalnie wymalowanym Gryfem, przyozdobiona girlandami, stała się miejscem uroczystych obchodów jego księżowskiej prymicji w roku 1939. Zjechało grono oddanych mu przyjaciół. Koledzy Zrzesińci wydali własnym sumptem wspólny tomik – wierszy, wspomnień – dedykacji ks. Franciszkowi na pamiątkę.

W którym momencie pociągnęło go do pisania po kaszubsku? W młodości poznał Aleksandra Majkowskiego. To spotkanie zaciążyło na jego życiu. Stał się gorącym rzecznikiem idei kaszubskiej. Zaczął od opowiadań. „Svjeto wumarlich”, tak nazywało się pierwsze z nich. Opublikował je, w mirachowskiej jeszcze „Zrzeszë Kaszëbsczë” w roku 1935. Życzliwe uwagi przekona-

ly go bez reszty do pisania. Następne opowiadanie jest, jak napisał Ferdinand Neureiter w „Historii literatury kaszubskiej”: „Namiętym wyznaniem przynależności do kaszubskiej ojczyzny”. Kolejne: „Jastrowi zwoně” – dużo bardziej od poprzednich narracyjne i fabularyzowane – „Gwiōstka”... Zebrało się ich wcale nie mało.

Ideologicznie ciągnie go do „Zrzeszë Kaszëbsczi”, do Zrzeszinców.

Aleksander Labuda, rocznik 1902. „Ten to miał talent publicystyczny i literacki! A jaki zadzierzasty! Aspiracje posiadał przywódcze”.

Jan Trepczyk, rocznik 1907. „Dużo łagodniejszego od Labudy usposobienia. Za to talent literacki jak gdyby wszechstronniejszy”. Prócz literatury, stale kokietował Terpsychorę. To właśnie z Trepczykiem tak się Grucza – zwłaszcza po wojnie – zaprzyjaźnił.

Sanacyjne Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego posądziło Trepczyka i Bieszkę o separatyzm i wysiedliło poza Kaszuby. Trepczyka do Rogoźna w Wielkopolsce, Bieszkę do Zamościa. Trepczyk zresztą odnajdzie się w sposób swoiście kaszubski – w drukarni Kaszuby Formelli w Rogoźnie opublikuje swój... śpiewnik kaszubski.

Jan Rompski, rocznik 1913. Przyszły „gryfowiec”, kaszubski partyzant. „Nieprzeciętna umysłowość. Talent zarówno literacki, jak i naukowy. W dramatach swoich wykorzystał olbrzymią wiedzę historyczną”. W większości do dziś nie opublikowane. Po wojnie, podejrzany o separatyzm, zagrożony był aresztowaniem.

Stefan Bieszk, rocznik 1895. Reprezentant potężnej duchowo i intelektualnie rodziny Bieszków. Ferdynand Bieszk, ojciec Stefana, za czasów pruskich wyładował w wydawnictwie Herdera we Fryburgu, nie z własnej zresztą woli. Brat Stefana, to ks. prof. Kazimierz Bieszk – przez wiele lat wykładowca gimnazjalny, a także w Seminarium Duchownym w Pelplinie. Historyk z wykształcenia.

Feliks Marszałkowski, z rocznika 1914. Niegdyś sekretarz dr. Aleksandra Majkowskiego i jego przyjaciel. Redaktor „Zrzeszë” od 1936 do wojny.

– Jakąż mądrą miał Feliks matkę! Przepiękna postać! Moja matka, podobnie jak Feliksa, też stawiała po mojej stronie w politycznych sporach z ojcem, wielkim sympatykiem endecji. „Dōjże tē knōpkowi pokój, on ju wie, czego chce” – wtrąciła się raz do naszej kłótni.

Na Pomorzu endecja mocno się okopała. A że kaszubskich głosów w sejmie potrzebowała, kokietowała mieszkańców tej ziemi na sobie właściwy sposób – poprzez Kościół. Raz w trakcie zebrania endeków w gowidlińskiej karczmie Gruczów doszło nieomal do strzelaniny z bojówkami strzeleckimi BBWR: „Tam szło wnetk z krekwiama na karabině”. Ojciec, wprowadzając nie we wszystko, co przychodziło ze stolicy wierzył, na co dzień był po prostu Kaszubą – dla syna jednakże było to o wiele za mało. Pragnął świadomej kaszubskości. Zamarzył sobie wzbogacenie jej dorobku o nowe wartości i przemyslenia. Być może ta właśnie okoliczność skierowała go na studia teologiczne do Pelplina? Tutaj wśród przyszłych księży Kaszubów nie brakowało. Była więc możliwość rozmawiania także i „po naszymu” o kaszubszczyźnie.

Wojna. Wokół konspiracja, oni jakby w jej ramach, organizowali w Gowidlinie coś na wzór „wieczorów literackich”. Słuchali kompozycji Trepczyka, wierszy Rompskiego, czytali opowiadania Gruczy, a także kaszubskie listy Brunona Richerta, pisane z Warszawy oraz Kielc, gdzie ten schronił się w seminarium duchownym. Na jednym z takich spotkań był Aleksander Labuda i młodziutki syn Aleksandra Majkowskiego – Mestwin, zabity później w mundurze niemieckim. Miał być spadkobiercą ojcowej, kaszubskiej tradycji. Nie zdołał...

Atmosferę tamtych „wieczorów” wspomni, już po wojnie, na łamach wejherowskiej „Zrzeszë”, Jan Rompski: „na jednym z takich »wieczorów« z udziałem Jana Trepczyka, Feliksa Marszałkowskiego, gospodarza, ks. Gruczy, i moim zapadło przyrzeczenie »wzmocniłi tworzni«”.

Z Majkowskim spotykał się Franciszek Grucza wielokrotnie. Oto jedno z

nich. Ferie roku 1937. Grucza udaje się do Torunia, by pozyskać ubiory do sztuki „Hanka sę żeni” Bernarda Sychty, którą młodzi zapragnęli wystawić na kartuskiej scenie. Koło Studentów Kaszubów wyznaczyło sobie zjindzienie w Kartuzach. Kleryk Grucza idąc do domu pp. Kolków, z którymi wspólnie „mejsrowali” przy „Hance”, odwiedził pisarza. Od progu zaznaczył, iż pragnie zatelefonować do Roberta i Brunona Kolków, którzy czekają, by dowiedzieć się, co też załatwić zdołał w Toruniu. Podniósł słuchawkę, zaczął mówić po kaszubsku. Pisarz się wzruszył: „Synku złoty – rzekł mu – że wa, młodo inteligencjō, ze sobą po kaszëbsku gōdōta, mdżë wama Pan Bóg w kaszëbiznie błogōsławił”. Opowiedział to zdarzenie przyjaciółom. Znalazło ono później odbicie w wierszu Trepczyka „Duch Majkowskiego”.

Premiera sztuki Sychty. Kleryk Grucza był jej reżyserem. Odbyla się w sierpniu 1937 roku. Sala przepelniona, wielu chętnych nie dostało się do środka. Wśród zaproszonych był także Majkowski. Po przedstawieniu Sychtę wywołano na scenę. Była okazja, by przemówić po kaszubsku. Nie uczynił tego. Powiedział za to coś o „podwórkowym patriotyzmie młodzieży”, biorącej udział w spektaklu. Majkowski, na znak protestu, wstał i zaczął przeciskać się do wyjścia. Z powodu ścisku, w połowie drogi, przystanął. Było to w momencie, gdy na scenę wywołano reżysera. Grucza przemówił po kaszubsku, co w znacznym stopniu rozładowało atmosferę wywołaną „uniwersalnym” przemówieniem Sychty. Widzowie, powstawszy z miejsc, bili brawa, a reżysera podrzucali pod sufit. Po spektaklu Majkowski powiedział Gruczy: „Gdyby nie twoje, młody księże, odezwanie się po kaszubsku, cały wysiłek i morale, które w ten przepiękny spektakl włożyliście, byłyby daremne”.

Majkowski... Nie ustępuję w indogowaniu ks. Franciszka o tę postać.

– Wspaniała osobowość – odrzeknie. – Wywierał znaczny wpływ na swe otoczenie. Niewiele mówił. Tylko się na niego patrzyło, chłonoło się go. On również miał w zwyczaju chłonoć człowieka.



„Jó jem Kaszëba”

Po jednym niezwykczym, bo odświętnym spotkaniu z dr. Majkowskim, pozostała mu pamiątkowa fotografia. Na ławce siedzą: Majkowski, jak zwykle elegancki, w białych spodniach. Obok niego, w pumpach, Stefan Bieszk, po jego zaś lewej ręce ks. prałat Kazimierz Bieszk. Za ławką stoją przyjaciele: Feliks Marszałkowski i Franciszek Grucza.

„Zrzesz Kaszëbskô”. – Pieniądze na tę gazetę miało się... To temat na opowieść kolejną. Pierwsza żona Jana Trepczyka, Aniela, siostra Jana Rompskiego, gdy zabrakło pieniędzy na wydawanie „Zrzeszy”, po prostu zgarnęła z podwórza kury, poszła z nimi na targ i sprzedawała co do jednej. Rzec więc można, iż cały swój kapitał utopiła w „Zrzeszy”...

Studia w Pelplinie. Grucza nie zrywa z „Zrzeszą”. Publikuje tam nadal artykuły i opowiadania. Podtrzymuje przyjaźnię. Na prymicję do Gowidlina przybywają niemalże wszyscy. „Szczególny Panie” – pisał 29 maja 1939 roku Jan Karnowski do Feliksa Marszałkowskiego – (...) odebrałem zaproszenie od ks. Gruczy i Rodziców jego na

uroczystość prymicji w Gowidlinie 6 VI 39. Jeśli będzie pogoda i zdrowie nie zrobi mi psikus, to przybędę, gdyż taka okazja kaszubskich uroczystości drugi raz tak łatwo się nie zdarzy. Może Sz. Pan wie, czy ks. Grucza posiada pisma Ceynowy? Chcę mu bowiem coś sprezentować, a mianowicie chcę mu posłać następujące dzieła: »Skôrb I«, »Cztery rozprawy i jedna szetopórka«, »Dwie rozprawy o poddanych Królestwa Polskiego«, »Książeczka dla Kaszëbów«, »Pjinc głównich woddziałów katechizmu«. Powyższe 5 rzeczy są związane w jednym tomiku i chętnie bym ten tomik ks. Gruczy ofiarował, zwłaszcza że mam jeszcze drugi egzemplarz. Sądję, że sprawi mu to miłą niespodziankę. Proszę, niech Pan mi napisze, o ile możliwości, szybką informację. Serdecznie Pana pozdrawiam. Jan Karnowski”.

Karnowskiemu widocznie pogoda uczyniła „psikus”, skoro na prymicję nie przybył. Zabrakło też na niej niezującego już od roku Majkowskiego. Przybyli za to pozostali dręszce spod znaku „Zrzeszy”. Na pamiątkowej fotografii

są obecni: Marszałkowski, ks. prałat Bieszk, ks. Leon Heyke, Rompski.

Wybuch wojny przerywa najlepsze lata ich – Zrzeszyńców – literackiego i ideowego rozwoju. W 1939 roku Grucza ma 28 lat, Rompski 26, Trepczyk 32, Labuda 37 lat. Dopiero nabierali tempa.

Ks. Franciszka Gruczę wojna zastała w Piecach blisko Starogardu Gdańskiego, gdzie jest wikarym tamtejszej parafii. Aresztują go 18 października 1939 roku i osadzają w starogardzkim więzieniu. Był zakładnikiem, jak i 29 pozostałych więźniów: lekarzy, adwokatów, kupców, rzemieślników. I on, ledwo co wyświęcony ksiądz. Innych księży wywożono do Szpęgawka, gdzie odbywały się masowe egzekucje. Jego uratował w tych pierwszych tygodniach wyjazd do Gowidlina. Po powrocie do Piec natychmiast został aresztowany. W sukurs przyjechał mu ojciec. 8 grudnia, w święto Niepokalanego Poczęcia N.M.P., ks. Grucza rozpoczyna w więzieniu nowennę do Matki Boskiej Sianowskiej, której obrazek prymicyjny przemycił do więzienia.

Powierzył swe sprawy Bogu. Ojciec natomiast próbuje innych sposobów wydostania syna z tego piekła. Nie udało się. Dowiedział się jednakże, że dobrze jest w takich wypadkach wykazać się, że było się poddanym pruskiego króla. Kaszuba z dziada pradziada staje przed diabolicznym niemal dylematem. Spod ziemi wydobywa stare papiery, udowadniające, że w roku 1890, jako poddany króla pruskiego, był wojskiem w Gdańsku. Przychodzi z nimi do Amtskomissar. Nie zastaje go, jest za to ziomek. „Jô to wama podsztampluję” – rzekł ów krajan. Z tym dokumentem ponownie wybrał się Grucza – senior do Starogardu. Siła argumentów ojca oraz papiery uczyniły cud. 22 grudnia syn Jan Grucza był na wolności.

Już na miejscu, dowie się o losie okolicznych księży. Zabity został też proboszcz Gowidlina. Do ks. Gruczy przychodzą wierni, by odprawił im mszę św. Jakżesz to była niezwykła, wigilijna msza! Pamięta, że na skutek wzruszenia ledwo był w stanie ustać. Kościół wypełniony po brzegi wiernymi z Gowidlina i z okolicznych wsi. Modlili się i płakali na przemian. Czytał liturgię mszy św., Bogu dziękując za swoje ocalenie. Wraz z nim czynili to wierni.

Wciąż się do działań konspiracyjnych – w partyzantce „Gryfa Kaszubskiego”, później „Gryfa Pomorskiego”. Jest jednym z jego kapelanów. Przysięgał na różaniec oraz krzyż. Gdy zaś w maju 1943 roku gestapo zaczęło deptać mu po piętach, zbiegł do prałata Bieszka do Bawarii.

Przez całe Kaszuby szła wówczas potężna akcja eingedeutschowania miejscowej ludności, pod groźbą wysiedlenia i Stutthofu.

Powraca na Kaszuby. Na powrót wciąga się w wir kościelnej oraz konspiracyjnej pracy. Niespodziewanie, rano 21 czerwca 1944 zostaje aresztowany w gowidlińskiej plebanii. Tego dnia zatrzymano i uwięziono około 100 osób z Gowidlina, Sierakowic, Parchowa, ze Stężycy i z Sulęcyna. Droga przez Kartuzy powieźli ich do Stutthofu.

W życiu ks. Gruczy zaczyna się okres duszpasterstwa obozowego. Tajne msze św., komunie, spowiedzi, pomoc chorym, oczekującym na śmierć. Do spo-



Fot. Edmund Kamiński

Ks. Grucza na Wejrowszczy Radnice. 1992

wiedzi przychodzili też Żydzi. Jakiś młody Żyd, który przeżył obóz dzięki pomocy księdza, na pożegnanie przyniósł mu, co miał najcenniejszego – pusty portfel. „Do dziś go przechowuję”.

Z kolei dr. Finkelstein, starzec, cudowny człowiek, jako lekarz pomógł księdzu. Przeżył obóz, gdyż Niemcy widzieli w nim dobrego lekarza. I tak bywało...

W końcowym okresie pobytu w obozie ks. Grucza przebywał na bloku 13A. Zajmował środkową prycę. Dolną właśnie dr. Finkelstein, a górną Norweg. Pewnej nocy Norweg zaczął zachowywać się niespokojnie. Doktor stwierdził u niego tyfus plamisty, wszawy. Wystarczyło, że jedna wesz spadła by na leżącego poniżej księdza i zakażenie gotowe. Dr. Finkelstein poradził: „Niech ksiądz postara się o zastrzyk Weigla”. Poratował go dr Janicki, dysponujący zastrzykiem przeciwtyfusowym. Po okresie inkubacji choroby ks. Grucza powrócił do posługi kapłańskiej. Miał komunikanty, wino mszalne, oleje święte, a także niemiecki mszalik, podarowany przez gdańskiego biskupa Splet-

ta, który przemyciły siostry zakonne. W obozie przebywali też Litwini. Cieszyli się u służby obozowej pewnymi względami. Mieli prawo swobodnego poruszania się po obozie. W baraku u siebie urządzili stolik, który posłużył jako ołtarzyk. Wachmani niezbyt w tym przeszkadzali; starali się nie dostrzegać ks. Gruczy. Im zresztą też kilka razy odprawił mszę św.

25 stycznia 1945 roku zaczęła się ewakuacja więźniów z obozu.

– Ja szedłem w kolumnie bloku 9 oraz 13. Wyszliśmy przez obozową bramę w dzień Nawrócenia św. Pawła, 25 stycznia, punktualnie o godz. 12. Wyruszyliśmy co dwie godziny, kolumna za kolumną.

Pierwszą noc spędzili w Małych Cedrach, drugą w Pruszczu. Na trzecią noc byli już w Kolbudach oraz w Górnym Łapinie. Straszna to była noc. Z niedzieli na poniedziałek – w Żukowie. Groby 60 ofiar tego „marszu śmierci”, jak później zostanie nazwany przez potomnych, znajdują się na żukowskim przykościelnym cmentarzu oraz w Niestępowie. We wtorek dotarli do Kczewa

pod Przodkowem. Kolumny dziesiątkowały tyfus wszawy, dur brzuszny oraz straszny głód. Nocowali w stodołach, w których hulał zimowy wiatr, albo też w kościołach, jak choćby w Żukowie, Przodkowie, Pomieczynie, Łebnie, Strzepczu oraz w Luzinie.

Jeszcze przed wymarszem ks. Grucza napisał do rodziny list. „Czy ja dojdę, tego nie wiem, na wszelki wypadek, żegnam się z wami. Zostańcie z Bogiem, moi najbliżsi...”

W Kczewie pod Przodkowem udało mu się zbiec.

Kolumny wycieńczonych więźniów szły dalej. Jak miało się okazać, w stronę Łęborka. W kierunku Łowcza, Nawcza, Krępy Kaszubskiej, Gęsi, Gniewina (kobiety), w kierunku Żarnowca oraz Rybna. Wyginęło ich na tych etapach drogi krzyżowej około dwóch trzecich. Wszędzie dziś są tam groby. W samej Krępie – obejdzcie je ks. Grucza wszystkie po wielokroć – jest aż dziesięć masowych grobów. Gdyby nie akcja pomocy więźniom ze strony kaszubskiej ludności, zginęłoby ich o wiele więcej.

Ks. Franciszek Grucza:

– Uciekłem w Kczewie, nocą. Miałem przejść obok dużej stajni. Gdy wartownik na krótką chwilę oddalił się, przysnąłem. Chciałem zabrać ze sobą ks. Puca, lecz nie zgodził się. Wolał zostać w kolumnach. Szli wówczas ze mną ks. Bystron, dwaj księża Litwini oraz klerycy z naszej diecezji.

Był wolny.

Pierwsza po wojnie msza św. resurrekcyjna. Kazanie wygłosił po kaszubsku. Kościół pękał w szwach. Jest mocno wzruszony, gdy opowiada mi o tej chwili:

– Kiedy zaintonowałem „Chrystus zmartwychwstan jest”, Rosjanie, którzy byli na zewnątrz, zaczęli strzelać na wiwat. Ludzie w kościele popadli w popłoch. Serie z pepesz, pękające granaty, były dla nich szokiem. Rosjanie tłumaczyli się: u nas na Wielkanoc tak się zazwyczaj postępuje...

Procesję poprowadził wewnątrz kościoła. Do komunii św. przystąpili także rosyjscy żołnierze. Jak stali, bez spowiedzi. „Komunikanty rozdzielałem na drobne cząstki”.

22 lipca 1945 roku ks. Franciszek Grucza przeniesiony został do diecezji gdańskiej, do katedry oliwskiej. Wikariuszem w katedrze pozostanie do końca lipca 1946 roku. Wówczas to ks. infułat Wronka przeniósł go do Sopotu, w którym przed wojną nie było parafii katolickiej.

Szabrownictwo, rabunki, zawłaszczenia mienia należały tu do codziennego wręcz rytuału. Trzeba było bronić nie licznym miejscowym Kaszubów przed zachłannością przybyszów z rozmaitych stron kraju. Najczęściej chodziło im o mieszkania. Zarządzano eksmisję, od której nie było odwołania. Niejednemu Kaszubowi po swoim powrocie z wojny zastawał na drzwiach swego mieszkania odręcznie pisaną kartkę: „Zajęte przez członka partii...”

Niemalże wraz z przenosinami ks. Gruczy do Oliwy wskrzeszono w Wejherowie „Zrzesz Kaszëbską”. Jego nazwisko nie figurowało pośród członków zespołu, było natomiast obecne na jej łamach. Już w numerze 1-2 z grudnia 1945 roku w felietonie „Kształćmy się – uczmy się” tak pisał:

„W odradzającej się demokratycznej Polsce powstają szkoły, uczelnie najróżniejszego typu. Czy wszystkie zdadzą egzamin trwałości, okaże przyszłość. Jeśli chodzi o nasze kaszubskie tereny, winniśmy szkoły te, żeby tak powiedzieć, zaludnić naszą kaszubską młodzieżą, która niech się uczy i jeszcze raz uczy. (...)

Kaszubi, wykorzystujcie okazję, którą wam dają, i jak najliczniej posyłajmy naszą młodzież do szkół. (...) Gburzy Kaszubi! Nie skapcie dzieciom szkoły. Zwykle nas tak wiele w rodzinie. Winniśmy dać jednemu, drugiemu średnie i wyższe wykształcenie. Zakorzeniony pogląd, że dzieci nie potrzebują szkoły, jest błędny i szkodliwy. Córka twa, jak i syn, potrzebuje rozwoju intelektualnego i duchowego. Chociażby nic potem nie miała otrzymać w posagu, to ma już i tak wiele, skończywszy choćby tylko średnią szkołę. Wiedzmy, że mamy święty obowiązek wysyłać zdolne dzieci do szkół. Obowiązek wobec społeczeństwa naszego kaszubskiego, narodu i państwa”.

Jest pośród organizatorów Kongresu Kaszubskiego w 1946 roku. Głosi kazanie w wejherowskiej farze podczas uroczystej kongresowej mszy św. Zasiada w prezydium kongresu. Wspiera działania Brunona Richerta, Ignacego Szutenberga, Józefa Gniewcha, Jana Rompskiego, wielu innych.

Po raz ostatni jego nazwisko pojawia się w „Zrzeszy” 6 października 1946 roku:

„Rodzice kaszubszy – apeluje w felietonie zatytułowanym »Caritas« – wychowujcie swe dzieci ku chwale Boga i Ojczyzny. Dopomóżcie do wychowania sierot, dzieci po naszych zamordowanych i poległych w ostatniej wojnie, aby one były kiedyś błogosławieństwem i chlebem kaszubskiej ziemi”.

Jeszcze pisze do dodatku kulturalnego „Zrzeszy” – „Chęczy”, publikując w języku polskim artykuły na tematy religijne oraz po kaszubsku pieśni kościelne, opowiadania i szkice folklorystyczne.

Już jednak nadchodził czas „urawniłowki”, pisanie i działania pod centralnie zaprogramowany sznurek. Milknie przeto publicznie. Nie znaczy to jednak, iżby nie pisał, nie tworzył. Z opowiadaniem „Rëbacczi syn” ujawni się w roku 1965 na łamach biuletynu Zrzeszenia. Upřednio fragment innego opowiadania – „To bëło we Gwiozdzka” – zamieści w „Kaszëbach”. Choć prawdą jest, że w latach 50. i 60. właściwie mu były inne formy aktywności.

W 1961 roku papież Jan XXIII mianuje ks. Franciszka Gruczę szambelanem papieskim. To w nagrodę za jego dotychczasową pracę. Ks. prałatowi leży na sercu wywiązanie się z votum Matce Boskiej Sianowskiej za łaskę ocalenia z piekła wojny. Długo czekał na stosowną okazję. Nadchodziły obchody milenijne. Ks. biskup chełmiński Kazimierz Józef Kowalski odniósł się do prośby koronacji Matki Boskiej Sianowskiej na Królową Kaszub bardzo serdecznie. Ks. Grucza pisze historię figury Matki Boskiej oraz jej kultu. Wspierali go w tym działaniu inni księża – Kaszubi. Pośród nich ks. prałat Józef Bigus. Pod koniec września 1965 roku dokument w tej sprawie, podpi-

sany przez ks. biskupa oraz chełmińską kapitułę, był już gotowy. Biskup pelpliński zabrał go ze sobą na jedną z soborowych sesji do Watykanu, skąd przywiózł zgodę od papieża Pawła VI. Koronacja miała odbyć się, zdecydował biskup, w roku milenium, 4 września 1966 roku.

Doniosła uroczystość wymagała przygotowania doń sianowskiego kościoła. Nowej polichromii, odnowienia figury, uszykowania całego kościoła oraz jego obejścia. Ks. Kaźniak, przybysz z dalekiej Ukrainy, nie był nazbyt szczęśliwy, iż przydano mu tyle pracy. Ks. Grucza z Jankiem Trepczykiem piszą pieśń na cześć Matki Boskiej Sianowskiej. Podzielili się rolami. Ksiądz ma napisać słowa pieśni, Trepczyk melodię. Ten czyni jednak to samo. Teksty są więc dwa. A że do słów swoich dopisze Trepczyk także i melodię, przeto w lud pójdzie jego pieśń „Kaszëbskô Królewô”.

Ks. Gruczy pieśń, okazuje się, powstawać zaczęła już w starogardzkim więzieniu. Nuci ją teraz, trochę nieoczekiwanie.

– To był mój dar dla Niej. Wyśpiewało tę pieśń moje serce.

W latach 80., dzięki spotkaniom pisarzy kaszubskich w Łączyńskiej Hucie, zapoczątkowano w Wygodzie, w parafii, której proboszczem był wówczas ks. Stanisław Gackowski, kazania w języku kaszubskim. Pierwsze wygłaszał ks. Grucza. Widząc, jaką cieszą się sympatią wiernych, za namową przyjaciół, dokonał przekładu całości drugiego kanonu tekstu mszy św. na język kaszubski. Wykaligrafowany rękopis powielony został w Kartuzach dzięki staraniom Feliksa Marszałkowskiego. Tak przygotowane egzemplarze otrzymali pisarze kaszubszy oraz księża.

Kazania kaszubskie... Pierwsze – w gowidlińskim kościółku w roku 1945. Później w Wygodzie, Sianowie i Katedrze Oliwskiej na siedemsetlecie układu kępińskiego, w 1982 roku, później... Kaszubskim słowem wspomni też w kościele parafialnym w Kartuzach Aleksandra Majkowskiego; w 50. rocznicę jego śmierci, pożegna swego serdecznego druha – Feliksa Marszałkowskiego. Ile kazań poświęcił spr-



Fot. Edmund Kamiński

Ks. Grucza przy trumnie Jakuba Wejhera. 1992

wie kaszubskiej, choć używał słów polskich? Nie zliczy.

Rok 1984. W kościele pod wezwaniem św. Michała na gdyńskim Oksywiu, w 60. rocznicę śmierci Antoniego Abrahama. Głosem patetycznym opowiadał w homilii o tej wielkiej postaci z dziejów Pomorza i Kaszub. O roli, jaką odegrał dla trwania Kaszub i Kaszubów przy Polsce. Abraham był jednym z ostatnich, jak mówił, strażników kaszubskości. Także i wyrażonej, symbolizowanej przez stanicę kaszubską, ten kaszubski sztandar z wyobrażeniem czarnego gryfa na żółtym tle...

Wyhaftowana została przed wojną przez Franciszkę Majkowską, siostrę pisarza. Wisiała w kartuskiej willi Majkowskiego – „Eremie”. Spoczęła na trumnie Majkowskiego, gdy ten zmarł i pochowany został w Kartuzach w roku 1938. Zdjął ją Aleksander Labuda, by przykrywać mogła trumnę kolejnego zmarłego przywódcy duchowego Kaszub. Gestem tym nawiązał do tradycji książąt kaszubskich. Stanicą opiekował się ks. Grucza. W czasie wojny

ukryta była w Gdyni. Zaginęła podczas podróży pociągiem.

Był jednak drugi egzemplarz stancji. Ten znalazł się w majątku właściciela podsopockich Kolibek, Konrada Klukowskiego. Szczęśliwie odnalazł się. Znajdował się w domu parafianina, niegdyś ogrodnika u Klukowskiego. I tej strażnikiem jest ks. Grucza. – „Żałuję – powie – że zabrakło jej na trumnie Labudy. Spoczywała natomiast na trumnie Lecha Bądkowskiego.

W stanie wojennym odwiedził ks. Gruczę filmowiec z Warszawy. Zamierzał nakręcić film pt. „Zapadły zamek”. W zamyśle młodego filmowca, zaczynać miał się kazaniem ks. Gruczy, wygłoszonym z ambony oliwskiej katedry w czasie uroczystości 700-lecia Zapisu Mestwina. Według scenariusza zaczynać się miało tak: „Jeszcze na pewno tu, w tej Katedrze Oliwskiej, w tym czcigodnym kościele nie słyszało się kaszubszczyzny płynącej z ambony. Teraz dopiero umiemy naszą kaszubską tożsamość docenić w pełni i możemy chwalić Boga w języku, którym mówił i Mestwin, mówili Świętopełkowie i

Subisławowie”. Reżyser zażyczył sobie, by słowa te brzmiały po kaszubsku. Dalej, w zgodzie ze scenariuszem, toczyć się miała filmowa opowieść o czymś, co znikło z powierzchni ziemi, co się zapadło, co starte zostało na proch walcem historii.

– Ja grabarzem sprawy kaszubskiej nie będę! – zaprotestował ks. Grucza. Nie nakłaniał go do współuczestnictwa w realizacji tego filmu nawet biskup gdański.

Pomysł przetłumaczenia na język kaszubski Pisma Świętego dojrzewał w ks. Gruczy latami.

– Cały problem na tym polega, ażeby oddać etos naszego języka. I by uniknąć tzw. drętwej mowy. Jestem chyba z obecnie żyjących księży – Kaszubów – jedynym, który tego dzieła może się podjąć. Mam wrażenie, że to będzie dobre. Już dawno, kiedy tylko zostałem księdzem, kusiło mnie, ażeby dać Kaszubom Pismo Święte po kaszubsku. Jestem niemilczącym świadkiem giniecia kaszubszczyzny w zalewie kultury polskiej, w czasach gdy na Kaszubach rodzice ze swymi dziećmi rozmawiają po polsku. Wierzę, iż Kaszubi będą bronili się, bronili skutecznie, że nie zaprą się swego języka, obyczajów, kultury. Ale co to jest ta kaszubszczyzna? Stoję na stanowisku historycznej pisowni od Ceynowy poprzez Młodokaszubów i Zrzeszyńców, tak jak oni piszą prawie fonetycznie. Staram się przy tym objaśniać znaki diakrytyczne, ażeby ułatwić ich czytanie, zrozumienie. Kaszëba, sięgając po Pismo św., będzie nawracał do źródeł języka. Ta Biblia ma być rodzajem kaszubskiego elementarza.

Co do języka, również jestem radykałem. Uważam – za Ramułtem, de Courtenayem, Brücknerem, w pewnym też stopniu i za Sychtą, że jest to język. Trzeba więc powrócić do pisowni Ceynowy, Młodokaszubów, Zrzeszyńców. Powinniśmy pójść drogą kaszubskiego piśmiennictwa.

Jeszcze za życia Brunona Richerta planował wydanie kaszubskiego na wskroś pisma. Ale Richert zmarł. Marzenie ks. Gruczy zrealizowali w 1990 roku „Pomorąnicy”. Byli jego częstymi gośćmi. Dla nich był nie tylko świadkiem lat przeszłych, ale także ducho-

wym ojcem. Przynieśli mu w darze – odbitą na powielacz – gazetę. Nazwali ją „Tatczëzna”. To była jakby realizacja jego własnych planów. W numerze trzecim „Tatczëznë” znajduje się wspomnienie sporządzone przez ks. Gruczę z czasów, gdy jeszcze księdzem nie był, bo z roku 1935. Nosi ono tytuł: „Swjätô Anna”. Opatrzona jest mottem: „Chto nje tczï starków mowë, wjarë, zwëków, jejëch kulturë, nen nje jejëch wörtni...”

Już od kilku lat nie ma pośród nas Franciszka Gruczy. Gdy powracam wspomnieniem do naszych wielu spotkań, jakie miały miejsce pod koniec lat 80., ze szczególnym nasileniem w ostatnich latach Jego żywota, na myśl przychodzi mi swoista aura tych rozmów. Ich osobność, ich jakaś, wyprowadzona z dawnego myślenia o Kaszubach, inność. Podtytułowana w głównej mierze, co w pełni zrozumiałe, przez wybitną osobowość ks. Franciszka. Przez jego myślenie o kaszubskich sprawach, nie poddające się prawdzie pospolnej.

Był bodaj czy nie ostatnim łącznikiem pomiędzy dawnymi a nowymi kaszubskimi laty. Przyjaciół wielu najbardziej zagorzałych Kaszubów – Jana Trepczyka, Feliksa Marszałkowskiego, Brunona Richerta – w nich zyskiwał słuchaczy swych poglądów na kaszubskie tematy. Inspirował mnie. Posłał do Mściszewic, gdzie ostatnich dni w spokoju zażywał Brunon Richert, do męstra Jana i pana Feliksa trafiłem bez tego poduszczenia. Za każdym jednak razem miałem tę niepowtarzalną okazję, by przejrzeć się w czystym lustrze kaszubskości. Oni bowiem – ta dziś już nieżyjąca czwórka ludzi – jako bodaj ostatni lubili się w nim na co dzień przeglądać; inspirowało ich twórczo. Czy to do powoływania zespołu ludowego we własnej wsi, jak w przypadku Richerta – czy sporządzania „Domocëznë”, jak w przypadku pana Feliksa, czy wreszcie, jak było to w przypadku mistrza Jana, który dziesiątki lat poświęcił pisaniu w samotności, sporządzaniu „Słownika polsko-ka-

szubskiego”, którego już nie miał ogłaszać w opublikowanej formie.

Z ks. Franciszkiem Gruczą sprawa była innego jak gdyby rzędu. Z nim spotkania odbywały się niezmiennie w klimacie nadrzędnej przyjaźni. Jakiegoś porozumienia, które z upływem czasu zawiązywało się pomiędzy nami, ludźmi przecież różnych pokoleń oraz życiowych doświadczeń. Jemu wówczas wystarczała moja otwartość i chęć wysłuchania jego racji. Wszelkich racji. Także tych, z którymi niezbyt się zgadzałem.

Cały czas jednak miałem świadomość obcowania z niepoślednią osobowością. Z kimś w zaniku. Z kimś z gruntu niepowtarzalnym. Stąd tak często nawiedzałem gościnne progi jego sopockiej plebanii. I to zarówno w trakcie tłumaczenia Biblii, jak i później, gdy oczekiwał jej spełnienia w wersji drukowanej.

„Zdążyłem” na Richerta, na Marszałkowskiego, na Trepczyka, „zdążyłem” także na ks. Gruczę. O jego tłumaczeniu Biblii napisałem w „Pomeranii” jeszcze za jego życia. O wydanej „Kaszëbsczi Biblëji” umieściłem szkic na łamach miesięcznika „Nowe Książki”, po tym, jak przysłał mi ją z dedykacją. Ten szkic ukazuje się kilka lat po jego śmierci.

Pamiętam euforię lat 1989-91. Ks. Franciszek Grucza na swój sposób w niej uczestniczył, wciągnięty w orbitę odnowy przez tych najmłodszych z kręgu „Tatczëznë” – pisma już dziś nie istniejącego. Inspirował ich, ugruntowywał ich wiedzę kaszubską. Dziś oni kontynuują myśl i dzieło ks. Gruczy, choć już w innych formach wyrazu – poprzez radio czy telewizję. Sporo było też tekstów „samotnika z Sopotu” po rozmaitych, powstających niczym grzyby po deszczu, pismach ukazujących się na Kaszubach. Pełno było jego osoby, jego kaszubskiego słowa.

Pożegnaliśmy księdza Franciszka Gruczę, ostatniego z Zrzeszyńców, 27 kwietnia 1993 roku w Sopocie. Jego trumnę okryła stаницa kaszubska, której ksiądz Grucza przez dziesiątki lat był strażnikiem.

Ryszard Ciemiński

KASZUBSZCZYZNA I SZKOŁA

Brunon Synak

Na temat języka kaszubskiego w kontekście jego statusu edukacyjnego powiedziano i napisano już wiele. Sprawa edukacji regionalnej dla tego typu społeczności, jak Kaszubi, jest kwestią zasadniczej wagi - zwłaszcza w dobie odradzania się lokalnych i regionalnych wspólnot samorządowych oraz społeczeństwa wielokulturowego. Nie znaczy to, że jest ona prosta w realizacji i jednoznaczna w ocenie.

Ostatnio z zainteresowaniem przeczytałem ciekawy tekst Kazimierza Kossaka-Główczewskiego na temat edukacji regionalnej (zamieszczony w pracy: „Jana Drzeżdżona nie dokończony tryptyk społeczny”, Gdańsk 1995), który skłonił mnie do przedstawienia krótkiego fragmentu wyników badań, przeprowadzonych niedawno pod moim kierunkiem w trzech gminach środkowych Kaszub (Stężycza, Sulęcino, Szemud). Tematycznie badania te dotyczą tych samych zagadnień, które rozważa wspomniany autor, mianowicie stosunku rodziców, nauczycieli i uczniów starszych klas szkół podstawowych do nauczania języka kaszubskiego, czy - szerzej - do edukacji regionalnej.

Nie wnikając w teoretyczną inspirację K. Kossaka-Główczewskiego i nie odnosząc się do przedstawionej przez niego interpretacji, pragnę podkreślić pełną zbieżność wyników moich badań z omawianymi przez tego autora prawidłowościami. Jak widać (tabela), istnieje dość powszechne - ale ostrożne i zróżnicowane - przyzwolenie mieszkańców Kaszub na wprowadzenie do miejscowych szkół rodzimego języka, na zasadzie przedmiotu fakultatywnego. Zdecydowana większość przedstawicieli trzech badanych kategorii akceptuje obecność kaszubszczyzny w programach szkolnych, jednakże tylko nieliczni optują za traktowaniem jej jako przedmiotu obowiązkowego.

Deklarowane postawy wobec tej sprawy różnicują się w sposób dość charakterystyczny i - w pewnej mierze - zaskakujący. Najbardziej otwarty stosunek do wprowadzania języka kaszubskiego do szkoły mają uczniowie, mniej entuzjastów jest wśród rodziców, natomiast najbardziej sceptyczni są nauczyciele (zdecydowaną większość badanych stanowili nauczyciele Kaszubi). Wśród nauczycieli jest niemal czterokrotnie, a wśród rodziców ponad dwukrotnie więcej przeciwników nauczania języka kaszubskiego niż wśród uczniów (!). Ci ostatni też, o dziwo, najczęściej opowiadają się za traktowaniem kaszubszczyzny jako przedmiotu obowiązkowego.

Odczuwana przez badanych potrzeba nauczania języka kaszubskiego w szkole wynika z troski o zachowanie bogactwa kulturowego rodzimej wspólnoty, tożsamości grupowej, z dążenia do nobilitacji „lokalnego dialektu” i nadania mu - a przez to również samym Kaszubom - wyższego statusu społecznego. W ich przekonaniu, tylko dzięki szkole język ten ma szansę przetrwania i upowszechnienia się w

formie pisanej, a tym samym pozbycia się negatywnych skojarzeń i stereotypowych ocen.

„Aby język kaszubski nie zaginął, musi być obowiązkowo wprowadzony do szkół. Po wielu latach to na pewno zaowocuje i Kaszubi będą dumni ze swojego pochodzenia i wykształcenia. Może wreszcie skończy się ośmieszanie Kaszubów za ich mowę”.

„Moja mama mówi, że nie należy wstydzić się swojego pochodzenia. Sama jest Kaszubką, a zdobyła wykształcenie. Myślę, że gdybym jeszcze umiał pisać w języku kaszubskim, to czułbym się pewniej. Tego jednak powinna koniecznie uczyć szkoła - od pierwszej klasy”.

„Uważam, że wszyscy nauczyciele powinni poczuwać się do obowiązku propagowania rozwoju kaszubszczyzny. Zdajemy sobie przecież sprawę, że jeżeli jakimkolwiek język nie staje się językiem pisanym, to nie ma szans na przetrwanie. Czyżby zapomnieli o tym nauczyciele Kaszubi?”

Fakultatywny charakter tego przedmiotu najczęściej uzasadniany bywa przez badanych potrzebą tolerancji wobec dzieci nie-Kaszubów, a także względami psychologiczno-dydaktycznymi („nie należy dzieci zniechęcać”, „dzieci lepiej będą się uczyć, jeżeli nie będą zmuszane”, „niczego nie można robić na siłę”).

Znacznie bardziej zróżnicowana jest argumentacja poszczególnych respondentów, przemawiająca, w ich przekonaniu, przeciwko kaszubszczyźnie w szkole. Przytoczę tu jedynie motywy dominujące. Dzieci (pamiętajmy, że zaledwie 5 proc. opowiedziało się przeciwko) widzą w języku kaszubskim przede wszystkim dodatkowy przedmiot, dodatkowe obciążenie zajęciami szkolnymi, „z zasady” niezbyt lubianymi. Wśród rodziców i nauczycieli przeważa opinia o negatywnym wpływie znajomości języka kaszubskiego na wyniki w nauce oraz (zwłaszcza wśród nauczycieli) przekonanie o konieczności zachowania jednorodności językowej i kulturowej narodu polskiego, która - ich zdaniem - mogłaby ulec osłabieniu poprzez uczenie w szkołach kaszubskich rodzimego języka. W tego rodzaju postawach ujawnia się echo wpajanych przez kilka dziesięcioleci przez oficjalną ideologię hasła uniformizmu społecznego i kulturowego oraz „patriotyzmu i internacjonalizmu socjalistycznego”, których instrumentalizacji w zasadniczym stopniu dokony-

wano poprzez szkołę. „Nie należy wprowadzać gwar do języka ojczystego - mówi nauczycielka o kaszubskim rodowodzie. Kaszubi, podobnie jak górale czy Ślązacy są Polakami, i chociaż ciężkie były losy naszego narodu, zastraszeniem i innymi represjami starano się rozbić naszą jedność, to Polacy przetrwali. Starajmy się teraz doskonalić i rozwijać język ojczysty. Starajmy się używać języka literackiego, żeby nie było tak, jak w powiedzeniu: „co inna wieś, to inna pieśń”.

Rodzice ponadto żyją obciążeniami własnych doświadczeń szkolnych i życiowych, w których znajdują powody skłaniające ich do negatywnego stosunku do edukacji kaszubskiej. Argumentacje tego rodzaju wiążą się z szerszym zjawiskiem, odnoszącym się do samooceny pozycji społecznej Kaszubów, do społeczno-kulturowej definicji języka kaszubskiego („gwar”), do jej ograniczonej funkcji komunikacyjnej. Przytoczę tu dwie charakterystyczne wypowiedzi: „W szkole w ogóle nie powinno być języka kaszubskiego. Znajomość kaszubskiego była dla mnie ciężarem w szkole i sprawiała ogromne trudności w porozumiewaniu się z moimi rówieśnikami”.

„Kiedy przyszedłam do szkoły, nauczycielka mówiła do mnie »z wysoka«. Czasami zupełnie nie rozumiałam, o co chodzi. Było to strasznie stresujące. Dlatego nie chcę, aby moje dzieci przeżywały coś podobnego. Rozmawiam z nimi tylko po polsku. Wprowadzenie języka kaszubskiego do szkoły to nieporozumienie”.

Wypowiedzi te mogłyby doskonale też służyć do wyrowadzenia całkowicie odmiennych wniosków od tych, które przedstawili cytowani respondenci. Trudności, doświadczane przez nich w szkole z powodu „obciążeń kaszubskich”, mogą równie dobrze przemawiać za wprowadzeniem do szkoły edukacji kaszubskiej jako swoistego mostu - pomiędzy tym, co najbliższe, swojskie, regionalne a tym, co ponadlokalne i bardziej uniwersalne - łagodzącego trudności i bariery, o których mowa w tych wypowiedziach. Przyjęte przez tę część rodziców postawy są również przejawem „ucieczki kulturowej” od własnej grupy, dążenia do uniknięcia izolacji etnicznej młodego pokolenia oraz do zapewnienia mu przyspieszonego awansu społecznego.

Wracając do zaskakująco wysokiej dezaprobaty wobec edukacji kaszubskiej wśród nauczycieli, trzeba pamiętać, że w wielu przypadkach jest ona przejawem swoistej racjonalizacji, związanej z nieprzygotowaniem szkoły do pełnienia

tego zadania. Edukacja regionalna na Kaszubach znajduje się w fazie wstępnej, niełatwo toruje sobie drogę do świadomości znacznej części nauczycieli, mających uzasadnione poczucie merytorycznej niekompetencji w tej dziedzinie (gdzie mieli się tego nauczyć?). Stąd trudno się dziwić, że zadanie nauki języka kaszubskiego chętnie ograniczają do domu rodzinnego i kręgów nieformalnych („Myślę, że dzieci wyniosą z domu rodzinnego dostateczną znajomość języka kaszubskiego. Dlatego nie widzę konieczności jego utrwalania w szkole”).

Na tym tle powstaje wszakże zasadnicze pytanie: czy w warunkach cywilizacyjno-kulturowych kończącego się tysiąclecia dom rodzinny, jako ostatni bastion języka kaszubskiego (czy też jakiegokolwiek innego), jest wystarczającą gwarancją jego przetrwania? Moim zdaniem nie - i to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, młode pokolenie będzie zainteresowane przejmowaniem tylko takiego języka, który będzie językiem o szerokich walorach komunikacyjnych, dostosowanym do opisywania i poznawania współczesnego świata. Takiego języka w stopniu wystarczającym sam dom nie jest w stanie przekazać. W pełni zgadzam się tu z opinią prof. J. Smolicza, Polaka mieszkającego w Australii, że - perspektywicznie patrząc - dom może być tym miejscem, w którym podtrzymuje się znajomość języka rodzinnego, jednakże pod warunkiem, że młodzi „etnicy” będą mieli jednocześnie możliwość nabywania umiejętności używania tego języka do wyrażania treści współczesnych, wynikających z zainteresowań szkolnych, pozaszkolnych i zawodowych. Po drugie, aktywne korzystanie i rozwijanie etnicznego dziedzictwa językowego wymaga uwolnienia etnolektu od obciążeń kulturowych i społecznych - które kaszubszczyźnie wcale nie są obce („mowa ludu”, „język do pługów i widel”, „wiejska gwara” itp). Zasadnicza droga nobilitacji i przewartościowania (lub: dowartościowania) języka kaszubskiego wiedzie poprzez jego instytucjonalizację - zwłaszcza edukacyjną, na wszystkich szczeblach szkolnictwa.

Jest to zadanie bardzo trudne, ale o znaczeniu kluczowym dla małych wspólnot kulturowo-etnicznych w warunkach globalizacji współczesnego świata i poszukiwań nowych odniesień tożsamościowych. Jak dowiodły doświadczenia innych grup etnicznych i kulturowych, edukacja regionalna nie tylko wspiera i umacnia rodzimy etnolekt, ale także sprzyja powodzeniu dzieci w nauce szkolnej oraz pomaga lepiej zrozumieć innych i samego siebie.

Stosunek rodziców, nauczycieli i uczniów do nauczania języka kaszubskiego w szkole

Kategorie respondentów	Język kaszubski powinien być przedmiotem obowiązkowym		Język kaszubski powinien być przedmiotem nadobowiązkowym		Języka kaszubskiego nie powinno się uczyć		Ogółem	
	I.	proc.	I.	proc.	I.	proc.	I.	proc.
Rodzice	8	5.1	133	84.2	17	10.7	158	100.0
Nauczyciele	7	4.6	116	76.8	28	18.5	151	100.0
Uczniowie	37	15.7	186	79.1	12	5.1	235	100.0

SZEŚĆ POKOLEŃ RODZINY JANKÓW

Jan Lipuski

Pod koniec września bieżącego roku w parafialnym kościele w Wygodzie w Kartuskiem odbędzie się uroczystość poświęcenia tablicy upamiętniającej księży Franciszka i Leona Janków, pochodzących z pobliskiej wsi Łączyńska Huta. Uroczystość stanie się okazją do spotkania członków rodu, mieszkających głównie na Kaszubach i Pomorzu.



Rodzina Szczepana Janka ok. 1916; mały Leon, przyszły kapłan, z kapeluszem w ręku

Inicjatorem upamiętnienia księży oraz rodzinnego zjazdu jest doktor weterynarii Stanisław Jank, autor niedawno wydanej książki „Ludowa weterynaria na Kaszubach”. Mieszkający w Dębnicy Kaszubskiej Stanisław Jank sporządził przed dwoma laty, po wielu żmudnych poszukiwaniach i badaniach, spis członków sześciu pokoleń rodziny.

Niewiele wiadomo o założycielu rodu, którym był Franciszek Jank. We-

dług parafialnych zapisów urodził się w 1834 roku. Na przełomie stulecia nabył liczącą przeszło sto hektarów parcelę w Łączyńskiej Hucie i Wygodzie. Ks. Anastazy Sadowski, pierwszy proboszcz wygodzki, w wydanej w 1915 roku książce „Kościół św. Józefa w Wygodzie” wspomina, że w owym czasie parafia składała się niemal z samych parcelantów. „Więksi właściciele – pisał ks. A. Sadowski – nie upra-

wiali całych rozległych obszarów, gdyż odległość od dworu, ciężka i żmudna praca, zimny i ostry klimat, zła komunikacja i wiele innych przyczyn nie opłacały wcale podjętych trudów i kosztów. Z tych też powodów stawiano pustki, czyli wybudowania i oddawano ziemię parcelami w dzierżawę. Później, gdy majątki parcelowano, stali się dzierżawcy i robotnicy dominialni nabywcami parcel”.

Żona Franciszka Janka miała na imię Ewa. Nie wiadomo, w którym roku Franciszek się ożenił. Miał 30 lat, gdy na świat przyszło pierwsze dziecko – syn Jan. Później Ewa i Franciszek mieli jeszcze czterech synów i trzy córki. Zakup tak obszernej parceli dla wielodzietnej rodziny był z pewnością niezwykle trudnym przedsięwzięciem. Przeciętnie bowiem jedna morga parceli, jak pisze ks. A. Sadowski, kosztowała 100 marek.

Ewa zmarła w 1906 roku, Franciszek pięć lat później. Na cmentarzu w Wygodzie zachował się żelazny krzyż z jego imieniem i nazwiskiem – Jankowski. Ta forma nazwiska powtarza się w księgach parafialnych do lat dwudziestych naszego stulecia. Prawdopodobnie stało się tak za sprawą ks. Anastazy Sadowskiego, żarliwego patrioty, orędownika polskiej sprawy podczas



Ks. Leon Jank

zaboru pruskiego. Dodając do typowo kaszubskiego nazwiska końcówkę „ski”, pragnął zapewne nadać mu jednoznacznie polskie brzmienie.

Wszystkie dzieci Ewy i Franciszka prowadziły gospodarstwa rolne, głównie w Łączyńskiej Hucie i okolicach. Najstarszy Jan znany był też z leczenia ludzi i zwierząt. Z kolei Weronika, która zmarła w 1974 roku wieku 99 lat, najpierw prowadziła wraz z mężem gospodarstwo w Garecznicy, a następnie młyn w Stryszej Budzie, rodzinnej wsi poety Jana Trepczyka; obecnie młyn należy do Franciszka Kowalewskiego, który urządził w nim prywatne muzeum etnograficzne. Wszyscy Jankowie z drugiego pokolenia dożyli sędziwego wieku, prócz Ignacego, który prowadził gospodarstwo na Wizofie; ranny w I wojnie

światowej zmarł, w grudniu 1916 roku, w wieku 38 lat.

Trzecia generacja rodziny również w dużej mierze osiadała na roli, już się rozproszyła poza Łączyńską Hutę i obecną gminę Chmielno. Sporo kobiet z tego pokolenia opuściło wieś, osiedlając się wraz z mężami przeważnie w Gdyni i Gdańsku. Wiejskie gniazda rodzinne zaczęły opuszczać także mężczyźni. Franciszek, syn Jana, mieszkał w Chojnicach i prowadził restaurację w Swornygaciach, z kolei Leon, syn Leona, był kolejjarzem w Tczewie.

Ta generacja wydała też dwóch wspomnianych księży: infułata dr. Franciszka i Leona. Franciszek, syn Leona, zmarł 20 maja 1990 roku w wieku 92 lat. Dwa lata przed śmiercią, w 90 urodziny, udzielił wywiadu redaktorom pisma „Zwóńk Kaszëbsczy”, wydawa-



Rodziny z Łączyńskiej Huty, m.in. Błokowie, Jankowie, Lewnowie i Wardyńscy w latach 20.

nego przez Klub Studentów Kaszubów Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie. Mówiąc o latach młodości wspominał dom rodzinny w Łączyńskiej Hucie: „Na tym pustkowiu widywałem mało ludzi poza rodzicami i ich najbliższymi krewnymi. Od 7. roku życia chodziłem do jednoklasowej niemieckiej szkoły ludowej w Łączyńskiej Hucie. Na wiosnę 1911 r. rozpocząłem naukę w Collegium Marianum w Pelplinie, przygotowany trochę przez ks. Anastazego Sadowskiego. Ponieważ Collegium Marianum miało tylko sześć klas gimnazjalnych, przenieśliśmy się na wiosnę 1916 r. do gimnazjum w Świeciu n. Wisłą. Tam na wiosnę 1919 roku otrzymałem świadectwo maturalne. W klasie IX, tzn. wyższa pryma, byłem jedynym uczniem, gdyż przy ostatnich poborach wojennych wiosną 1918



Ignacy Jank w mundurze pruskiej armii ok. 1910

r. wszystkich kolegów powołano do wojska. Ten rok nauczył mnie samodzielności w uczeniu się i przygotował dobrze do studiów. Zgłosiłem się zaraz do Seminarium Duchownego i zostałem przyjęty. Był to ten liczny kurs po I wojnie światowej. Zgłosiło się 120, a przyjęto 96. Z tej liczby doszło 58 do kapłaństwa”.

Dwa lata po święceniach kapłańskich ks. Franciszek Jank uzyskał doktorat na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie za pracę „Kult cesarów a Nowy Testament”. Po studiach we Lwowie był prefektem gimnazjalnym w Lubawie, a następnie w Chojnicach. W 1933 roku został najmłodszym proboszczem największej parafii w diecezji – NMPanny w Toruniu. W Toruniu był też prezesem zarządu Stowarzyszenia Miłośników Kaszubszczyzny „Stanica”, które w tym czasie, przy wsparciu pomorskiego starostwa krajowego wydało powieść „Żecé i przigodę Remusa” Aleksandra Majkowskiego. Po wojnie zajął się remontem pelplińskiej katedry, seminarium duchownego, pałacu biskupiego oraz organizacją kurialnej administracji. Znany był ze skromności i niezwykłego poczucia humoru; do dziś



Ks. infuat Franciszek Jank

w pelplińskiej kurii krąży anegdota o dowcipnych ripostach księdza infuata.

Ks. Leon Jank, syn Szczepana, urodził się w 1906 roku. Był absolwentem gimnazjum w Chojnicach i seminarium duchownego w Pelplinie. Po święceniach kapłańskich został wikarym w Chmielnie, a następnie w Wysinie. W październiku 1939 roku został zamordowany przez

hitlerowców w okolicach Skarszew.

Podczas II wojny światowej, aż pod Moskwą, zginął też Alfons. Z kolei Józef, syn Ignacego, żołnierz armii gen. Andersa, przeszedł szczęśliwie szlak bojowy na Zachodzie, bił się pod Monte Cassino; zmarł w 1975 roku w Manchester w Anglii.

Czwarta generacja Janków, to ludzie urodzeni w czasie lub po II wojnie światowej. Mimo że wyrosli w okresie pełnym wyrzeczeń i trudów, bardzo dużo z nich ukończyło szkoły średnie. Pokolenie to licznie opuszczało wieś, zdobywając zawody pozarolnicze, podejmując prace w rzemiośle i zakładach pracy. Wśród tych Janków znacznie powiększyła się grupa osób wybijających się ponad przeciętność. Agata Jank, pielęgniarka i siostra zakonna w Zgromadzeniu Sióstr Maryi Niepokalanej we Wrocławiu, została mistrzynią nowicjatu; jest absolwentką Prymasowskiego Studium Życia Wewnętrznego w Warszawie. Z sześciorga dzieci Anastazego i Stanisławy z domu Merchel aż troje uzyskało wyższe wykształcenie. Jadwiga, z męża Manista, nauczycielka w Żukowie, ukończyła Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Słupsku. Rajmund, który zginął tragicznie podczas służby wojskowej w 1981 roku w Kołobrzegu, był absolwentem Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Wspomniany już Stanisław, rodzinny kronikarz, studiował w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego; doktorat uzyskał pod kierunkiem prof. Abdona Stryzaka. Weterynarz w Dębicy Kaszubskiej mieszkańcy gimny dobrze znają też jako byłego, wieloletniego przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej. Kapłańską drogę, podobnie jak Franciszek i Leon z poprzedniego pokolenia, wybrał Brunon, od 1990 roku proboszcz parafii św. Marcina w Boleszynie w diecezji toruńskiej.

Piąta generacja Janków w zdobywaniu wyższego wykształcenia prześciga poprzednie. Są absolwenci i studenci uniwersytetów i politechnik, uczelni rolniczych i pedagogicznych. Leszek studiuje na Politechnice Gdańskiej, Michał na SGGW w Warszawie, Tadeusz w Wyższym Seminarium Duchownym w Gdańsku, siostra Beata teologię w Po-



Józef Jank, żołnierz w armii gen. Andersa

znaniu. Ojciec Tomasz, franciszkanin, studiuje w Akademii Sztuk Plastycznych w Gdańsku, przejawia też talent dziennikarski. Każdego lata wyjeżdża za granicę na praktyki językowe; w tym roku wysłano go do Padwy we Włoszech. Talent muzyczny znakomicie wykorzystał Franciszek, syn Leona, na co dzień pracownik tczewskich zakładów „Predom – Metrix”. Przez wiele lat związany był z amatorskim ruchem artystycznym, znanymi w województwie gdańskim zespołami estradowymi. Od 1981 roku prowadzi własny zespół wokalo-instrumentalny „Frank – Jank – Band”, którego członkami są również żona Jolanta (solistka) i córka Karolina (klarnet, śpiew). Zespół z powodzeniem wystąpił już w wielu miastach Polski, a także Europy.

Zachowały się wszystkie gospodar-

stwa rodzinne Janków, prowadzą je potomkowie. Na Janowym gospodarzy wnuk Jerzy, ojcowizną Ignacego zarządza również wnuk i również Jerzy, ziemię Szczepana dziedziczy Ludwik, a Leona prawnik Wojciech.

Według statystyki, opracowanej przez Stanisława Janka najpopularniejszym imieniem w rodzinie jest Franciszek, a następnie Jan, Józef i Leon. Swoistą tradycją rodzinną jest wielodzietność. To ona sprawiła, że Jankowie i ludzie spokrewnieni z nimi obecni są niemal w każdej miejscowości na Kaszubach i Pomorzu. Trudno więc się dziwić, że Jerzy Jank spotkał i poślubił Teresę Browarczyk, wnuczkę Klary Jank, córki Szczepana.

O najmłodszym pokoleniu, które wciąż się rozrasta, pewnie niejednokrotnie usłyszymy. ■



Rodzina Jana Janka (pierwszy od lewej), syna Franciszka, założyciela rodu. Zdjęcie z końca lat 30.

KÓNTOPSCZIÉ JEZORO

Bolesław Jażdżewski

Dzejało to so w Tuszkach za žėcu i rządów oberlémona Tuszkowszcziégo Mėcka. Na jarmarczi dówni tuszkowiócė wiedno muszelė jachac jaż do Kosćérznė, a to boło kasyčzk za daleko na jich rozklekotané wozėska. Końska téż tacze mielė, żebě je boł chróstową miotłą zabił, a wołė po tim jich sůnku ermuzowatim le szpėrama zómiótalė. Jezdec jezdzełė wszėtcė razė, z Mėckem na czele, bo sůmi mielė strach, że w Kosćérznė zdżina, abo ob drogė w chojnach dze zabładzą. Ale zónim so do miasta zawleklė, jarmarku colemalo boł kuńc. I te z krzewima munioma muszelė wlėc so nazòd do Tuszków, i to wiedno z wiòldzi-
ma szkodama.

Jednego dnia Mėck zwòłòł wszėtczych tuszkowióków nò nòradė o tim jarmòrku, żebě go zrobic u siebie w Tuszkach. Zeszłė so decht wszėtcė. Chto leno boł žiw – dżadė, babė, bėńle, dzeusė i gzubė. I tak przez dwa dni, i przez dwie noce, bez jedzeniu i picu, debatowelė jakbě zrobic w Tuszkach jarmòrk. Bėłė coròz głodniėshi i żòdnò mėsł jima nie lazła do łbów. Mėcka to rozgorzėło. Wszėtczych rozegnòł do swoich chòtów, bo z taczima głupkòma, choćbě so cali rok wkòł naròdzòł, i tak nick nie uradzy.

Czedė wszėtcė uszlė Mėck rzekł sòm do do se: – Czej tėli łbów nick nie wėmesłėło, Mėcku, twój sòm łeb téż nick nie wėmėsłi.

Po dlėjszym czasie wėdòł rozkòz, żebě wszėtcė tuszkowiócė so przėrichci-
welė, bo jitra jadą jak wiedno na jarmòrk do Kosćérznė. Kożdi jego rozkòz boł dlò nich święti. Wiedzelė, że Mėck nie cėskò słów na wiater.

Jesz dalek przed wschodem slonuszka ze swojima tuszkowiókama trikòł dłu-
gą rėgą na nen jarmòrk. Czedė so dowleklė do pierwszėgo jezorka, kask sfol-
gnėłė, żebě napojic konie i wołė, i sòmi so ochłòdzėc. Jak w ny jezorny wodze tak sobie pląbrowelė, priskajac, dokazujac jak gzubė, Mėck naròz uzdrzòł jaczis ruchajacy so cėnie. Cziżbě cėd so stòł? Widzòł w wodze jakbě konie, wołė, wozė, a na nich blėrwė, pilėta i ròznė ptasztwo w kėstach. Tėli tego mu so wėdòwało, jak na kosćėrszczim jarmòrku. – A może tu je téż jarmòrk? – sòm siebie so pitòł. Zaru zwòłòł wszėtczych lėdzy, wskòzòł rėką na wodė, na te cėnie, i rzekł: – Po co mómė so mordowac jaż do Kosćérznė, czej tu mómė swój jarmòrk.

Tuszkowiócė zdrzelė na wodė, jak gapa w gnòt. – Jo, tam po pròwdze je jarmòrk – zaczelė do se gòdac. Zjelė muce ze łbów i winkowalė tima we wodze, a czej cėnie jima odwinkowelė, tedė stòł so richtich rajbach. Jeden przez drėdżėgo rėczòł: – Mėcku, czė tė nie widzysz?! Oni do nòs cziwają! Mómė do nich jachac. Czim prėdzy tim lepi, poczi jesz kuńc jarmòrku nie je.

Mėck dòł rozkòz. Czej pierwszy woz wjachòł w wodė, leno zabąblotało i za-
bulgotało. – Wejtale! – krzikał Mėck. – On tòm ju szachrėje i pewnie czekò nò nòs.

Dòł drėdżi rozkòz, żebě jiny so pospieszėłė. I tak wszėtcė z galopem i wiòldzim trzòskem wjachelė w jezoro. Nòpierwi so woda zamkla, zakotłowała, a potemu drewnianė wozė wėplinėłė na wierzk. Pòzni pokòzòłė so lėdze. Wdrapujac so na woze głośnie wrzeszczėłė: – Mėcku, Mėcku, gdzisz tė so podzòł?!

– Ju że nie wrzeszta, bo nòs jesz chto uczuje! – Tuszkowszczi oberlémon téż wėplinał na wierzk i chiże wdrapòł so na woz.

Lėdze, co robilė na polach lipuszcziégo folwarku, i tak wszėtkò uczulė. Przėle-
celė i tuszkowióków z wozama przėtrikelė do brzegu. Konie i wołė so zapin-
talałė w swoich slach i lėckach. Wszėtczi utonėłė.

Tuszkwiócė stojac na brzegu oplakiwelė swoje szkodė.

– Lėdze, nie lòmontujta, bo ni ma taczėgo złėgo, co bė na dobrė nie wėszło – rzekł Mėck. Oni nie wiedzelė, co on miòł na mėsłė. W kuńcu Mėck urocėszce ogłòszil: – Tuszkowiònie, wiėdzta, że od dzysu i po wiecznė czasė to naszė je-
zoro bądze so zwac Kòntopsczié Jezoro.

Po sztėrku lėdze zarzucėłė swoje pindle na pukłė i na czele z Mėckem, ale z krzewima munioma, rėszilė w stronė Tuszków.

*Z mazurskiego
BRULIONU*

*Moja korespondencja z panem Edwardem trwała zaledwie pòł roku. On ją zapoczątkował, przysyła-
jąc mi w listopadzie zeszłego roku pierwszy list z Hamburga, w którym pisał: „tylko ze słyszenia i z Pań-
skiej ciekawie wymownej książki »Kronika z Mazur« jest mi Pan zna-
jomy. Ale skoro jesteśmy synami Ziemi Mazurskiej - tym samym je-
stemy »swoi«, chyba też ofiarami niedoli - tragedii mazurskiej”. Oczywiście wiedziałem, kim jest, aczkolwiek koleje jego życia, te po-
wojenne, już w latach sześćdziesią-
tych, kiedy rozmawiałem z wieloma działaczami, kwitowano milcze-
niem, jakby nie wypadalo mówić o kimś, kogo władze skazały na nie-
obecność.*

*Pan Edward wspominał, że od 1989 roku nie ma wiosny czy lata, aby wiedziony tęsknotą nie odwiedził rodzinnych stron i znajomych. Dlatego od razu zaproponowałem mu w liście, żeby w 1995 roku - gdy znowu przyjedzie na Mazury - skorzystal z mojego zaproszenia i odwiedził mnie w Olsztynie. I tak od pierwszego listu potoczyła się nasza korespondencja - o Mazurach i mazurskości przede wszystkim, ale też o ludziach i zdarzeniach. Pan Edward do listów swych dołączał czasem jakieś dokumenty, kopie listów do innych osób czy kopie własnych maszynopisów, w których uja-
wniał swoje przemyślenia bądź ma-
rzenia. A w związku z tym, że z ochotą przyjął moje zaproszenie, sam nie stroniłem od polemicznych uwag i opinii, mając nadzieję, że już przed pierwszym naszym spotka-
niem sporo możemy sobie wyjaśnić w sprawach, którymi żył lat 88, a które nadal nie były mu obojętne.*

*Teraz, w pierwszych dniach lipca, wyglądałem przez okno, nasłuchi-
wałem telefonu. Zamiast spodziewa-
nych odwiedzin, dotarł do mnie list z Hamburga z czarną obwódką, w którym był nekrolog, a także kar-
tka ze słowami „Kochani Przyja-*

Edward, brat Karola

Erwin Kruk

ciele. Edward jak co roku pojechał z Hamburga do Olsztyna, żeby odwiedzić swoje rodzinne strony, swoją rodzinę i swoich przyjaciół. Do końca swoich dni był zupełnie zdrowy. Miał jeszcze szerokie plany, niestety nie wszystkie udało mu się zrealizować. Zdażył jednak być w Brodowie, gdzie się urodził. Był na cmentarzu brodowskim, którego zachowanie leżało mu w ostatnich latach tak bardzo na sercu. Odwiedził również groby matki i rodzeństwa pochowanych w Olsztynie. W dniu swojej śmierci zamierzał udać się do Elku. Na dworcu olsztyńskim zasłabł, usiadł jeszcze na ławce, westchnął i usnął na wieki. Edward modlił się zawsze o lekką i szybką śmierć. Życzenie jego zostało przez Pana Boga wysłuchane. W głębokim smutku i żalu dziele się z Wami tą smutną wiadomością - Wasza Jadwiga".

Pogrzeb odbył się w Hamburgu, daleko stąd. Kiedy przeczytałem te żałobne wieści, myślałem nie tylko o tym, że bezpośrednio już nie porozmawiamy, ale też o tych planach pana Edwarda, do których spełnienia zabrakło paru dni. Po raz pierwszy otrzymał możliwość publicznego wypowiedzenia się na Mazurach, zaproszony przez Stowarzyszenie Mazurskie Tadeusza Willana do udziału w „letnich spotkaniach” w Krutyni. Właśnie wracając z Elku miał tam pojechać, by wygłosić prelekcję pod tytułem: „Gdzie jest moja Ojczyzna?” O tym zamiarze pisał mi w ostatnim liście: „chciałbym zobaczyć dzisiejszych »Mazurów« - »polskich Mazurów«, »niemieckich Mazurów«. A czy są jeszcze »pruscy Mazurzy«? Jestem jednym z tych ostatnich. Powołuję się na moich przodków od setek lat żyjących w Prusiech. Mówię po mazursku, pielęgnuję zwyczaje, tradycję, kulturę mazurską, jestem praktykującym ewangelikiem, śpiewam i modlę się z kancjonału Prusko-

Mazurskiego... Czy są jeszcze tacy Mazurzy?... Panie Kruk, w lipcu da Bóg zadzwonię do Pana, aby się spotkać i podumać...”

Niestety, to zadumanie już mnie tylko dotyczy, gdy przeglądam naszą półroczną korespondencję. Kim był ten sędziwy człowiek, łaknący do kresu życia spotkań z ziemią ojczystą? Na wypadek, gdybym nie wiedział, przedstawił się w pierwszym liście: „Jestem bratem Karola Mallka, z którym dzieliłem los w czasie okupacji. Po »wyzwoleniu«, po zrezygnowaniu ze starostwa w Nidzicy w 1945 roku, los w kwietniu 1946 roku zaprowadził mnie w roli pastora do Elku, gdzie byłem jedynym z działaczy mazurskich - oczywiście »trefny« do tego stopnia, że nawet brat Karol i przyjaciele (...) [tu nazwiska] nie wstępowali do mnie, gdy byli uczestnikami różnych konferencji i uroczystości »mazurskich« w Elku, na które ja nie miałem wstępu.

W Związku Mazurów przed wojną i w czasie okupacji byłem najbliższą osobą mego brata Karola, ale bardzo często o odmiennych poglądach na nasze sprawy. (...) W czasie okupacji z ramienia Związku Mazurów kontaktowałem się z ONR (Obóz Narodowo-Radykalny), jako radykalny luteranin. Miałem ich program w sprawie »likwidacji Niemcy wojnie... Gdy czytałem ten program, włosy stawały mi dęba. Było jasne, co nas czeka. Tak, nas, działaczy - nie mówiąc o naszym narodzie, o mieszkańcach ziem podarowanych Polsce przez Stalina. Oczywiście, program ten był znany bratu i Eugeniuszowi Piecha. Niestety, brat nadal stawiał na Polskę, nie widząc innego wyjścia. Jeszcze w Lublinie zwróciłem uwagę, że to jest wielki błąd. Piszę o tych sprawach w moich „Wspomnieniach”, które w maszynopisie czytali: (...) i p. Bożena W., która je nadal posiada”.

Jeszcze nie czytałem tych pamiętników, pisanych na maszynie i oprawionych w siedem tomów. Ale to właśnie pani Bożena Wilamowska, która przed rokiem podała Edwardowi Mallkowi mój adres, obecnie poruszona śmiercią człowieka, którego знаła także z czasów przedwojennych w Działdowie, wystosowała do lokalnej gazety list, aby pozostał ślad pamięci o wspaniałym i zapomnianym Mazurze. Ten list - o paradoksie! - zaczyna się tak:

”W »Gazecie Olsztyńskiej« w kronice wypadków ukazała się notatka tej treści: »W dniu 24 czerwca 1995 roku na dworcu w Olsztynie zmarł turysta niemiecki«. Kim był ten »turyista«?”.

W listach, jakie Edward Mallek do mnie pisał, mimo tragicznych losów, których doświadczył, była też pogoda, a nawet zgoda na to, że nie zawsze racja musi być po jego stronie. Obecnie jednak było w nich stale napięcie, że jako ziomek ziemi mazurskiej, „pozbawiony do niej wszelkich praw ze strony Polski”, czuł się w obowiązku wypowiedzenia własnego zdania. Przez pół wieku nie dana była mu ta możliwość.

Urodzony w Brodowie na Działdowszczyźnie, ukończył Edward Mallek polskie seminarium nauczycielskie w Działdowie. Jako polski oficer brał udział w wojnie 1939 roku. W okresie okupacji ukrywał się w Generalnej Guberni i był sekretarzem tajnego Instytutu Mazurskiego. Potem, tuż za przechodzącym frontem, z grupą inteligencji mazurskiej przybył na tereny Mazur, żeby bronić przed krzywdą ze strony wojsk i NKWD miejscową ludność. Jako starosta w Nidzicy szybko stwierdził, że nie podola obronie przed gwałtami, grabieżą, wysiedleniami stosowanymi przez wojsko i NKWD, a potem przez szabrowników. Wtedy zrezygnował, odstąpił od ludowej władzy i został księdzem ewangelickim w Elku. Wraz z Mazurami, których było coraz mniej, do-

świadczył, jak w województwie białostockim i administracja, i UB tępią autochtonów.

Trwał jako duszpasterz, chociaż z czasem zabrakło już parafian. Zaczął pracować w gminnej spółdzielni. Potem był bez pracy i utrzymywał żonę i czworo dzieci z prowadzonej pasieki. Dalsze informacje wyczytałem u pani Wilamowskiej. „W roku 1970 żona Jadwiga wyjechała do rodziny w USA. Mając 66 lat i pozostając praktycznie bez środków do życia, Edward wyjechał do Kanady 15 lipca 1973 roku. Żegnającym go dzieciom powiedział rozżalony, że nie wie, co go tam czeka, a chociaż z głodu umrze, to do Polski nie wróci. Z 10 dolarami znalazł się w obcej Kanadzie, a z czasem przeniósł się wraz z żoną do Hamburga”.

Tęsknota za Mazurami była silniejsza niż rozżalenie. Ona sprawiła, że w ostatnich latach nie mógł ni roku wytrzymać bez bliskich krajobrazów, wśród których, z powodu zaniedbania, ginęły nawet miejsca wiecznego spoczynku. Dlatego Edward Mallek, emerytowany pastor, postanowił uporządkować cmentarzyk w rodzinnym Brodowie. Z zaoszczędzonych 10 tysięcy marek postawił ogrodzenie i tablice z polskim napisem „Tu leżą pochowani dawni mieszkańcy”. I z długą listą nazwisk. W Brodowie znajduje się też pomnik Karola Mallka, ze stosownym dla poprzedniej epoki napisem. Pan Edward, relacjonując mi w liście zeszlorzalne uroczystości na odnowionym cmentarzu w Brodowie z udziałem działdowskich władz, nie byłby sobą, gdyby nie podzielił się refleksją na temat ukochanego brata i pomnika, który upamiętnia jego mazurskie boje. „Przecież Karol - napisał mi pan Edward - nie »walczył o polskość tej ziemi«, lecz, ryzykując zdrowiem, walczył o prawo Mazurów do swej Ziemi Ojczystej... Serce kraje się, wspominając Karola trud, znój i poświęcenie. W imię czego, dla kogo?... Dlatego tak bardzo chciałbym widzieć »mazurskość« i »Mazurów« na »Mazurach«. Ale - wszystko ujmuję w cudzysłowach...” ■

Roman Drozd

OSADNICTWO LUDNOŚCI UKRAIŃSKIEJ NA POMORZU ZACHODNIM W LATACH 1947-1950

Dr Roman Drozd z Człuchowa jest historykiem, działaczem Związku Ukraińców w Polsce

W 1944 roku na terenach między Bugiem a Wisłą władze radzieckie przystąpiły do tworzenia faktów dokonanych, mających na celu podporządkowanie Polski interesom Związku Radzieckiego z jednej strony, a z drugiej – ustalenie nowej granicy z państwem polskim. Temu drugiemu celowi miała również służyć wymiana ludności między Polską a Litwą, Białorusią i Ukrainą, którą planowano zakończyć 1 lutego 1945 roku, a więc przed konferencją jałtańską, na której Wielka Trójka zamierzała podjąć decyzję o nowo wschodniej granicy państwa polskiego. Z kolei stronie polskiej i ukraińskiej przesiedlenie ludności stwarzało możliwości ostatecznego rozwiązania nabrzmiałych problemów narodowościowych. Poza tym, dla komunisty-

cznych władz polskich, ten transfer ludności mieścił się w ogólnej koncepcji tworzenia państwa jednolitego pod względem narodowościowym.

Przesiedlanie ludności ukraińskiej do USRR w latach 1944-1945 nie rozwiązało bynajmniej problemu ukraińskiego w Polsce. Okazało się, że mimo zastosowania wobec Ukraińców zasady przymusowego wyjazdu z Polski, około 200 tys. osób narodowości ukraińskiej uniknęło przesiedlenia, i że stanowili oni oparcie dla działających na terenie południowo-wschodniej Polski oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii, walczącej o niepodległą Ukrainę. W tej sytuacji władze polskie chciały kontynuować przesiedlenia, lecz już teraz nie wyraziła na nie zgody strona radziecka. Zaczęto więc wysuwać kon-

cepcję przesiedlenia ludności ukraińskiej na ziemie zachodnie i północne Polski. Miała ona dwa cele. Pierwszy, doraźny - rozbić oddziały UPA i drugi, perspektywiczny - ostateczne rozwiązanie problemu ukraińskiego poprzez polonizację Ukraińców w nowym miejscu osiedlenia.

Z początkiem stycznia 1947 roku władze polskie przystąpiły do organizacyjno-technicznego opracowania akcji przesiedlenia. Po sporządzeniu spisów ludności ukraińskiej i głównych wytycznych, dotyczących jej przesiedlenia, opracowano szczegółowe instrukcje, określające sposób wysiedlenia i osiedlenia rodzin ukraińskich na ziemiach zachodnich. W jednej z nich, dla komendanta pułkowego punktu zbornego, zalecano dokonać podziału ludności ukraińskiej na grupy. Do grupy „A” zaliczono osoby notowane przez Urząd Bezpieczeństwa, do grupy „B” notowane przez zwiad wojskowy i do „C” przez dowódcę oddziału wysiedlającego mieszkańców danej wsi. Poza tymi grupami miały się znaleźć osoby uważane przez władze za lojalne wobec państwa polskiego.

Podział ten wykorzystywano następnie do rozproszenia rodzin na ziemiach zachodnich i północnych Polski. Instrukcję dotyczącą zasad osiedlania ludności ukraińskiej opracowało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. W myśl jej wytycznych osadników z akcji „Wisła” (taki kryptonim miało przesiedlenie Ukraińców) należało osiedlać poza pięćdziesięciokilometrowym pasem od granic lądowych, trzydziestokilometrowym od morskiej oraz miast wojewódzkich i dziesięciokilometrowym od zachodniej granicy Polski sprzed 1939 roku. Ponadto instrukcja zalecała równomierne we wszystkich powiatach rozmieszczenie ludności ukraińskiej, tak, aby jej liczba nie przekroczyła 10 proc. w danej gromadzie, a także umieszczanie w jednej wsi tylko jednej rodziny zaliczonej do kategorii „A” lub „B” i do pięciu z kategorii „C”. Rodziny z kategorią „A”, „B” lub „C” nie mogły być osiedlane razem. W razie braku gospodarstw indywidualnych, ludność ukraińską należało dosiedlić do osadników polskich w folwarkach lub umieścić w majątkach o powierzchni do 200 ha, z możliwością dosiedlenia tam rodzin polskich. Liczba Ukraińców w majątkach nie mog-

ła przekroczyć 10 proc. przebywających tam osób. W takim samym stosunku zalecano rozmieszczać osadników ukraińskich skierowanych do pracy w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich. Instrukcja ograniczała też znacznie możliwości przenoszenia się Ukraińców do innych powiatów i opuszczania przydzielonego im gospodarstwa.

28 kwietnia 1947 roku jednostki wojskowe Grupy Operacyjnej „Wisła” przystąpiły do wysiedlania ludności ukraińskiej w ramach akcji „Wisła”. Wysiedlanym oddziały wojskowe dawały około 2 godzin na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy i opuszczenie wsi. Sposób przeprowadzenia wysiedlenia, a następnie długotrwałą, pod nadzorem wojska, podróż, razem z inwentarzem, powodowały, że wysiadająca na stacjach końcowych ludność znajdowała się w opłakanym stanie. Ogółem w wyniku akcji „Wisła” wojsko polskie przesiedliło na ziemie zachodnie i północne Polski około 150 tys. osób. Rodziny ukraińskie zostały osiedlone w rozproszeniu w województwach olsztyńskim, szczecińskim, wrocławskim, poznańskim, gdańskim i białostockim.

Osadnictwo ukraińskie na Pomorzu Zachodnim przebiegało w trzech etapach. W pierwszym, od 2 do 28 maja 1947 roku transporty z ludnością ukraińską przybywały do Szczecinka, skąd kierowano je do poszczególnych powiatów województwa szczecińskiego. Początkowo osiedlano ich głównie w powiatach nadmorskich. Spowodowało to interwencję organów bezpieczeństwa, które zażądały wstrzymania dalszego rozmieszczania w powiatach kołobrzeskim, koszalińskim i sławieńskim oraz usunięcia z trzydziestokilometrowego pasa nadmorskiego osiedlonych już tam osób. W tej sytuacji Urząd Wojewódzki w Szczecinie zwrócił się do delegata Ministerstwa Ziemi Odzyskanych do spraw osadnictwa ukraińskiego w województwie szczecińskim, Ryszarda Jaworowskiego, o wstrzymanie wysyłania rodzin ukraińskich do powyższych powiatów. 17 maja 1947 roku władze centralne zezwoliły na rozmieszczenie ich w powiatach: choszczeńskim, łobezkim i stargardzkim.

Do 28 maja, kiedy to wstrzymano wysyłanie transportów do województwa

szczecińskiego, ludność ukraińską rozmieszczono w 15 powiatach: człuchowskim, szczecineckim, koszalińskim, słupskim, wałeckim, kołobrzeskim, sławieńskim, stargardzkim, białogardzkim, drawskim, choszczeńskim, bytowskim, łobezkim, miasteckim i gryfickim. Ogółem osiedlono 8107 rodzin ukraińskich - 36 547 osób - ze 123 transportów z województwa rzeszowskiego i lubelskiego.

W drugiej połowie czerwca 1947 roku Departament Osiedleńczy Ziemi Odzyskanych wznowił wysyłanie transportów z ludnością ukraińską na Pomorze Zachodnie. Pierwsze transporty zaczęły przybywać do województwa szczecińskiego 25 czerwca. W tym okresie tempo akcji osiedleńczej było znacznie wolniejsze niż w maju 1947 roku. Dziennie, do punktu rozdzielczego w Szczecinku przybywało od jednego do dwóch transportów. Łącznie, w drugim etapie, od 25 czerwca do 14 lipca 1947 roku przyjechało 20 transportów (w tym jeden do powiatu nowogardzkiego). Ludność ukraińską osiedlono w 10 powiatach: nowogardzkim, myśliborskim, pyrzyckim, stargardzkim, człuchowskim, gryfickim, słupskim, koszalińskim, szczecineckim i miasteckim. Razem osiedlono w województwie szczecińskim 1945 rodzin - 7413 osób.

Trzeci etap rozpoczął się 22 lipca i trwał do 15 sierpnia 1947 roku. Przybyło 18 transportów, które skierowano do 14 powiatów: drawskiego, stargardzkiego, łobezkiego, człuchowskiego, myśliborskiego, bytowskiego, szczecineckiego, kołobrzeskiego, sławieńskiego, choszczeńskiego, wałeckiego, pyrzyckiego, miastckiego i białogardzkiego. W tym etapie na terenie województwa szczecińskiego rozmieszczono 1267 rodzin - 4505 osób w większości z województwa lubelskiego oraz rzeszowskiego.

Łącznie w ramach akcji „Wisła” na teren Pomorza Zachodniego przybyło 160 transportów z 11 419 rodzinami - 48 465 osób. Osiedleni zostali przede wszystkim na wsi, i to w gospodarstwach indywidualnych.

Po zakończeniu akcji „Wisła” okazało się, że rodziny ukraińskie zostały osiedlone niezgodnie z instrukcją Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Przestrzeganie instrukcji, ze względu na znaczną liczbę przesiedleńców

ukraińskich, było rzeczą niemożliwą. Na Pomorzu Zachodnim jedynym kryterium rozmieszczenia ludności ukraińskiej było posiadanie przez nich inwentarza żywego. (Ludność ukraińska przywiozła ze sobą 6553 konie, 12 621 krów, 10 856 kóz i owiec oraz 6005 sztuk trzody chlewnej). Rodziny, które go miały, kierowano do gospodarstw indywidualnych, a bez – do majątków Państwowych Nieruchomości Ziemskich. Ponadto wójtowie mogli osiedlać rodziny według własnego uznania, przenosząc Ukraińców z jednej wsi do drugiej. Władze terenowe nie przestrzegały również zaleceń, aby w jednej wsi umieszczać tylko jedną rodzinę zakwalifikowaną do kategorii „A” lub „B”, a to dlatego, że o tej instrukcji dowiadywały się dopiero po zakończeniu akcji „Wisła”, a także dlatego, że liczba wsi w danym powiecie była niekiedy mniejsza od kierowanej tam liczby rodzin ukraińskich kategorii „A” i „B”. Na przykład, w powiecie słupskim na 190 wsi przypadały 533 rodziny zakwalifikowane do grupy „A” i „B”. Przekraczano również zakładany 10 proc. wskaźnik proporcji Ukraińców do ogółu mieszkańców, np. w gminie Brzezie w powiecie człuchowskim ludność ukraińska stanowiła 58 proc. ogółu mieszkańców. W tymże powiecie były również wsie w całości zasiedlone ludnością ukraińską, np. Bielica, Dyminek i Trzmielowo. Wysoki odsetek ludności ukraińskiej był również w majątkach PNZ. Na przykład, w powiecie kołobrzeskim wynosił on 67 proc., a w koszalińskim 59 proc. Podobnie i tu były majątki prawie w całości zasiedlone Ukraińcami, np. Busław, Lipie, Przemiarki czy Sławie w pow. białogardzkim. Władze terenowe nie respektowały także zakazu osiedlania rodzin ukraińskich w pasie nadmorskim, ani w pobliżu zachodniej granicy państwa polskiego z 1939 roku. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego stwierdziwszy owe nieprawidłowości na całych ziemiach zachodnich i północnych zaczęło domagać się od Ministerstwa Ziem Odzyskanych dostosowania rozmieszczenia osadników ukraińskich do wcześniejszych zaleceń. Jednakże, ze względu na liczne uchybienia, wykonanie tych zadań było bardzo trudne, a w wielu przypadkach wręcz niemożliwe. Z tego powodu władze zmodyfikowały zasady roz-

mieszczania. 10 listopada 1947 roku Ministerstwo Ziem Odzyskanych zalecało nie osiedlać Ukraińców w pasie nadgranicznym lądowym już tylko do 30 km, morskim – do 10 km i 20 km od miast wojewódzkich. Zezwalało jednocześnie na większy procent rodzin ukraińskich w gromadach – do 40 proc. Identyczne ograniczenia osadnicze dotyczyły majątków PNZ. Całkowicie odstąpiono od zakazu rozmieszczania Ukraińców w dziesięciokilometrowym pasie od zachodnich granic państwa polskiego z 1939 roku. Jednocześnie znacznie ograniczono przesiedleńcom ukraińskim swobodę przemieszczania się po ziemiach zachodnich i północnych, co w praktyce oznaczało przypisanie ich do przydzielonego im miejsca zamieszkania. W instrukcji Ministerstwa Ziem Odzyskanych z 10 listopada 1947 roku stwierdza się wprost: „Zasadniczym celem przesiedlenia osadników »W« jest ich asymilacja w nowym środowisku polskim, dolożyć należy wszelkich wysiłków, aby cel ten był osiągnięty. Nie używać w stosunku do tych osadników określenia »Ukrainiec«. W wypadku przedostania się z osadnikami na Ziemie Odzyskane elementu inteligenckiego, należy taki bezwzględnie umieszczać osobno i z dala od gromad, gdzie zamieszkują osadnicy z akcji »W«.”

Po przesłaniu powyższej instrukcji, Ministerstwo Ziem Odzyskanych poleciło władzom terenowym dostosowanie rozmieszczenia rodzin ukraińskich do nowych zasad. W praktyce oznaczało to ponowne przesiedlenie osiedlonej już ludności. Na Pomorzu Zachodnim akcją tą objąć miano 1859 rodzin w 15 powiatach. Plan częściowo został wykonany wiosną 1948 roku. W jego wyniku ludność ukraińska znalazła się również na terenie innych powiatów np. Chojna, Złotów. Powodem niecałkowitego wykonania planu był m.in. brak wolnych gospodarstw oraz częściowe zagospodarowanie się już rodzin ukraińskich.

Na Pomorzu Zachodnim ludność ukraińską, z przyczyn obiektywnych, osiedlono głównie w gospodarstwach zrujnowanych. Z zajętych przez Ukraińców ok. 9800 gospodarstw, aż 75 proc. było zniszczonych, w tym prawie połowa wymagała poważnego remontu, a około jedna trzecia odbudowy. Środki na ten cel przyznane przez władze

okazały się niewystarczające, gdyż i możliwości państwa były ograniczone. Poza tym opieszałość urzędników spowodowała, że do grudnia 1947 roku wyremontowano jedynie 717 zabudowań. Główny zatem wysiłek remontowania zabudowań przypadł osadnikom ukraińskim (gospodarstwa w podobnym stanie otrzymali osadnicy polscy, z tą jednak różnicą, że rodziny polskie miały prawo wyboru gospodarstwa).

Znacznie lepiej od zabudowań przedstawiała się sprawa wolnej ziemi, którą ludność ukraińska mogła objąć w posiadanie. Były to jednakże leżące odłogiem grunty rolne, zaliczane przeważnie do 5 i 6 klasy ziemi. Urodzajniejsza, jak i lepsze zabudowania, została zajęta przez wcześniej przybyłych osadników polskich.

Przesiedlenie rodzin ukraińskich w miesiącach wiosenno-letnich uniemożliwiło im zebranie plonów. Pojawiły się więc znaczne trudności żywnościowe. W nieco lepszej sytuacji byli ci osadnicy, którzy przybyli na Pomorze Zachodnie najwcześniej, gdyż mogli jeszcze obsiać i obsadzić ziemniakami część pól i jesienią zebrać plon. Trudności te zmusiły państwo do udzielania pomocy finansowej w postaci kredytów, przydzielania kartek żywnościowych, żywności i zboża. Wszystkie rodziny ukraińskie otrzymały jednorazowo zapomogę w wysokości 300 zł. Pomoc ta okazała się niewystarczająca. Przesiedleńcy ukraińscy zostali zmuszeni do pracy za wyżywienie u polskich osadników. Wysokość zapłaty była różna, przeważnie było to 10-15 kg ziemniaków za cały dzień pracy. Znacznie lepiej płacono w majątkach PNZ.

Trudności bytowe oraz rozproszenie w terenie nie zahamowały jednak rozwoju życia narodowego i religijnego Ukraińców. Na co dzień posługiwali się ojczystym językiem, modlili się według własnego obrządku i według własnego kalendarza obchodzili święta. Prawie wszyscy osiedleni na Pomorzu Zachodnim Ukraińcy byli wyznania grekokatolickiego i prawosławnego. W pierwszych latach po osiedleniu, nie mogąc brać udziału w nabożeństwach grekokatolickich, uczęszczali do Kościoła rzymskokatolickiego.

Przymusowość wysiedlenia, wrogość osadników polskich oraz różnice kulturowe powodowały początkowo izolowanie się od siebie obu narodowo-

ści. Wzajemna niechęć oraz uprzedzenia znacznie utrudniały społeczną integrację. W miarę wzajemnego poznawania się rozpoczął się powolny proces współpracy i współżycia. Polacy dostrzegali ogromną pracowitość ludności ukraińskiej, jej umiejętności hodowlane i kulinarne, a ona zaczęła przyjmować nowe dla nich sposoby gospodarowania oraz lokalne wzorce kulturowe.

Integrację społeczną ludności ukraińskiej przyspieszyła poprawa jej ekonomicznych warunków życia. Wraz ze wzrostem stopy życiowej rodziny ukraińskie uniezależniały się od osadników polskich i władz administracyjnych oraz uaktywniały życie towarzyskie. Przesiedleńcy utrzymywali między sobą ścisłe kontakty, prowadzili korespondencję z krewnymi w kraju i za granicą, starali się zorganizować sobie życie religijne i kulturalne.

Wraz z przełamywaniem barier, dzielących ludność polską i ukraińską, nawiązywano kontakty towarzyskie. Niemalą rolę odegrało tutaj wspólne posyłanie dzieci do szkół, uczestniczenie w różnego rodzaju zebraniach oraz we mszach obrządku rzymskokatolickiego. Najszybciej nawiązywała kontakty z przesiedleńcami ukraińskimi ludność rodzima i osadnicy z dawnych województw zachodnich, gdyż nie żywili do Ukraińców głębszych uprzedzeń. Z czasem stosunek pozostałych osadników do ludności ukraińskiej zmienił się. Spektakularnym przykładem przełamywania wzajemnych uprzedzeń było zawieranie małżeństw mieszanych i wstępowanie do polskich towarzystw i partii politycznych.

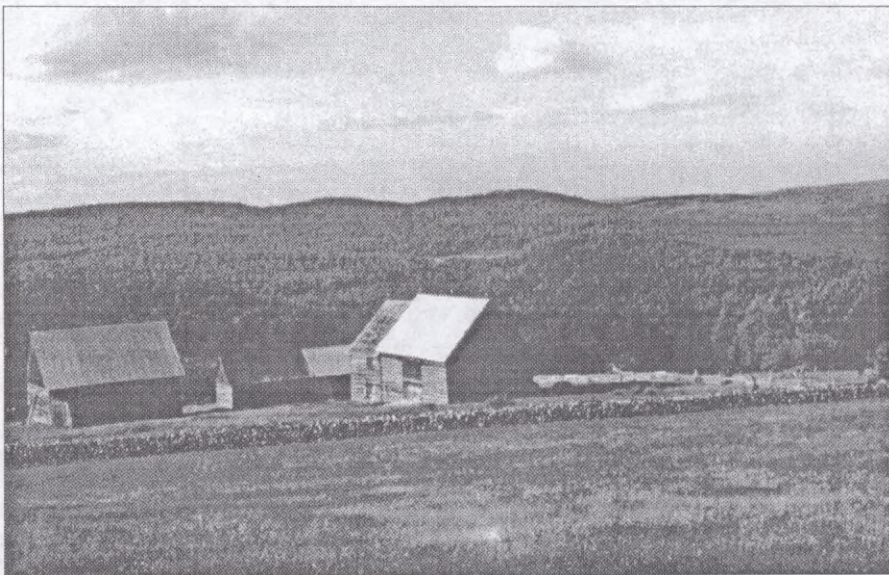
Akcja „Wisła”, w kategoriach ogólnych, przyczyniła się do zagospodarowania Pomorza Zachodniego. Zniszczone zabudowania znalazły właścicieli i zostały zabezpieczone przed dalszą dewastacją. Zagospodarowano leżącą odłogiem ziemię. Ludność ukraińska zasiłowała państwową gospodarkę rolną i leśną, drobny przemysł oraz rzemiosło wiejskie, a także przyczyniła się do aktywizacji hodowlanej województwa szczecińskiego. Ludność ukraińska wzbogaciła kulturowo Pomorze Zachodnie i przyczyniła się do tworzenia się na tym terenie nowego, bardziej otwartego na odmienność, społeczeństwa. ■

Material mógł się ukazać dzięki pomocy Fundacji Stefana Batorego

Bożena i Stanisława Miechowicz

Z Kraju Klonowego Liścia

Zapiski z opóźnieniem



Ontaryjskie Kaszuby

W fotografiach, zwłaszcza tych, ilustrujących przeszłość, jest ukryta magiczna moc. Pobudzają wyobraźnię, ożywiają zastygłe sylwetki, a w przedstawianych rzeczach pozwalają dostrzec rozgrywające się przed laty wydarzenia, domyślać się dramatów. Wrażenia potęgują się jeszcze, gdy ogląda się tak doskonale dzieła fotograficznego kunsztu, z jakich składa się kolekcja „kaszubskich fotogramów Anny Łempickiej, torontońskiej artystki. A kolekcję tę stanowią sfotografowane bezpośrednio, bądź reprodukowane na podstawie materiałów muzealnych najrozmaitsze sprzęty, narzędzia pracy, obiekty budowlane, pierwotne środki komunikacyjne itp., jakie pozostały po kaszubskich imigrantach, którzy w połowie ubiegłego stulecia osiedlili się na Wyżynie Madawski w północnym Ontario, i gdzie do dziś żyją ich potomkowie czwartej i piątej już generacji. Kolekcja ta, nad którą artystka pracowała kilkanaście lat, stanowi rodzaj jej subiektywnego pamiętnika, w którym starała się odtwarzać warunki codziennego życia ontaryjskich Kaszubów. A że osadnikom i ich następcom dane było przeżyć w skrócie całą historię rol-

nictwa, poczynawszy od epoki kamiennych żaren, drewnianej sochy i krosien w pierwszym okresie, aż do czasów mechanizacji w połowie naszego stulecia, zbiory te stanowią również kompendium wiedzy o cywilizacyjnym rozwoju tego zakątka Kanady.

W kolekcji bowiem, oprócz fotogramów najliczniej reprezentowanych zażytków z najtrudniejszego, pionierskiego okresu, są również fotografie obiektów nowszych, z końca lat siedemdziesiątych, kiedy to p. Anna Łempicka pracę przerwała. Jest też trochę portretów ludzi, którzy pomagali artystce w jej żmudnym, detektywistycznym niemal tropieniu śladów niszczących i rozproszonych relikwów pionierskiej przeszłości ontaryjskich osadników oraz kilka osobistości, szczególnie dla tego regionu zasłużonych.

Dobrze się stało, że tą „kaszubską” kolekcją Anny Łempickiej zainteresowało się kierownictwo Działu Etnografii Muzeum Narodowego w Gdańsku.

Pomysł zaprezentowania, w postaci wystawy objazdowej, fotogramów ilustrujących życie codzienne kaszubskich osadników w Kanadzie starokrajowym



Orka

Kaszubom, godny jest najwyższego uznania.

Kiedyś, po obejrzeniu kolejnej partii „kaszubskich” slajdów w pracowni, usytuowanej w przestronnej, torontońskiej rezydencji Anny Lempickiej, zapytaliśmy artystkę:

– *Co pani, wielokroć nagradzaną w Kanadzie i za granicą portrecistkę, skłoniło do fotografowania pamiątek po ontaryjskich Kaszubach? Czy uciążliwe, kilkunastoletnie penetrowanie okolic Wilna, Barry's Bay, Round Lake Centre, Killaloe, Combermere na Wyżynie Madawaski i zagłębianie się w tamtejsze archiwa i muzea miały związek z przynależnością i współpracą z ekskluzywnymi klubami kanadyjskich fotografików? Czy też były jakieś osobiste powody, które ukierunkowały pani zainteresowania przeszłością tej najstarszej grupy polskich imigrantów?*

– Powodów, które kazały mi przez kilkanaście lat, w okresie wakacyjnym, przemierzać ontaryjskie Kaszuby, nawiązywać kontakty z mieszkańcami, szukać ich wsparcia, pomocy i zrozumienia dla mojej reporterskiej pracy, można by wymienić kilka. Stanowiły

je prywatno-rodzinne sentymenty, inspiracje artystyczne i patriotyczne powinności. Nas, mnie i męża, rodowitych lwowiaków, którzy przez Tarnów, Sopot i Sztokholm, na początku lat pięćdziesiątych znaleźli się i osiedlili w Toronto, zafascynowała historyczna przeszłość mieszkańców tej części ontaryjskiej prowincji. A pierwsze zainteresowanie wywołała nazwa osiedla Wilno, wyszukana na kanadyjskiej mapie. Mój mąż, mający wielki sentyment do przedwojennego polskiego Wilna, gdzie spędził dzieciństwo i wczesną młodość, postanowił poznać jego kanadyjskiego imiennika. A potem, podczas pierwszego już zetknięcia się z Kaszubami, wzrosło zainteresowanie historyczną przeszłością mieszkańców tej uroczej osady. Kaszubi bowiem szcycili się m.in. tym, że Wilno jest nie tylko najstarszą polską osadą w Kanadzie, ale że tu również duszpasterką i narodową posługę zapoczątkowali duchowni pierwszej polskiej parafii. Zakotwiczyliśmy się, wrosliśmy i zasiedliliśmy ziemię – mówili – których imigranci innych narodowości nie chcieli zajmować. Obecnie patrząc na

nasze schludne osiedla, atrakcyjne ośrodki rekreacyjne, doskonale szlaki komunikacyjne, trudno sobie wyobrazić, jak te tereny wyglądały, gdy w połowie ubiegłego wieku przybyli tutaj nasi przodkowie. Oni to i ich następcy ogromnym wysiłkiem zdołali zagospodarować te strony i stworzyć możliwe warunki egzystencji.

– Słyszając takie wypowiedzi i napotyając gdzieś niszczące pamiątki pionierskiego życia, podjęłam decyzję, aby tę przeszłość udokumentować.

– *Ale dlaczego postanowiła pani fotografować właśnie narzędzia pracy, sprzęty i urządzenia, którymi posługiwali się i jakie wytwarzali osadnicy? Czy zamierzała pani ukazać tylko ich ewolucję i w ten sposób udokumentować zachodzące przemiany cywilizacyjne? Czy przy ich pomocy odtworzyć również warunki życia mieszkańców, osiadłych wokół dawnego szlaku kolonizacyjnego, tzw. Opeongo Road?*

– Początkowo nie miałam koncepcji pracy, która by w pełni odpowiadała realizacji moich zamiarów i artystycznym upodobaniom. Jedno wiedziałam na

pewno. Nie do przyjęcia było dla mnie obfotografowywanie okolic, jak to robili niektórzy reporterzy. Przypadek zrzucił, że pomysł podsunęli mi kanadyjscy przyjaciele, którzy w 1967 roku świętowali setną rocznicę narodzin Kanady, akcentując głównie cywilizacyjny rozwój kraju. A ponieważ – jak wiadomo – Kanada jest krajem imigrantów lub ich potomków, oczywiście oprócz „pierwszych narodów”, jak nazywa się tu Indian i Eskimosów – był to więc dorobek przybyszów. Obserwując zaś tę jubileuszową celebrę i śledząc międzygrupowe rywalizacje imigrantów o splendor i przywileje z tytułu współuczestnictwa w procesie budowy Kanady uprzemysłowanej i dostatniej, postanowiłam pokazać moim przyjaciołom, że polscy imigranci także stanowili część rodzącego się kraju. A że kaszubszy pionierzy byli pierwszymi polskimi osadnikami na kanadyjskiej ziemi, zdecydowałam się zilustrować ich udział w tworzeniu dóbr materialnych tej części Kanady, w której dane im było żyć. Zrekonstruować jednak tę odchodzącą w niepamięć przeszłość i ocalić materialne jej okruchy, tak, aby były zrozumiałe dla odbiorców i odpowiadały moim artystycznym pomysłom oraz ideowym przymiarkom, było zadaniem niebagatelnym, zwłaszcza dla mnie, fotografa. Sprawę utrudniał także niedostatek „obiektów”. Wiele bowiem materiałów z pionierskiego, najbardziej mnie interesującego okresu, nie zdołało oprzeć się niszczytel-skemu oddziaływaniu klimatu i ludzkiej beztrosce. Ja zaś nie mogłam poprzestać na przypadkowym doborze materiału. Chciałam bowiem, aby moje fotogramy mogły w wyobraźni oglądających przybrać postać symboli, znaków szczególnych, wyraźnie i zwięźle określających kolejne etapy codziennego bytowania pionierów i ich następców. Zamierzałam również zilustrować procesy zmian cywilizacyjnych, głównie te, które miały wpływ na codzienne życie osadników, a do rozwoju których głównie oni przyczynili się.

Kobięca intuicja i zawodowa wrażliwość podszepnęły pomysł, aby zająć się wyszukiwaniem i utrwalaniem przedmiotów życia codziennego, jakie pozostały po kaszubskich pionierach i ich potomkach. Uważałam, i nadal jestem o tym najgłębiej przekonana, że ukazanie ewolucji urządzeń, sprzętów,



Jeden z wielu kamiennych plotów

obiektów wytworzonych i używanych przez kaszubskich osadników może stać się najłatwiejszym sposobem trafienia do wyobraźni odbiorców.

– Kolekcja dzieli się jakby na trzy części, partia druga jest najobszerniejsza. Każdy z tych, nazwijmy to „rozdziałów”, zaczyna się fotogramem jakiegoś szczególnie charakterystycznego przedmiotu. Zastanawialiśmy się, czy te „inicjały” znalazły się przypadkowo czy były świadomie wkomponowane.

– Cieszę się, że panie to zauważyły. Kamienną maczugę, otwierającą pierwszą część kolekcji, która służyła mężczyznom do polowań na dzikie zwie-

rzęta, a kobietom i dzieciom do obrony, traktowałam nie tylko jak rekwizyt. Podobnie zresztą, jak drewnianą motykę i sochę, prymitywną siekierę i piłę. W moich oczach stanowiły one symbol trudu i uporu pomorskich tułaczy, którzy dopiero co zarzucili kotwicę w środku północnoontaryjskiego buszu. Bo przecież, z pomocą tych prymitywnych narzędzi, gołymi rękami musieli wydierać ziemię pod uprawy. Równocześnie także z kamieni, gliny i nie ociosanych bierwion wznosili pierwsze ludzkie siedziby, aby móc tę wydartą ziemię otrzymać na własność. I tak powstał pierwszy rozdział fotograficznego pamiętnika z kilkunastoletnich wy-

praw w okolicy Wilna, Barry's Bay, Combermere, Round Lake Centre, Killoe.

Symbolami – wyznacznikami drugiej części kaszubskiej sagi, w moim wydaniu, są fotograficzne ekwiwalenty kamiennych żaren, drewnianych cepów, krosien i wrzecion, kamiennych murów i drewnianych płotów, otaczających granice farm, zabudowań, bram cmentarzy, kościołów oraz kamienne nagrobki i drewniane kijanki, którymi kobiety wykłupywały brud i pot z samodziślowych ubrań i bielizny. Rekwizyty te pochodzą z wczesnych lat względnej stabilizacji, kiedy osadnicy zaczęli prowadzić gospodarkę samowystarczalną. Szczytowe lata tego okresu przypadają na przełom wieków, a zakończyły się w latach dwudziestych, głównie z powodu zaprzestania masowego wyrębu i wywozu drewna z Madawaskiej Wyżyny. Choć nie tylko. Wraz z nadejściem motoryzacji okazało się, że tamtejsze ziemie nie nadają się do nowoczesnych upraw. Farmerzy, głównie młodzież, zaczęli opuszczać okolice, zarastały pola, a zabudowania rozpadały się. Po drugiej wojnie światowej nastąpił rozwój ekonomiczny Kanady. W prowincji Ontario zmianę przyspieszyła fala nowej imigracji. Przybysze polscy zainteresowali się pięknem i historyczną przeszłością ontaryjskich Kaszub. Na nieurodzajnej ziemi powstały ośrodek harcerski i ośrodek franciszkański rekreacji oraz setki domków letniskowych. Rozwój dróg komunikacyjnych i otwarcie tych terenów dla turystów przyczyniły się do tego, że skończył się okres izolacji jego mieszkańców, co w znacznej mierze miało wpływ na zmianę życia kolejnych generacji. Gospodarka samowystarczalna straciła swoje znaczenie, a dawne narzędzia pracy, sprzęty domowe, zaczęły wypierać coraz doskonalsze standardowe maszyny i urządzenia. Co także próbuję wybiórczo zilustrować, w ostatniej części kolekcji.

– *Jak odnosili się do pani gospodarze tych okolic? Czy tylko tolerowali pani obecność i penetrowanie, czy też wspierali i spieszyli z pomocą? Wiadomo bowiem, że jest to dość hermetyczne środowisko z rezerwą traktujące przybyszów. Co zresztą historycznie jest uzasadnione. Bowiem przymusowe od-*

cięcie od świata i zamknięcie się we własnym kręgu pomogło im przez długi czas zachować tożsamość etniczną.

– Aby móc należycie wywiązać się z podjętych, i od początku jednoznacznie określonych zadań, musiałam pozyskać sprzymierzeńców, przede wszystkim spośród tamtejszych mieszkańców, zwłaszcza ludzi starszych. Niezbędne były mi ich pomoc, aprobaty, opinia i objaśnienia. Znali mnie także pracownicy bibliotek, archiwów, księża, nauczyciele, cmentarnicy i oczywiście miejscowi młodzi ludzie, którzy z biegiem czasu z coraz większym zrozumieniem odnosili się do mojej pracy. Wiedzieli, iż pomagając mi w odnajdywaniu eksponatów i udostępniając własne do skopiowania, spłacają dług wdzięczności swoim przodkom. A w poszukiwaniach materiałów byłam uparta i dociekliwa. Jako przykład mojej prawdziwie detektywistycznej pracy – a nie było to zdarzenie odosobnione – mogą posłużyć okoliczności, w jakich udało mi się odnaleźć w okolicach Wilna prostą dźwignię, tzw. stompera. Używano go do usuwania pni i korzeni drzew, ścinanych ręcznie z pomocą piły i siekiery. Po usunięciu konarów i przewodników drzew, pozostawały spore pnie z głęboko wrośniętymi w ziemię korzeniami. Wydobywanie tych pozostałości siłą mięśni karczujących było niesłychanie trudne. Chcąc usprawnić tę pracę, jakiś domorosły wynalazca z kłód drewna i olbrzymiego łańcucha skonstruował wysoki trójnóg. Z pomocy tego prostego przyrządu, prapradziadka dzisiejszego traktora, korzystali drwale do czasu zmechanizowania prac leśnych. Potem zaś porzucony, na wpół wrośnięty w ziemię, leżał na skraju pola, niedaleko Wilna. Na ślad tego arcycharakterystycznego dla ówczesnych warunków pracy przyrządu, naprowadził mnie zaprzyjaźniony, sędziwy Kaszub, który znał i cenił moją reporterską pasję. Niestety, nawet on nie potrafił objaśnić mi, czy przyrząd ten obsługiwali ludzie, w okresie, gdy nie było ich stać na woły i konie, czy wykorzystywali go już z pomocą zwierząt.

Anegdotycznie – jak to dziś widzę – przedstawiała się sytuacja znalezienia szczątków starej siedziby ludzkiej, przypominającej jednospadowy szałas. Nim natrafiłam na jego ślad, dość długo

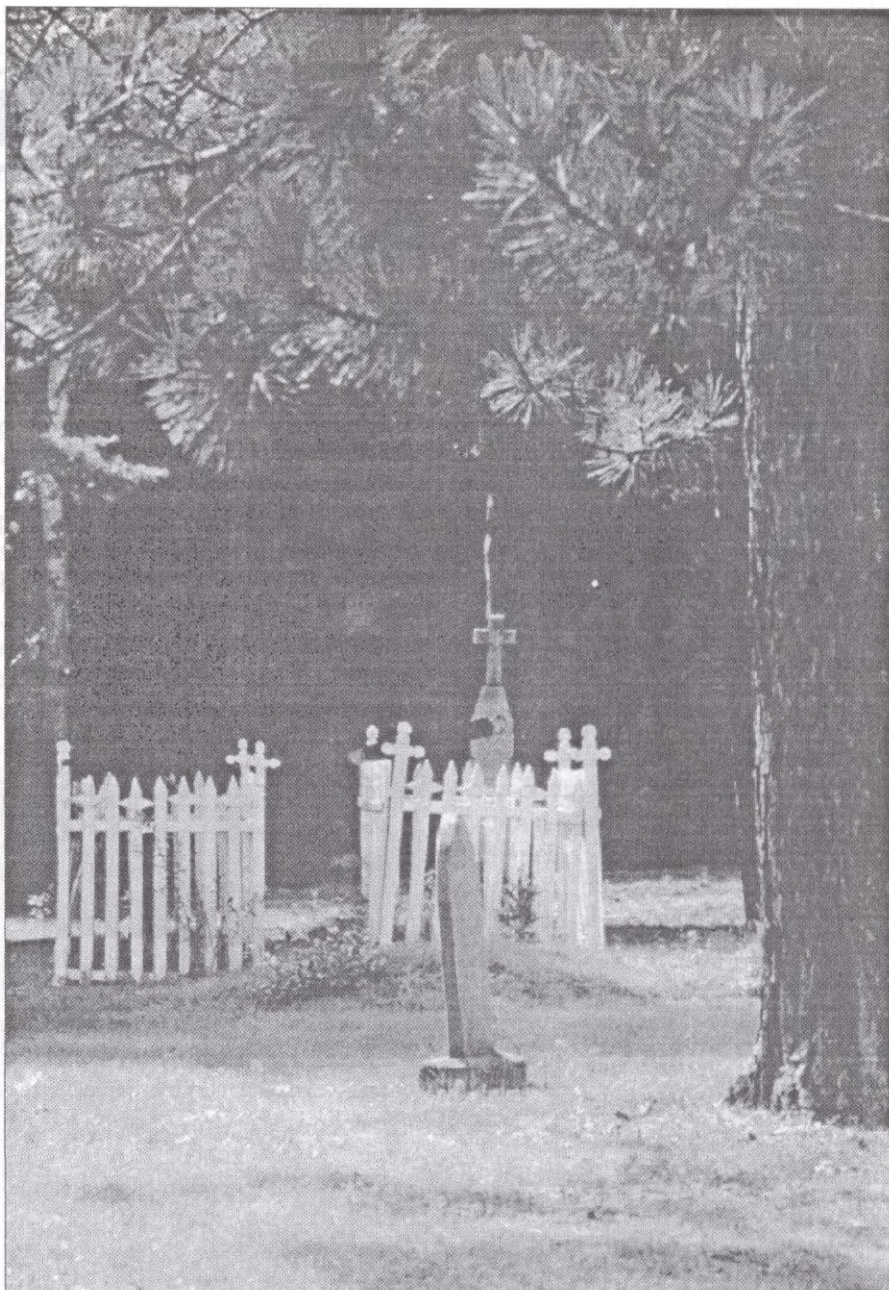
rozpytywałam zaprzyjaźnionych Kaszubów. Podczas jednej z takich towarzysko-sondażowych pogawędek, jedna z rozmówczyń spoglądając na mnie dość podejrzliwie, powiedziała: „Skarbów to tam pani nie znajdzie. Nasi dziadkowie żyli w bardzo przaśnych czasach. Pokażę jednak najstarszą chałupę. Tylko ostrzegam. Nocą to tam podobno straszy. Jego właścicielka – mówiła dalej – popełniła samobójstwo. Okropnie bała się dzikich zwierząt. A do obrony, gdy mąż całymi tygodniami pracował daleko w lesie, miała tę oto kamienną maczugę. Daje ją pani na pamiątkę”. Fotograficzną kopię tej maczugi włączyłam do kolekcji, a oryginał ofiarowałam muzeum regionalnemu w Combermere. Natomiast na podstawie nieźle zachowanych nie okorowanych bierwion, z których sklecona była wskazana przez moją rozmówczynię, prymitywna siedziba ludzka, udało się zrekonstruować dość wiarygodny jej obraz. Całość budowli uzupełniały resztki mchu, uszczelniającego szpary między nakładającymi się na siebie balami drewnianymi budowli i fruwające w otworach okiennych rybie pęcherze, które używane były zamiast szyb. Obok tego pierwotnego domu osadników usytuowane było kamienno-gliniane palenisko, służące do gotowania strawy dla ludzi i zwierząt.

– *Oglądając pani kolekcję pilnie wypatrywałyśmy fotograficznego ekwiwalentu jakiegoś „przedmiotu zbytku”. Nie ma, na przykład, kopii żadnej kobiecej ozdóbki, dziecięcych zabawek itp. Poza kopią skrzypiec nie zauważyłyśmy innych muzycznych instrumentów. Czyżby świadomie pominęła pani tę „niecodzienną” stronę życia osadników?”*

– I ja odczuwałam niedostatek akcesoriów zdobniczych, zabawowych i kultowych. Penetrując kaszubskie okolice, zagrody, wgłębiając się w archiwa parafialne i muzealne eksponaty, zaglądając nawet do rodzinnych albumów i prywatnej korespondencji bezskutecznie szukałam, oprócz przedmiotów użytkowych, także ozdóbek kobiecych, zabawek dziecięcych, instrumentów muzycznych czy innych dawnych przedmiotów dekoracyjno-rozrywkowych. Kiedy zaś, bodajże w domu Marcina Rekowskiego, na ścianie zobaczyłam ręcznie wykonane

skrzypce, byłam ogromnie uradowana. Był to jedyny dawny, ręcznie wykonany instrument muzyczny, jaki napotkałam, i jaki ta rodzina i okoliczna ludność znała. Wydało mi się niewiarygodne, aby Kaszubi nie mieli innych grających instrumentów. Czyżby nie przywieźli ze swojego starego kraju nawyków artystyczno-zdobniczych? – zastanawiałam się. Tymi swoimi wątpliwościami podzieliłam się z moją podwarszawską przyjaciółką. I dzięki niej wkrótce otrzymałam z gdańskiego Działu Etnografii Muzeum Narodowego obszerne opracowanie o instrumentach muzycznych na pomorskich Kaszubach i album sztuki ludowej. Niewiele jednak pomogło mi to w wzbogaceniu kolekcji. Śmielej i bardziej kompetentnie jednak mogłam rozpocząć poszukiwanie. Nieustannie nagabywałam np. o zabawki dziecięce, rozumując, iż skoro podstawowego surowca do wyrobu było dużo, to jeśli nie dorośli, to dzieci same mogły je wykonywać. Drewna było bowiem w nadmiarze. Nie brakowało również gliny, słomy, owoców i tkanin. Podobnie mogło być – rozumowałam – z wyrobami z rogu, plecionkarstwem, wykonywaniem z kamieni i drewna przedmiotów kultu. Kiedy tak gorliwie przeczesywałam tereny i rozpytywałam mieszkańców o szczątki tych pamiątek, po pewnym czasie zaczęłam odnosić wrażenie, iż moi interlokutorzy zaczynają traktować mnie niezbyt poważnie. „Kto by tam troszczył się o przechowywanie takich głupstewek – mówili. – Każdy z naszych dziadków i ojców troszczył się tylko, jak przeżyć i stanąć na nogi. Były dawniej w niektórych rodzinach lalkiszmacianki, proce, gwizdki, grzechotki, robione ze zwierzęcych pęcherzy. Wykonane niestarannie uległy szybkiemu zniszczeniu.”

Czasami wskazywano mi resztki rozpadających się plecionych koszy do połowu ryb, na pół zapadnięte w bagnie i jeziorze. Naprowadzano na ślady glinianych garnków, drewnianych talerzy i łyżek oraz pokazywano sporo drewnianych i kamiennych krzyży. Trochę materiałów odnalazłam także na starych cmentarzach, gdzie zdarzały się nawet wykute w kamieniu figurki świętych. Jedną z nich jest, wielokrotnie przez reporterów fotografowana figura św. Stanisława Kostki na wileńskim cmenta-



Groby pionierów na wileńskim cmentarzu. Fotografie ze zbiorów Anny Lempickiej

rzu pionierów, pochodząca z przełomu wieków. Tak więc, oprócz kopii skrzypiec, ceramiki użytkowej i paru kultowych akcesoriów, nie udało mi się wzbogacić mojej kolekcji o pełniejszy asortyment „przedmiotów zbytku i sztuki”.

– *W części trzeciej, ostatniej, stosunkowo mało jest kopii nowszych sprzętów, pomocy do pracy, urządzeń do użytku codziennego. Przeważają fotografie obiektów gospodarczych, turystycznych, przemysłowych, komunikacyjnych. Czy taka była pani koncepcja dokumentowania? Czy też były trudności obiektywne z doborem, bądź z wyborem?*

– Wbrew pozorom, wybór i dostęp do narzędzi, maszyn i urządzeń późniejszych – co było mi potrzebne do ukazania zachodzących przemian – też nie był najłatwiejszy. Ale ze względu na standardowy najczęściej charakter współczesnych narzędzi, nie przykładałam większej wagi do tego, aby skopiować pełny asortyment. Nacisk natomiast kładłam na udokumentowanie rozwoju budownictwa mieszkaniowego, zakładów przemysłowych, obiektów turystycznych itp. One bowiem, obok starych przedmiotów codziennego użytku, dają świadectwo kaszubskiego trudu i wkładu w rozwój

tej północnej części ontaryjskiej prowincji.

– Czy zgadza się pani z opinią, iż dobra fotografia warta jest tysiąca słów? A gdyby takie kryteria oceniające zastosować do pani kolekcji, to czy można ją potraktować jako wielotomową, realistyczną opowieść o życiu kaszubskich osadników i ich potomków na Madawaskiej Wyżynie?

– Powiem więcej – chociaż to zabrzmiałoby nieskromnie – ta moja kolekcja stanowi wielowariantową kaszubską epopeję, która w wyobraźni każdego odbiorcy odrębną przybiera postać. Przekonałam się o tym, wielokrotnie prezentując moje zbiory w kanadyjskich klubach. Oprócz walorów artystycznych zdjęć, na co koledzy profesjonaliści zwracali największą uwagę, recepcja ich zawartości treściowej przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Byłam ogromnie usatysfakcjonowana, kiedy komplementowano mnie za to, że tak trafnie ukazałam dzieje kaszubskiego wrastania w kanadyjską ziemię i umiejętnie dobrałam eksponaty, co dało im wyobrażenie, jak wielki trud i olbrzymi wkład pracy wnieśli nasi osadnicy w rozwój tego, atrakcyjnego obecnie ośrodka turystycznego.

Także na ontaryjskich Kaszubach, kiedy zaprzyjaźnionym osobom, zwłaszcza tym, które mnie wspierały, pokazywałam fragmenty mojej kolekcji, wybuchały ożywione dyskusje, spory i ożywały wspomnienia. Każdy niemal z oglądających te sfotografowane przeze mnie dawne przedmioty, sprzęty, urządzenia, budowle nieco inaczej je komentował. A niektórzy, objaśniając praktyczną użyteczność sfotografowanych zabytków okraszali je anegdotą, facesją, opowieścią. A co mnie najbardziej ucieszyło – dzięki tej mojej penetracji, pamiątki historyczne zaczęto chronić i cenić.

Boję się jednak konfrontacji z krajowym odbiorcą, zwłaszcza z tych okolic, z których prawie półtora wieku temu wyemigrowali pierwsi osadnicy i gdzie narosło i do dziś pokutuje wiele mitów o kanadyjskim Eldorado. Nie wiem również, czy spełnię oczekiwania organizatorów, którzy z taką życzliwością odnieśli się do pomysłu wystawienia części mojej kolekcji w Oddziale Etnografii Muzeum Narodowego w Gdańsku. ■

Józef Borzyszkowski

KASZUBSKIE LOSY

Brat Zdzisław Jażdżewski

Nazwisko Jażdżewskich, dzięki Bolesławowi z Lipuskiej Huty, autorowi „Wspomnień gburą” oraz sympatycznych gadek i wierszy, z zamilowania kronikarza rodziny i dziejów lipuskich stron jest czytelnikom „Pomernii” nieobce. W jego bogatej twórczości pamiętnikarza i dokumentalisty jest m.in. praca „Historia Lipuskiej Huty i rodziny Jażdżewskich”. Na jej kartach autor szczególnie wiele pisze o swoim dziadku Chrystianie (rocznik 1849), po którym odziedziczył nie tylko umiłowanie rodzinnych stron i historii, ale i talenty kronikarskie. W pisanej w 1982 roku rodzinnej kronice Bolesław wspomina dziadkowego brata Franciszka (rocznik 1854), który wzenił się w gospodarstwo w Wielkim Klinczu i doczekał się dwanaściora dzieci. Jednym z owej dwunastki był Robert, który został misjonarzem i przebywał na wyspie Flores w Indonezji.

Wskutek wojny i późniejszych komplikacji, dalsza rodzina nie orientowała się w losach swojego krewniaka do momentu jego śmierci 8 lutego 1982 roku. Dopiero dzięki o.o. Misjonarzom Słowa Bożego – czyli werbistom z Górnej Grupy, a konkretnie brata Jana – Franciszka Kałasa z Pieniężna, autora artykułu „Z Wielkiego Klincza do Indonezji”, opublikowanego w „Naszym Tygodniku Kościerzyna” (28 I 1994), doszły do rodziny i ziomeków wspomnienia o dokonaniach brata Zdzisława – Roberta Jażdżewskiego. Pogrzeb kaszubskiego zakonnika 9 lutego 1982 roku stał się okazją do wyrażenia mu pośmiertnej wdzięczności i ujawnienia części jego dokonań w czasie 44 lat misjonarskiej służby. Wyrazem szacunku dla zmarłego był udział w pogrzebie tamtejszego wojewody licznych rzesz młodzieży, duchownych z biskupem na czele. Zebrani na pogrzebowej

homilii dowiedzieli się nieco więcej o zasługach zmarłego i o kraju jego pochodzenia, o Kaszubach – Polsce oraz sile i roli kaszubskiej rodziny. Padły wówczas słowa, które znalazły się na łamach gazet: „Cześć rodzicom za tak wspaniałego syna, którego oddali na służbę drugim. Rodzeństwo, krewni, Kaszubi, możecie być dumni z takiego brata i rodaka”.

Robert Jażdżewski urodził się 30 sierpnia 1915 roku. Dzieciństwo i młodość spędził w Wielkim Klinczu i Kościeńcu, gdzie w latach 1922–1929 ukończył szkołę podstawową. W 1934 roku, mając 19 lat, zgłosił się do Zgromadzenia Misyjnego Księży Werbistów w Górnej Grupie. Po latach nauki – probacji (postulat, nowicjat) składa pierwsze śluby zakonne i przyjmuje imię Zdzisław. Skierowany do Indii Holenderskich – dzisiejszej Indonezji – składa tam w 1942 roku śluby wieczyste. Pierwszym miejscem jego pracy była wyspa Flores – Wyspa Kwiatów, jej górzysta i bezdrożna zachodnia część – Manggarai. Tu nauczył się języków tubylczych – manggarajskiego i malajskiego oraz z czasem niemieckiego, holenderskiego i angielskiego. Jeden z braci przekazał mu wiedzę z zakresu budownictwa, w czym dokształcał się i specjalizował prawie do końca życia.

Gdy II wojna światowa objęła Indonezję brat Zdzisław znalazł się wśród ewakuowanych mieszkańców wyspy – pasażerów statku zbombardowanego przez lotnika japońskiego w pobliżu Sumatry. Dzięki przytomności jego umysłu i zdolnościom konstrukcyjnym – zbudował tratwę – uratowało swe życie około 40 pasażerów. Po zajęciu Sumatry przez Japończyków, w 1942 roku Zdzisław znalazł się w obozie koncentracyjnym na wyspie Celebes, gdzie

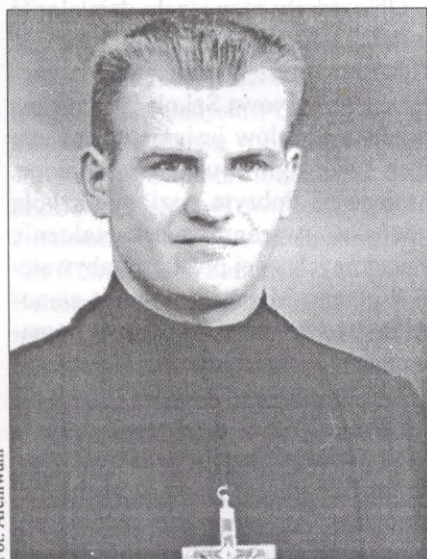
udało mu się nawiązać konspiracyjny kontakt z przedstawicielami Australii. Dzięki temu w 1943 roku znalazł się wraz z innymi uciekinierami na podwodnym okręcie australijskim. Po przybyciu do Australii wstąpił do tamtejszej marynarki wojennej i do końca wojny brał udział w walkach morskich na oceanach Indyjskim i Spokojnym.

Po zakończeniu wojny wrócił na wyspę Flores, by odbudowywać zniszczone kościoły, stacje misyjne i szkoły. Swoją wiedzę z zakresu budownictwa wzbogacił w 1958 roku, będąc w czasie urlopu, zamiast u rodziny w Polsce, dokąd go nie wpuszczono, w USA. Według informacji brata Jana, brat Zdzisław otrzymał, tak jak niemal wszyscy misjonarze przed II wojną światową, przeznaczenie do danego kraju na stałe, bez perspektywy urlopów, z wyjątkiem koniecznego leczenia w Europie. Po wojnie nastąpiła zmiana konstytu-

downiczy, do którego zwracali się także miejscowi radzowie. Od jednego z nich otrzymał w nagrodę „wyspę” – ogród jakich tam bardzo wiele. Doceniły go też władze Indonezji. Został powołany w skład grupy roboczej do opracowania programu rozwoju wysp Flores i Tymor. Na koncie jego dokonań zapisano ponad 80 różnych obiektów – szkół, kościołów, stacji misyjnych, zapór wodnych itp. Szczególną wdzięczność wzbudził za pomoc okazywaną tubylcom oraz przybywającym po wojnie do Indonezji misjonarzom werbistom, głównie z Polski i Słowacji. „Przy każdej okazji spotkania do późnych godzin gawędził z nimi w szczerości i otwartości, jaka tylko u Kaszubów możliwa”. Pisano też o nim: „Sis jest naszą chlubą i całe Manggarai go zna, a prosty lud więcej go ceni niż niejednego kapłana. Jest tu weteranem, który zdał egzamin życiowy, któ-

go następców rodzinne Kaszuby i Polskę prosi tamtejszy biskup, m.in. za pośrednictwem konsula i ambasadora RP. Oczywiście, że werbiści dumni z brata Zdzisława, pamiętając o licznych powołaniach na ziemi kaszubskiej, mający swoje placówki i parafie nie tylko w Górnej Grupie i Laskowicach Pomorskich, ślą nieustannie zaproszenia do młodzieży na Kaszubach, by studiowała w seminarium w Pieniężnie na Warmii. Rodzina Jażdżewskich dumna jest dziś ze swego krewniaka; sam Bolesław Jażdżewski liczy także na to, iż młodzi pójdą w ślady br. Zdzisława.

Na marginesie losów br. Zdzisława warto uświadomić sobie, iż wielu podobnych jemu synów i córek kaszubsko-pomorskiej ziemi tak w XIX, jak i XX wieku spędziło pracowite lata w zgromadzeniach zakonnych we wszystkich zakątkach świata. Jest to problem badawczy dla historyków i kronikarzy



Fot. Archiwum

Brat Zdzisław Jażdżewski...



Fot. Archiwum

życie codzienne na wyspie

cji zakonnej, zgodnie z którą można było co pięć lat przyjeżdżać do Polski, a z kontynentu afrykańskiego co trzy lata, na kilkumiesięczny urlop. Do roku 1965 władze PRL oficjalnie w ogóle nie pozwalały na wjazdy misjonarzy i utrudniały przyjazdy do kraju. Pierwszy raz na urlopie brat Zdzisław był w Polsce i w Kościerzynie u rodzeństwa w 1963 roku, po 25 latach, drugi – ostatni w 1970. Stąd też nieco słabsze kontakty z całą dalszą rodziną, w tym także z kronikarzem rodu Bolesławem Jażdżewskim.

Po powrocie z USA założył brat Zdzisław na Flores szkołę rzemieślniczą, a na wyspie zasłynął jako najlepszy bu-

ry jest tu trudniejszy niż maturalny, czy nawet doktorski”. Sis – to potoczne imię brata Zdzisława.

W milenijnym 1966 roku odbyły się w Indonezji wspólne – polskich i słowackich misjonarzy – słowiańskie rekoлекcje. W czasie ich trwania zrodził się pomysł budowy wotywnego kościoła pod wezwaniem matki Boskiej Częstochowskiej, jako pomnika wdzięczności za tysiąclecie chrześcijaństwa w Polsce i 1100 lat na Słowacji. Realizatorem – budowniczym tej świątyni został brat Zdzisław. Stoi ona na malowniczej górze Golokart z widokiem na ocean i wygasły wulkan. Jest ukoronowaniem prac brata Zdzisława, o które-

zgromadzeń, które na Kaszubach były i są najbardziej popularne. Obok misjonarzy werbistów wśród zgromadzeń męskich będą to, jak sądzę, oo salezjanie (Rumia) i franciszkanie (Wejherowo) oraz Zgromadzenie św. Rodziny (Górka Klasztorna koło Łabienicy) i redemptoryści (Toruń). Nie znam dotąd żadnej, nawet przyczynkarskiej pracy, która by ten problem szerzej wyjaśniała. Jest to też ciekawy fragment dziejów kaszubskich, kociewskich, pomorskich rodzin. Niektóre z nich do dziś mogą zaprezentować krewnych żyjących w różnych zakątkach Europy i poza jej granicami – w klasztorach i domach spokojnej starości – na obczyź-

nie, dokąd trafili jeszcze przed I i II wojną światową. Równie ciekawy problem badawczy historyczno-socjologiczny, to współczesny stan zgromadzeń zakonnych działających na Pomorzu; stopień zasilania ich szeregów powołaniami z tej ziemi oraz losy kolejnych pokoleń zakonnic i zakonników z tej ziemi się wywodzących. Jedno z licznych pytań – czym wyróżniają się ci ludzie jako Kaszubi, Pomorzanie w swych zgromadzeniach, jak dzięki nim widziany jest nasz region w międzynarodowych z reguły społecznościach zakonnych? Zachęcam do szukania odpowiedzi na te i inne pytania.

Już dziś mogę poinformować czytelników, że w pierwszej odpowiedzi na powyższe pytania brat Jan Kałas, werbista z Pieniężna, przysyłając sporo bardzo ciekawego materiału biograficznego, ilustrującego obraz Kaszubów w zgromadzeniu, wskazał na „pełne wymowy i prawdy” słowa znanej kaszubskiej pieśni: „Tam gdzie Bałtyku szumią jasne wody / gdzie w skromnej chatce ma kolebka stała / gdzie nad Wierzycą kaszubskie zagrody / tam w ojców wierze matka mnie chowała / i rzekła do mnie, o synu, kochanie / Kto Kaszubą rodem Kaszubą zostanie”. Szczególnie mocno brat Jan podkreśla, bazując na słowach Franciszka Sędzickiego, takie przymioty Kaszubów, poznane dzięki liczным współbraciom z zakonu, jak: skromność i stałość, ukochanie i cześć dla Polski, ofiarność w poświęceniu dla drugiego człowieka, kaszubski upór – wytrwałość i wierność swemu powołaniu, a jednocześnie i to: „Jednak mych Kaszub kochać nie przestanę / bom Kaszubą rodem, Kaszubą zostanę!”.

Chciałoby się tu przytoczyć liczne listy i wspomnienia, które zawierają nie tylko pośmiertny obraz brata Zdzisława Jażdżewskiego ale także podobnych jemu ziomków. Nie sądzę, by obraz ten był wszędzie tak jednostronnie pozytywny. Mam przekonanie, że „Pomerania” chętnie podejmie dalej ten temat – opublikuje następne materiały dotyczące udziału Kaszubów i Pomorzan w pracy misyjnej w różnych zakątkach Europy i świata. Może na początek będzie to właśnie Zgromadzenie Słowa Bożego – misjonarzy werbistów. ■

DWIE TRADYCJE JEDEN WĄTEK

Kalina Gumowska-Zabuska

We wrześniu pół wieku istnienia obchodzi gdańska szkoła - Technikum Mechaniczno-Elektryczne. Szkoła ta zrodziła się z dwóch tradycji, gdańskiej i wileńskiej, które splatały się przedziwnie od 1922 roku, by ostatecznie w 1945 roku związać się w jeden wątek.

Wśród repatriantów, którzy przybywali do Gdańska, znaleźli się wykładowcy wileńskiej Państwowej Szkoły Technicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Byłemu dyrektorowi tej szkoły, inżynierowi Janowi Gumowskiemu (pełniącemu funkcję w latach 1933-1939, do usunięcia przez władze litewskie) nasunęło to pomysł, by wykorzystać wileńską kadrę nauczycielską przy tworzeniu gdańskiego szkolnictwa. Jeszcze w czerwcu 1945 roku, przed repatriacją z Wilna, inżynier Gumowski złożył stosowny wniosek w Ministerstwie Oświaty w Warszawie. Po przyjeździe na Wybrzeże, nominowany na dyrektora, był współorganizatorem liceów technicznych: budowlanego, mechanicznego i elektrycznego. Szkoły te, uzupełnione wydziałami chemicznymi i drogowo-mierniczym, utworzyły - na wzór przedwojennego modelu katowickiego - wielką placówkę nauczania technicznego, nazwaną Gdańskie Techniczne Zakłady Naukowe. Wśród wykładowców tej szkoły, poprzedniczki obecnego Technikum Mechaniczno-Elektrycznego, znaleźli się wówczas lubiani i szanowani w wileńskiej Państwowej Szkole Technicznej, a potem wybitnie zasłużeni dla Gdańska, profesorowie. Był wśród nich między innymi architekt Jan Borowski, późniejszy kierownik Katedry Historii Architektury Politechniki Gdańskiej, który poświęcił się odbudowie i rekonstrukcji gdańskich zabytków. Był późniejszy prodziekan Wydziału Elektrycznego Piotr Ciechanowicz i Wiktor Szukszta, dziekan Wydziału Łączności tejże Politechniki.

Miejscem, które wybrali w Gdańsku na szkołę, był gmach byłego gimnazjum. Zburzony, jak całe miasto, odbudowali wspólnie z uczniami. Już w 1946 roku gmach dawnego Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej przy ówczesnej ulicy Białowieskiej, dziś noszącej imię Jana Augustyńskiego, zasłużonego dyrektora gimnazjum, stanął na powrót. Tak spięta została klamra, która łączyła od zarania dwie, zdawać się może, odległe szkoły Gdańska i Wilna.

Obie szkoły rozpoczęły działalność w 1922 roku - Gimnazjum Polskie w Gdańsku otwarto 9 maja, natomiast wileńska Państwowa Szkoła Techniczna przyjęła uczniów jesienią. Założenie tych szkół było równie uzasadnione. Stojąca na dobrym poziomie szkoła gdańska, gwarantowała kształcenie świadomych swej polskości obywateli Wolnego Miasta, natomiast stanowiące tradycyjnie silny ośrodek humanistyczny Wilno, potrzebowało specjalistów, mogących podjąć się odbudowy i rozbudowy infrastruktury przemysłowej. W organizację gdańskiego gimnazjum osobiście zaangażowany był Stanisław Przybyszewski, późniejszy jego wykładowca. Słynny pisarz był autorem pomysłu utworzenia ogólnopolskiego funduszu na rzecz szkoły. Akcja musiała przebiegać pomyślnie, miasto Wilno wpłaciło na ów fundusz kwotę bliską połowie miliona marek. Nie można wykluczyć, że pieniądze te zasiły kapitał przeznaczony na adaptację budynku dawnych koszar, które miały stać się siedzibą szkoły. Zawile koleje losu sprawiły, że dwadzieścia parę lat później gmach Gimnazjum Polskiego w Gdańsku udzielił schronienia repatriowanej z Wilna kadrze nauczycielskiej Państwowej Szkoły Technicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

I jeszcze jeden wspólny wątek. Właśnie do wileńskiej Państwowej Szkoły

Technicznej gdańska Macierz Szkolna skierowała w 1931 roku trzydziestoosobową grupę uczniów, którzy z poruczenia Polskich Kolei Państwowych mieli przygotować się do pracy w kolejnictwie.

Mówiący twardo gdańszczanie odstawali początkowo od swych kolegów, tworząc odrębną grupę. Zbliżenia nie ułatwiały pojawiające się problemy językowe. Pomoc językowa i merytoryczna specjalnego opiekuna, a także serdeczność, z jaką grupa była przyjmowana w PST, przełamały bariery izolacji. Po ukończeniu Państwowej Szkoły Technicznej w Wilnie stypendyści powrócili do Gdańska i zgodnie z planami rozpoczęli pracę, głównie na kolei.

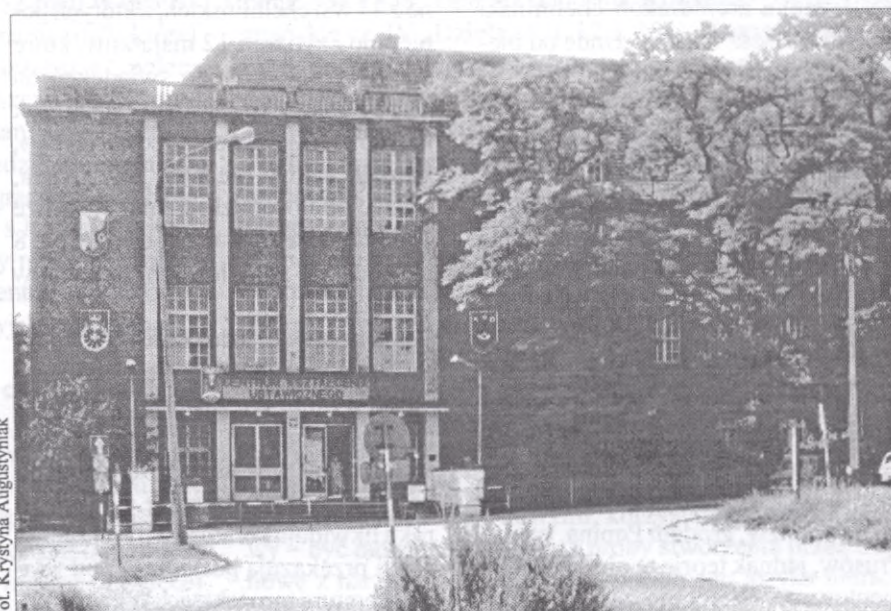
Wojenne losy wielu uczniów wileńskiej szkoły, wśród nich także i tych wywodzących się z Gdańska, były tragiczne. Przypomnijmy choć kilku gdańszczan. Mieczysław Olszewski zginął w obronie stacji Szymankowo, w której brał udział inny uczeń PST - Bernard Kleina. Władysław Gdanietz, więziony od 1939 roku w Stutthofie, zginął przy wyzwaniu obozu. W Stutthofie więzieni byli również Zygmunt Lendzion, Wacław Lewandowski, Brunon Bluma, Leon Samulski, Jan Szulc, Bernard Noetzel, Stefan Belwin, Antoni Bianga, Feliks Gardzielewski i Gustaw Hoppe. Willy Krauze, zapamiętany przez kolegów jako koncertujący w wileńskim radiu pianista, osadzony został w obozie Grentzdorf. Wielu spośród grupy wykształconych w Wilnie gdańszczan poległo na swych kolejowych posterunkach w pierwszych dniach wojny.

Absolwenci Państwowej Szkoły Technicznej w Wilnie opracowali swe wspomnienia w starannie wydanej przez wydawnictwo „Arkady” monografii - „Państwowa Szkoła Techniczna w Wilnie im. Marszałka Józefa Piłsudskiego”. Tom ten stanowi wynik pracy entuzjastów, którzy zebrali zapiski rozrzuconych po świecie kolegów i złożyli noty biograficzne wykładowców i uczniów szkoły. Autorzy wspomnień nie szczędzą ciepłych słów latom spędzonym w szkole. Musiała tam panować niezwykle atmosfera, skoro potrzeba utrwalenia pozornie „małej” historii zmobilizowała przedwojennych absolwentów do podjęcia trudu opracowania i wy-



Repr. Krystyna Augustyniak

Państwowa Szkoła Techniczna im. Marszałka Józefa Piłsudskiego



Fot. Krystyna Augustyniak

Gmach Technikum Mechaniczno-Elektrycznego – dawniej Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej

dania monografii. Monografii, która stanowi nieocenione źródło wiedzy nie tylko o działalności szkoły, jej wykładowcach i uczniach, ale i o atmosferze towarzyszącej budowaniu odrodzonego państwa.

Przy zbieraniu materiałów konieczne było sięgnięcie do dokumentów, przechowywanych w archiwach, w tym w Wilnie. Przedstawiciele zespołu redakcyjnego nie tylko spenetrowali archiwum, lecz także nawiązali osobisty kontakt z Vilniaus Politechnikumas - szkołą przy byłej ulicy Holendernia 12, która zajmując dawny budynek PST, z dumą odwołuje się do przedwojennej tradycji tego miejsca.

W auli gdańskiego Technikum Mechaniczno-Elektrycznego, dawnego Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej, nie ma już słynnego „Nieba polskiego”. Ogromny plafon, namalowany przez zrzeszonych w Bractwie św. Łukasza Bolesława Cybisa i Jana Zamoyskiego, przedstawiał Polskę wśród alegorycznych postaci. Nie ma fresków „Wisła do Gdańska” i „Koleją do Gdyni”, autorstwa innych członków Bractwa - Stefana Płuzańskiego i Mieczysława Jurgielewicz. Niech więc pozostanie żywa pamięć, jak ważną funkcję pełniła ta szkoła w okresie Wolnego Miasta i jak istotną rolę odegrała po wojnie. ■

ZAMEK BIERZGŁOWSKI

Małgorzata Pieniek

Nim zajmiemy się leżącym na Pojezierzu Chełmińskim, niedaleko Torunia zamkiem, warto zastanowić się nad samą nazwą tej miejscowości. Legenda łączy jej rodowód z działalnością misyjną pierwszego biskupa Prus Chryściana. Ponoć w tychże czasach, w istniejącej tu kaplicy, wielu pogan ochrzciło się i przyjęło sakrament bierzmowania. Spisujący to podanie w XVII wieku archidiakon chełmiński Ludwik Strzesz notuje: „Unde od bierzmowania z głów deductum pagi vocabulum Bierzgłowo” (Fontes Tow. Nauk. w Toruniu VI-X, s. 258). Takie brzmienie tej miejscowości w dokumentach źródłowych pojawia się dopiero w pokojowym traktacie toruńskim z 1466 roku. Wcześniej popularne były ziemczone nazwy, jak Birgelow, czy Bierglow.

A co z zamkiem? Otóż na terenie obecnych ruin bierzgłowskiej warowni niegdyś istniał gród, o czym świadczą mogą znalezione monety i ozdoby z X i XI wieku. Niektórzy utożsamiają go z tzw. grodem Pepina, wodza Prusów, jednak teorie te nie są udokumentowane. Wiadomo zaś, że już w 1260 roku Zakon Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego prowadził tu pierwsze prace budowlane. W trzy lata później, w czasie powstania pruskiego, Litwini pod wodzą Trojnata docierają aż do ziemi chełmińskiej, zdobywają zamek bierzgłowski. Opisuje to Piotr z Dusburga, kronikarz zakonny, a za nim wiadomość tę powiela Jan Długosz, pisząc: „Ta zbrojna tłuszcza, która naszła Ziemię Chełmińską, zdobyła na Krzyżakach i spaliła zamek Bergelow, a splądrowawszy kraj cały, wielką liczbę chrześcijan wprowadziła w niewolę” (J. Długosz. Dzieje Polski. Kraków 1868 t. 2 s. 436). Tejże „tłuszczy” nie udaje się jednak zdobyć wieży zamku bierzgłowskiego. Być może, była ona już wtedy kamienna.

Wiemy, iż budowę murowanego zamku rozpoczęto z pewnością przed 1270 rokiem, kiedy to musiał odeprzeć atak Jaćwiegów pod wodzą Skomanda (1277). Mimo tych przeciwności, finanse Zakonu nie mogły wyglądać źle. Zamek odbudowywano, a i folwark obok zamku nieźle prosperował. Oprócz folwarków zamkowych w Bierzgłowie i Kowrozach dochód czerpano z 11 wsi chełmińskich, z których pobierano czynsze i 12 majątków, które zobowiązane były do świadczeń na rzecz zamku. Cóż, nie było to mało, jak na niewielkie przecież komturstwo, którego załoga nie była zbyt liczna, sądząc po ilości uzbrojenia. W tymże 1388 roku na zamku znajdowało się 8 pancerzy, 15 zbroi lekkich, 13 hełmów i 27 kusz.

Uzbrojenie to jednak nie wystarczyło, by przeciwstawić się polskiemu wojsku, które w czasie wielkiej wojny zdobyło zamek. Według postanowień pokoju toruńskiego wrócił on ponownie w krzyżackie ręce. Ci w 1415 roku likwidują komturstwo bierzgłowskie i przekazują posiadłość pod władzę komtura toruńskiego. W czasie kolejnej wojny z Zakonem zamek zajęła szlachta ziemi chełmińskiej. W 1454, po klęsce pod Chojnicami, Kazimierz Jagiellończyk obawiając się, by zamki nie wpadły znów w ręce Krzyżaków, rozkazał niektóre z nich zburzyć. Los ten spotkał zamek bierzgłowski, jednak polecenie prawdopodobnie wykonano jedynie częściowo, gdyż w następnych latach służył on jako mieszkanie dla administratorów. Po 1466 roku dobra bierzgłowskie otrzymali od króla, tytułem zastawu, radcy toruńscy, od których zresztą wkrótce rada miejska je odkupiła. Przejściowo właścicielem zamku był Jan Oleski z Ostrowitęgo.

Zamek spalił się w 1590 roku. W pierwszej połowie wieku XVIII został

odnowiony, jednak już w 1769 roku spustoszony przez konfederatów barskich, a w 1782 znów spalony. Do 1840 roku Bierzgłów był w posiadaniu rady miasta Torunia, następnie przeszedł w ręce prywatne, a w 1903 roku, wraz z dobrami, został nabyty przez rząd pruski. Już w 1860 roku trwały prace przy odbudowywaniu skrzydła południowego, według projektu Pavelta. Jednak rok 1908 przyniósł kolejny pożar, niszczący zamek. Rząd pruski podjął szybko prace nad rekonstrukcją, według wskazówek Konrada Steinbrechta. W 1929 roku obiekt został wydzierżawiony, a w 1933 zakupiony przez kurię diecezjalną chełmińską. Po roku 1936 wznowiono rekonstrukcję.

Zamek główny złożony był z dwóch prostopadłych do siebie skrzydeł mieszkalnych oraz muru obwodowego. W murze, w odcinku północnym od strony zewnętrznej na osi umieszczony jest portal, powstały około 1305 roku, będący jedną z większych atrakcji, jak i zagadek krzyżackiej twierdzy. Tynkowane pole obramowane wałkiem zostało rozczłonkowane ślepym trójdzielnym manswerkiem. W każdym segmencie widnieje półplastyczna postać rycerza: w środkowym konnego, we wschodnim krocącego z dzidą, w zachodnim skulonego z mieczem. Płaskorzeźba ta, wykonana z gliny, w pierw szej suszonej, potem kutej i palonej, stanowi jedno z najwybitniejszych dzieł sztuki ceramicznej w Europie schyłku XIII i początku XIV wieku. Poza obszarem Prus rzeźba w bloku suszonej gliny nie była nigdzie stosowana na szeroką skalę.

Znaczenie przedstawionej na portalu sceny różnie było interpretowane. Według Steinbrechta płaskorzeźba przedstawia wielkiego mistrza i dwóch rycerzy. Inni badacze sugerowali, iż może to być scena fundacyjna. A zdarzali się też tacy, którzy widzieli tam ucieczkę świętej rodziny do Egiptu, a nawet Maryję z dzieciątkiem. Dziś jednak dopuszcza się raczej jedynie dwie pierwsze hipotezy. Płaskorzeźba okolona jest inskrypcją, ułożoną z glazurowanych plakierek. Według B. Schmi da brzmi ona następująco: Salt nicht lant in de capellen mvs cir.

Zamek czeka na odkrywców i badaczy.

Wersja kaszubska pieśni „Idzie żołnierz borem, lasem”

Jerzy Treder

Zygmunt Szultka niedawno przypomniał („Pomerania” 3/1995) pełny tekst – zdaniem F. Ceynowy – „pieśni ludowej”, ponoć „szeroko upowszechnionej na Kaszubach”, noszącej tytuł „Vójna” i przetłumaczonej też przez Ceynowę na niemiecki. W swoim wcześniejszym artykule („Pomerania” 10/1994), tę liczącą 22 zwrotki pieśń dość niefrasobliwie określił jako „kaszubską pieśń ludową”, pisząc m.in. o niej: „Materiałów tych nie wykorzystano dotąd w badaniach naukowych”.

Obie informacje mylące. Pieśń ta bowiem została wydrukowana – pod tytułem „Żołnierz” – w 1852 roku w Petersburgu w pracy „Obrazcy kaszebskago nareczija”, której część zasadniczą stanowią „Przesłowjo kaszebskje”, potem właśnie „Pjesn ledovo”: „Żołnierz” i wreszcie: „Zabobone, gusła e jinsze fraszki”. Podpis: Florian Stanjislav Cejenova [sic! – J.T.], Wójkasin, a całość poprzedził wstępem I.I. Srezniewski, który najpierw naszkicował granice Kaszub (na podstawie Ceynowy „Rozmówa Pólocha s Kaszebą”) i podał liczbę Kaszubów (300 tys., niektórzy nie więcej niż 5 tys.), potem pochwalił Ceynowę, zaprezentował jego ortografię i na jego przykładach podobny rosyjskiemu ruchomy akcent kaszubski.

Cały ten materiał był badaczom znany, choć do końca nie zbadany. Pierwszy przypomniał go W. A. Francew w artykule „Fl. Ceynowa i prof. Jzmael Srezniewski” („Gryf” IV 1912 nr 4, s. 86): Ceynowa Akademii w Petersburgu w r. 1851 „posyła (...) jedną pieśń ludową (Żołnierz) i jedną dumkę o swataniu, obie w oryginale i w tłumaczeniu niemieckim; oprócz tego bogaty zbiór przysłów ludowych (więcej niż 500), a także cenny spis (27) zabobonów (zabóbóne) kaszubskich. Czerpiąc z tych to materiałów, Srezniewski ogłosił drukiem w »Pomnikach i wzorach języka i literatury ludowej słow« (zeszyt I s. 95-112, 1852) pieśń »Żołnierz«, opuszczając niemieckie tłumaczenie Ceynowy, dalej – przysłowia i zabobony kaszubskie, wykreślając jednakże ze zbioru przysłów Ceynowy te, które wskutek swej ordynaryjności nie mogły być umieszczone w wydawnictwie Akademii (z 514 przysłów wydrukowanych zostało 495)”. Bardzo wiernie relację Francewa streścił W.B. (J. Karnowski) w art. „Dr. Florian Ceynowa” („Gryf” V 1921, nr 4); notabene, w „Katalogu pism Ceynowy” wymienia on tylko przysłowia i zabobony, zapominając o tej pieśni („Gryf” VI 1922, nr 2). Całkowicie pominął te publikacje i wiadomości o nich A. Bukowski w „Regionalizmie kaszubskim” (1953).

Wspomniałem o tym krótko w posłowie do wydania nowego tłumaczenia książki A. Hilferdinga „Resztki Słowian na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego” (Gdańsk 1989), gdzie w zbiorze tekstów gwarowych „pod nr. 55. kryją się raczej dwie odrębne pieśni: pierwsza 4-zwrotkowa

„Na 'ni stronie goj” i druga 22-zwrotkowa „Nieszczestlewo matka bęła”, która została opublikowana wcześniej w innej pisowni pt. „Pjesn ledovo: Żołnierz”. Na s. 168 tej książki, właśnie pod nr. 55. niemal jej identyczny tekst, do którego odnieść należy uwagę (ze s. 169): „(51-56. zapisane w Kościerzynie, Behrendt)”.

To samo mamy oczywiście w najstarszym polskim tłumaczeniu dziełka Hilferdinga, mianowicie u O. Kolberga. Wydrukowano je jednak dopiero w 1965 roku w jego „Dzielałach wszystkich”, t. 39, s. 449, gdzie są osobno pod numerami: 55a i 55b. Tam też odnośnik Kolberga: „Obacz: Poznańskie cz. IV „Dzielał...”, t. 12 s. 254). Nawiążę do niego niżej, dodając tutaj przy okazji rzecz może mniej ważną, ale i mało znaną. Otóż Kolberg przed swą wyprawą etnograficzną na Pomorze w 1875 roku znał już rozprawki Ceynowy i Hilferdinga (zob. „Dzielał...”, t. 39, s. XXII), a na samym jej początku był w Chmielnie, gdzie poznał ks. G. Pobłockiego, autora słownika kaszubskiego (1887), i w „Bukowcu pod Terespołem, gdzie poznawszy się ze znanym kaszubskim literatem, p. Cejnową, z ciekawszych jego wskazówek i informacji wielce w następstwie korzystałem” („Dzielał...”, t. 39, s. XXIV, sprawozdanie z podróży). J. Burszta napisał: „Nie wiemy jednak nic bliższego o wzajemnych stosunkach tych obu, różnego zresztą pokroju, uczonych. Uderza kompletny brak korespondencji między Kolbergiem a Cejnową, nie widać też w materiałach Kolberga, poza przykładami językowymi, korzystania z dzieł Ceynowy – być może ze względu na próby stworzenia przez Cejnowę z narzecza kaszubskiego specjalnego języka literackiego, co mogło się Kolbergowi nie podobać” („Dzielał...”, t. 39, s. XXX). Może taka postawa tłumaczy też brak w jego korespondencji najmniejszej wzmianki o S. Ramulcie?

Zauważmy wreszcie, że Kolberg w 1865 roku korespondował z Hilferdingiem, który był promotorem przyjęcia Kolberga na członka Carskiego Towarzystwa Geograficznego i którego dziełko już znał (por. „Dzielał...”, t. 54, s. 131), a przetłumaczył tuż po roku 1877. Wysoko je ocenił, m.in. jako: „kamień probierczy do krytycznego oceniania rozpraw, jakie by kiedykolwiek i przez kogokolwiek w przyszłości nadesłanymi być miały w tym przedmiocie do Akademii [Umiejętności – J.T.], oszczędzi tejże publikacji prac takich, które by przedstawiały rzeczy mniej dokładnie opisane lub też nie były na wysokości stanowiska naukowego, jaki zajmował śp. Hilferding” (List z 1880 r. w: „Dzielał...”, t. 65, s. 423). Chwali je również w przedmowie do samego tłumaczenia, gdzie zauważa: „Od czasu jej ogłoszenia przez Hilferdinga przybyła nam niemała liczba materiałów do coraz dokładniejszego poznania kraju tego, jak i jego ludności, pomocnych. Przyłożyły się do tego prace, mianowicie

pp. Cejnowy, ks. Pobłockiego i dra Kętrzyńskiego. Cejnowa wygotował także mapę kraju niezwykłych rozmiarów i skreślił listę szczegółową wszelkich miejscowości, gdzie mowa kaszubska i jej odcienia są dotąd w użyciu. My sami notowaliśmy w kilku miejscowościach nasze spostrzeżenia, spisywali zwyczaje i zbierali pieśni. Materiały te nie omieszkamy stopniowo podawać do wiadomości publicznej wraz z uwagami, dotyczącymi języka i próbkami tegoż” (t. 39, s. 307-308). Planów tych nigdy nie zrealizował. Cejnowa tekstu tej pieśni czy petersburskiego jej druku jemu nie przekazał, gdyż inaczej Kolberg musiałby się zorientować w zbieżnościach posiadanych wersji z kaszubską u Hilferdinga.

Czy zanotowanie w terenie tej pieśni przez Hilferdinga potwierdzać może stwierdzenie Cejnowy o jej ewentualnym rozpowszechnieniu na Kaszubach? A może prościej tłumaczyć to wpływem czy zależnością Hilferdinga od Cejnowy, zwłaszcza jego tekstów i słowniczka, jak niektórzy by chcieli? Jak wiadomo, Cejnowa towarzyszył trzy dni Hilferdingowi w jego podróży po Kaszubach. We wstępie Hilferdinga czytamy: „Pojechawszy razem do Gdańska, udaliśmy się stamtąd na zachód, aby obejrzeć krainę kaszubską, gdzie odwiedziliśmy Wejerowo (Neustadt), Lauenburg, czyli – jak go nazywają Kaszubi – Lębork, i wieś Głównicy (Głowitz), a potem zawróciliśmy na południe, w kierunku Bytowa (Bütow). Tu musiałem się rozstać z panem Ceynową (...) i wtedy właśnie zacząłem szczegółowe badania krainy, którą razem z nim zjechałem w ciągu kilku dni. Schodząc powiat bytowski prawie we wszystkich kierunkach, pojechałem na wschód do miasteczka Kościerzyny (Behrendt)...” (s. 6). Jeżeli zapis ten jest wystarczająco dokładny, to tu więc był już bez Cejnowy. Czy jednak nie mógł mieć ewentualnie jakichś wskazówek, adresów informatorów?

W Kościerzynie zapisał 7 tekstów, licząc pod nr. 55, dwie pieśni, w tym tylko ta jedna była wcześniej (!) przez Ceynowę opublikowana, jednak u niego bez wskazania miejsca zapisu. Nie ma u Cejnowy w ogóle tekstów nr 52. (pieśń: *Koło Chójn'ci miasta w jedni vsi se stało, że se dwoje ledzi v sobie zakochało*), nr 53. (*Swieci miesiąc, słońce grzeje...*), spod nr. 55. wyżej wspomnianej *Na 'ni stronie goj...* (czyżby to owa „dumka o swataniu”?) i nr 56: *Powiedz że mie moja luba, cze te kochosz mie?* Tekst 51. pojawia się potem w Ceynowy „Skôrbie Kaszëbskosłowińszci mowë”, Świecie 1866-1868, s. 105) ze Skarszew (pod Kościerzyną), a więc z obszaru gwary skarszewsko-tczewskiej dialektu kociewskiego, wobec czego dziwić muszą w zapisie Cejnowy „dorobione” bardziej kaszubskie postaci *kurk, sę*, gdy u Hilferdinga prawdopodobniejsze i autentycznie kociewskie bądź południowokaszubskie *kurek, sia*. (Uwaga: Hilferding wiedział o tym, że „szczególnie widoczne jest owo zlanie w samej Kościerzynie” („Resztki Słowian...”, s. 9). Z kolei pieśń pod nr. 54. *Przesniło se Anuli w pokoju leżáci* występuje później w Ceynowy „Skôrbie” (s. 110) z podaniem, że ona z Polchowa; Widać tu drobne różnice tekstowe, np. *ej, tę, mo-jeho postrzód morza, mjećę* wobec Hilferdingowego: *oj, też, meho, po morze, mieczem*. Może to wszystko dowodzić niezależności zapisu, jeśli jeszcze pamiętać będziemy, jak funkcjonują tego rodzaju utwory ludowe i że utrwalają one często zupełnie nieoczekiwane właściwości językowe, czego przykłady i tutaj. (Zob. niżej. Uwaga: Przy cytowaniu przy-

kładów założono, że czytelnik zna tekst ogłoszony przez Szultkę). Rozpisałem się tu o tym dlatego, że niektóre zapisy mogłyby zdradzać pisownię i język Cejnowy.

To samo widać w tekście szczególnie nas tu interesującej pieśni „Wójna”, inaczej „Żołnerz”. Oto ważniejsze różnice w zapisie, bez wchodzenia na razie w kwestie pisowni:

1884 (Szultka)	1852 (Petersburg)	1862 (Hilferding)
żołnierza	żołnerza	żołnierza
godę	glode	glodę
Skorno	skóro	skoero
jeho	brata	jeho
jeho	bratka	jeho
go wuznale	sena znale	go wuznale
Powrocę za	pówrocę sę	Povracę sę
rok	rok	rek
s póla	s póla	z pola
Kłanjają sę	Kłanjają sę	Kłanjają sę
Ach jak dalek	a jak dalek	A jak dalek
noszko	nożką	nożką
Wewczosel	Veczosel	Veczosel
Załujáci	żalejáci	Żelajáci
te gołe zorna	to gołe zorna	to gołe zorna
teros	teros	teroz
rolą	rolą	rolę
Nisz na	jak na	Njiz na
Nisz na	jak na	Niez na
z duszą	z deszą	z duszą
Ze cę	le cę	Le cę

Niektóre różnice wynikają po prostu z błędów drukarskich, np. współczesnych (?) *godę, skorno, miec, noszko, tre-*



Hendrik Goudt (ur. 1585) wg A. Elsheimera. „Cerera”, miedzioryt, po 1610 r. Muzeum Narodowe w Gdańsku (Kolekcja Jacoba Kabruna)

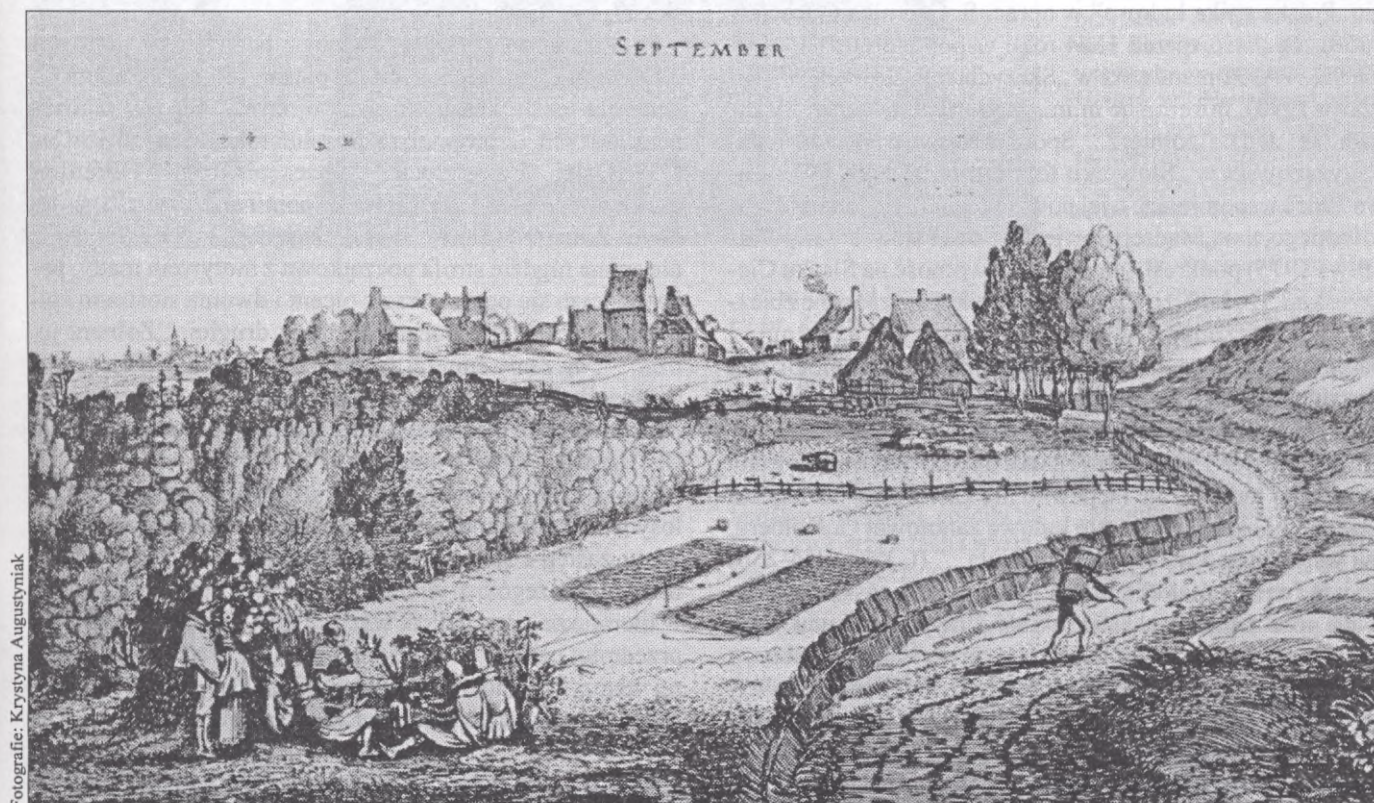
ci, *zalujać*, *Ze* (1848) czy *żalować*, *medze*, *povracę sę*, *veczoseł*, *żelajaci* (1862) itp., też w wersji Srezniewskiego, np. *glode zam. glodę* (lub: *z glodę?*), *żotnerz*, *jodel jo to gole zorna* (1852). Podobieństwa między wersją z roku 1848 i 1852 są zrozumiałe, gdyż są to teksty zapisane przez Ceynowę, który na pewno przekazał wszystkie swe publikacje czy ich odpisy Hilferdingowi, jak dowodzą choćby następujące wzmianki Hilferdinga we wstępie do „Zbioru wyrazów”: „Do zbioru włączono ponadto wyrazy z niewielkiego rękopiśmiennego słowniczka kaszubskiego, który ułożył i łaskawie udostępnił piszącemu niniejsze słowa pan Florian Ceynowa” („Resztki Słowian...”, s. 174) czy nawet: „Ponadto autor wykorzystał niewielki spis wyrazów kaszubskich sporządzony przez nieżyjącego już Prejsa (...) Autor zapoznał się z tą listą w polskim tłumaczeniu, które zostało wydrukowane w 1850 r. w Krakowie w broszurze »Kile slov wó Kaszebach e jich zemi przez Wójkasena« (pseudonim pana Ceynowy)” (s. 175). Ten drugi materiał w oryginale, tj. w wersji kaszubsko-rosyjskiej (1840) miał pod ręką w Petersburgu, ale już się nie fatygował, gdy od Ceynowy otrzymał wspomnianą broszurkę, w której wersja kaszubsko-polska słowniczka Prajsa, stanowiąca, notabene, ułożoną alfabetycznie i w części haseł skróconą (o komentarze) wersję rękopiśmiennego słowniczka Mrongowiusza, o czym wiemy od niedawna. Może sięgnąłby Hilferding jednak po oryginał, gdyby wiedział, że krakowskie wydanie z 1850 roku zawiera błąd.

Jeżeli miał pisma Ceynowy, to i również druk tej pieśni, raczej w wersji z 1848 roku, bo por. np. *njiż/nież zam. nisz*, *obok jak* (1852), *kruszq: z duszq zam. kruszq: z duszq* (1852),

go wuznale wobec sena znale (1852). Przy ostatecznej redakcji mógł się wesprzeć właśnie tą wersją. Najbardziej uderza konsekwencja w zapisie końcówki narzędnika -ę: *borę, lasę, glodę, czasie* itd., jak też w ogóle zapis nosówki ę: *v pravę, ręczkę, povracę sę, rolę zam. rolą* itp., co, albo wynikiem wpływu pisowni ogólnej polszczyzny (może też stąd *żolnierz, glodę zam. glode*, tj. *z głodu?*), lub północnej kaszubszczyzny Ceynowy czy jego zapisu, gdy w innym miejscu pisze o „charakterystycznej końcówce -q” („Resztki Słowian...”, s. 104). Pamiętać należy, iż kaszubszczyzna Ceynowy jest mocno spolonizowana, w latach 1843-1852 też w pisowni, z której wiele przejął Hilferding.

Wersja Hilferdinga posiada jednak takie właściwości, których nie mógłby wywieść z zapisów Ceynowy, np. *bratka zam. jeho, rek* (wy tłumaczone w przypisie) *zam. rok*. Może miał jeszcze inny odpis? W przypisach objaśnił Hilferding nadto: *wobszarpani* ‘obdarty’, *tę* ‘tam’, *na padolku* ‘w wąwozie’ (por. pol. *padół*), *cigne* ‘idzie na wyprawę’, *gole zorna* ‘samo ziarno’, *wobiedzq* ‘objedzą lub krzywdzą’, *krece* ‘kruki’, *verda* ‘kto tam’ (z niem. *Wer da?*), *wolac* ‘wołać’, treść całej strofy przedostatniej: *Kjej sę bądziesz z jednim vjitel/ Mdze cę dregi s telu chwotel* ‘póki się będziesz z jednym witał, inny będzie cię z tyłu chwycił’, *le* ‘tylko’. Jednak trudno byłoby tu znaleźć ewidentne cechy południowokaszubskie czy nawet kociewskie, a zatem zależności od Ceynowy są tu raczej spore. Niewątpliwie wymaga to wszystko dalszych studiów, do których należałoby włączyć porównawczo dalsze teksty, m.in. owej „dumki o swataniu”.

Co przeszkodziło tekst Ceynowy z 1848 roku opublikować w pisowni oryginalnej, nie zaś w bliżej nie określonej



Fotografie: Krystyna Augustyniak

Jan van de Velde (1593-1641). Wrzesień z serii „Miesiące”, akwaforta. Muzeum Narodowe w Gdańsku (Kolekcja Jackaba Kabruna)

transliteracji, zawierającej przypuszczalnie błędy? J. Kar-nowski na początku dwudziestolecia ustalił poszczególne eta-py ewolucji ortografii Ceynowy, który w tym okresie stosu-je ó dla dyftongicznej wymowy, zaznaczając ją na począt-ku wyrazu też literą w (przed o, u), gdy przez v oddaje zwyk-łe w, a zatem powinno być *Wójna, Njeszczestlevo, pórodzela, bóre, Vjater, wóbszarpani, wuderzono, Wójc, Wóczka, Wón* itd. Miękkosć sygnalizował literą j, np. *nje*, a zatem winno być też m.in. *dzurmji, lepij*; tylko miękkie *ń* przed *i* zapisuje z *ń*: *ńim, końika, ńi* itd. W strofie 10. zabrakło *sę*: *pówroce sę*, natomiast w strofie 16. *sveho: Póki jo mjeł sveho pana...* Przekonuje o tym porównanie z wersją petersburską. Ponad-to dysponujemy transliteracją Kolberga, który Hilferdingo-we v oddaje przez w np. *żałowac, wiater*, a początkowe w przez o, u przez w (z łuczkiem u góry), np. *wuzna, woejc*; miękkosć przed i literą j, np. *njim*, ale też *ni*. Poprawił (przy-padkowo?) np. *żołnierz, żelajęci na żołnierz, żalejęci*.

Omawiana tu pieśń, tytułowana „Wójna” bądź „Żołnerz”, jest – jak nietrudno zauważyć – znaną pieśnią „Idzie żoł-nierz borem, lasem...”, pojawiającą się w utworze bliskie-go sercu Ceynowy Mickiewicza, mianowicie w księdze XII Pana Tadeusza, w koncercie Jankiela, gdzie czytamy m.in. „Tworząc nutę żalosną tej sławnej piosenki: / O żołnierzu tu-lączu, który borem, lasem/ Idzie, z biedy i głodu przymie-rając czasem...” Czy to właśnie wpływ tej romantycznej twór-czości i jej związek z legionami nie kazały Ceynowie zwró-cić uwagę – jeszcze przed 1846 rokiem – na tekst tej pio-senki?

Ten fragment tej książki objaśniał S. Pigoń w przypisie, wska-zując na rekonstrukcję pieśni przez S. Wasylewskiego („Lud” XVI 1910), powtórzoną przez J. S. Bystronia w „Polskiej pieśni ludowej” (1925), a znajdziemy ją również w antolo-gii „Polska epika ludowa” w oprac. S. Czernika (Wrocław 1958). Tę pieśń sprzed 1584 roku wspomnieli też H. Mar-kiewicz i A. Romanowski w „Skrzydlatych słowach” (War-szawa 1990), informując m.in., że pierwotna wersja zaczy-nała się: *Jedzie żołnierz...* Sporo miejsca poświęcił jej J. Krzyżanowski w „Słowniku folkloru polskiego” (Warsza-wa 1965) wspominając o jej powiązaniach z legionami Dąb-rowskiego, a w „Mądrej głowie dość dwie słowie” (III, War-szawa 1975) podkreśla dawną jej żywotność na Śląsku Cie-szyńskim. Dodam, że Cieszyńskie wykazuje znaczne zbież-ności z Kaszubami w zakresie leksyki, frazeologii i paremiografii (Por. J. Treder, „Z idiomatyki frazeologicznej Kaszub i Śląska Cieszyńskiego”, w: „Z problemów frazeo-logii polskiej i słowiańskiej”. I, Wrocław 1982).

Ta stara pieśń wojskowa przeszła między lud i traktowana bywa jako ludowa, ale na pewno nie kaszubska, jak napisał Szultka. Niektóre jej wersje ludowe zanotował O. Kolberg, jak wspomniano wyżej. Otóż „Dziela...” (t. 12. s. 254-256) podają (wraz z melodiami) jej mutacje poznańskie, miano-wicie poza zapisaną w 1836 roku w „Przyjacielu Ludu” nad-to z Trzemeszna, Gostynia i Krobi. Są do siebie podobne, a różniąc się od nich znacznie kaszubska najbliższa jest wer-sji z Trzemeszna. Wszystkie zaczynają się od „Idzie żoł-nierz...”, gdy kaszubska: „Żołnierz jedze...” Tylko tekst z 1836 roku ma strofę: „Suknia na nim poblakuje, / wiatr dziurami przelatuje”, obecną też w wersji zrekonstruowanej pieśni, odpowiadającą kasz.: *Suknja na-ńim nje brakuje, / Wjater dzur-*

mi przelatuje. Znane wersje, wśród osób żegnających żoł-nierza wymieniają jedną do trzech sióstr. W kaszubskiej prócz dwu sióstr pojawia się ojciec i matka: *Wójc e matka go wuznale, / Woczka swoje zaplakale*, też konsekwentnie w strofie następnej: *Nje placz wójcze, nje placz matkó, / Pów-roce sę za trze latka*, co okazuje się zgodne z „polską trady-cją” (Zob. K. Hrycek „Pieśń o żołnierzu tułaczu”. Fragment monografii folklorystycznej, Acta Universitatis Wratisla-viensis No 177. Prace Literackie XIV). Na tle prezentowa-nych tu mutacji ciekawie rysuje się treść dwu zwrotek koń-cowych, przedstawiających jakby zachowanie stron walczą-cych: *Kje sę bądziesz z jednim witeł, / Mdze cę dregi s telu chwoteł, / A trzeci ce njic nje rzecze, / Le cę z wjerzchu szab-lą secze*.

Oryginalna wydaje się zwrotka początkowa: *Njeszczestle-vo matka bela / Co żołnjerza porodzela*. Postać matki poja-wia się w wariantach ruskich, skąd miało się to rozprzestrze-nić na Morawy i Polskę. Trudno objaśnić genezę przytoczno-nej zwrotki pierwszej wersji kaszubskiej, ale zauważyć moż-na, iż stanowi ona niejako zaprzeczenie treści notowanego tylko przez Adalberga (1894) przysłowia: „Szczęśliwa ta mat-ka, co ma syna księdzem, ale ta szczęśliwsza, co ma żołnie-rzem”, jeśli przyjmujemy, że rycerz, wojak czy żołnierz ota-czany był ongiś szacunkiem, jak zresztą tego dowodzi jesz-cze wcześniejsza wersja zwrotki: *Trzeba jeho póratowac, / Chleba, sole nje żalowac*, por. mianowicie „w morawskiej wersji motywu, w tłumaczeniu prawdopodobnie wcześniej-szym od XIX-wiecznych wariantów polskiego przekazu: [...] „Trzeba wojačka ušanovać, / Chleba, syra mu nahotovać” (K. Hrycek, „Pieśń o żołnierzu...”, s. 128). Można by tu przypomnieć kaszubskie przysłowie: *To mdze wojna, bo sę sami żołnérze rodzą* (B. Sychta, „Słownik gwar kaszub-skich”, t. VI).

Podkreślić należy, iż w żadnej z licznych od początku XIX w. prac poświęconych tej pieśni, nie ma wzmianki o istnieniu tekstu kaszubskiego, co dziwić musi w pracach najnowszych, tj. powstałych po 1965 roku, kiedy ukazał się t. 39 „Dzieł...”, zawierający tłumaczenie dziełka Hilferdinga, choć przecież i wcześniej wspomniana była „Pjesn le-dovo: Żołnierz” (1852). Wersję kaszubską charakteryzuje: nie znana nigdzie strofa początkowa z motywem matki, po-jawiającym się potem wraz z ojcem i dwoma siostrami żoł-nierza; archaiczny początek strofy drugiej: „Żołnierz je-dze...”; łączenie śmierci wojaka z Podolem: „Wón tę leży na padółku”, kiedy inne nieraz z Wołyniem; oraz osobliwe podsumowanie pieśni tzw. informacją typu nowiniarskiego (K. Hrycek, „Pieśń o żołnierzu...”, s. 147).

Droga tej pieśni na Kaszuby, szczególnie pochodzenie i losy wersji zapisanej przez Ceynowę i Hilferdinga, rzeczy-wisty zasięg i stopień jej popularności (kiedyś?), analiza różnych szczegółów jej tekstu na tle wariantów opisanych w literaturze – czy jednak wszystkich? – mogłyby stanowić przedmiot osobnej i raczej interesującej rozprawki, do któ-rej włączyć by można było wspomniane, ale nigdy nie pub-likowane tłumaczenie niemieckie Ceynowy. ■

Ps. Za wiele cennych wskazówek bibliograficznych ser-decznie dziękuję profesorowi Józefowi Bachórzowi i dokto-rowi Bolesławowi Oleksowiczowi.

HENRYK HEWELT NIE ŻYJE

1984 roku na Turnieju Gawędziarzy Ludowych Kaszub i Kociewia w Wielu. Był kilkakrotnym laureatem tego turnieju, zdobywcą nagród im. Hieronima Derdowskiego i im. Józefa Bruskiego. Jego humor i satyra, nacechowane życzliwym komizmem, ośmieszały przywary i wady współczesnych Kaszubów, w tym także mieszkańców miast.

Przed dwunastoma laty zadebiutował na łamach „Pomeraonii” jako poeta. W naszym miesięczniku publikował wiersze kilkakrotnie, z biegiem czasu coraz silniej wyrażając w swoich utworach nostalgię za domem rodzinnym, pejzażami z dzieciństwa.

Żegnaliśmy Henryka Hewelta 11 lipca. Podczas mszy św. żałobnej w kościele Chrystusa Króla w Małym Kacku, proboszcz ks. dr Jerzy Więcko wiak wspominał swojego parafianina, jako człowieka niezwykle wrażliwego na wartości wypływające z kultury kaszubskiej, wykorzystującego twórczy talent i społecznikowską energię do budowania jej prestiżu. Ceremonia pogrzebowa odbyła się na cmentarzu przy ul. Spokojnej. Słowa pożegnania wygłosili po kaszubsku ks. Edmund Skierka oraz przyjaciele gawędziarza ks. Roman Skwiercz i Edmund Lewańczyk. W ostatniej drodze Henrykowi Heweltowi towarzyszyli: żona Lidia, liczne grono krewnych i znajomych, delegacje Zrzeszeńców z różnych stron Kaszub, w tym poczty sztandarowe z oddziałów ZKP w Gdyni, Pucku i Rumi. Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem hymnu kaszubskiego „Tam gdzie Wisła do Krakowa...”.

My żegnamy się z Dręcchem Henrykiem Heweltem strofami Jego pogodnego, pełnego nadziei wiersza „Domocężna”: „Dziękuję tobie żęc że jô zawdë / na przetrôfk wszëtko widzë / Dziękuję zemi co mie zewiła / I wszëtko w lubosc jinaczëła. / Dżëki tobie matko zemio że twój parmin / Mie bënë je przelóny / Szczęstlëwi i urocześce / Odwiedzóm zawdë domocë stronë. / Wszëtko co nad drogą stoi / Do se chët nie bëm przëgrządzól / Co kwiatëje i co przëszło / Nie je nigdë do zabëcô”.

s.j.



Fot. Tadeusz Tkaczyk

W wieku 59 lat zmarł 7 lipca br. Henryk Hewelt, rzeźbiarz i poeta kaszubski. Pochodził z podkartuskiej wsi Rąb, od wielu lat mieszkał w Gdyni.

Jego charakterystyczne płaskorzeźby i figurki, głównie o tematyce religijnej, gościły na licznych kiermaszach i wystawach twórczości ludowej; znajdują się w wielu muzeach i zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. Od kilku lat twórca prowadził szkółkę rzeźby w Niemczech. Przed paroma laty pełnił funkcję prezesa oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Gdańsku.

Jako gawędziarz po raz pierwszy wystąpił publicznie w



TESKNY SWIAT

Jan Zbrzyca

Za kôzdim razę ja dëcht tak samo: ciej nôs dónékiwô to wiadło o smiercé kogos z nôjblëszégò karna. Przez sztërk jesmë czësto oczamiali czedë przëtrofkę, nibë wid z dalecznyj gwiôzdzë doturzô do nôs poslëdny parmiń zgasłégò żëwota. Drëgo je wëwôżëc czëgo je wicyj

w naji porównym odzywku: rozprzëniosłoscë ë niedowiaré, że co taciégò je możlëwi, a z drëdzi stróné urzasny swjadé: jakżë krédzi je naszé dërchanie na nym swiece.

Taczi prawie sztërk ë jô od namiané téż jem dostôł w darëнку. Jednégo lutowégò dnia chtos mnie z

môla rzekł w „Pomeranii”: dzysô na karwińscim cerpiszczu odprawionny bël pochówk utwórcë ë kuńsztôrza - Henrika Hewelta. Okamérnimn jakbë cëmża obwlokła calëchini widnik. Midze cënie ju na zawdë odbërowôł od nôs méstercsi Waspôn z Kurzëj Grzëpe na Orlo-

wie. Nie zasadnie nijak w Karnie wielewscich powiöstników é gòdeszów kaszëbscich. A bël on, nië lë w mojim zdrzeniu, na podobë pszczolë, chtërna zgòriniô nektarë z rozmaitëch kwiôtków, nawetka parzuchwiów. Tim nektarë bëła redosc, zichrowónô przez Henrika z rozplachcónëch wszëdze nëpków ë okrëszków naji jawernotë. Zòrna tij redoscë rozdrzucywól wiedno szczërą ë bokadną goszczą. Widzy mnie sę, że bëło w nim cos z dżëcoła, co to opukiwô nabolalë môle drzewiät ë cos ze skórcza, chtëren sòdô na wietewce, żebë frantówkowim spiëwem ezgorcizmwac komudë, niesc nëpuszk weselä zäjiscónym lëdzóm. Anegdota, fifem ë wërwasem sëpól jak z rëkawa. Czë to sztòlnë, że wkól niego na postojenim se zrzeszało rozigranë karno?

W kadrze moji pamiacë zachwiliwala sę zasadlô postacëjô Kaszëbë z orłowski grzëpë. Regionalné ruchna, uszëti na jaskulczy òrt z kwiatą haftowoną biółą koszulą bëłë dlô niego tak pasownë, jakbë od gżuba w czym jinszim nie paradowól, leno w kaszëbsczim lifku ë skórzniach po kolana. Taciëgo drëcha, chizëgo do podkòrbianiëgo ë do oracëjów przë kornusu, lubotno witól kuńda w cyfowonëch portkach ë brunym kłobuczku z muszelkama – Góról nad Górôle, Stanisław Chowaniec. Urónka sę w slëpiu krący na wdarzenie jak ti dwaji ë nën trzeci szòltës ze Stobna, Roman Wegner, cygnëlë kòrbionci nocné gësto przeplôtané spiëwä, bo w tacim drëszstwie szkoda bëło spiku. Më tu dobrze rozmiëlë Chowańca, chtëren na wielewsci binie stminiól sę w mocarnëgo Janosika ë nawtòrzól: „góròlszczëzna dôwô zasadë ë miarë; w dzysdniowim zagrozeniu, jaci niesë unifikacjô, góralskô kultura dôwô szansë urëtaniëgo snòzotë”. O to urëtani, zbëlñieni dokòzów małij Tatczëznë – jeden modlël sę we Wielu, do Ludzimirskiej Paniënki, a drëdzi do Sjónowsci Matinci.

Fotografie: Ryszard Petrajitis



Wëdówô sę, że jesz nie przebrzmialë słowa podżëci Hewelta ë Chowańca za wiòlgä starë wielewsciëgo ostrzódka wkól organizacëji turnieju powiöstników. Jisc midze lëdzy z gëbnym czë drëkowanëm słowem, to tëlë, co szërzec, coròz barzij wëczeczniälä kulturë kòrbionci, przëjacelstwa é cepä. Tak to rozmiól Henryk Hewelt. Dlôte tak dzyrsko orëdowól ciedës za tim, żebë sposobno achtnäc gospodòrzów zelnikowëgo widowiszcza we Wielu (tim razë bëło ono w kunòszku lëpińca). Nójwëmowniëszë

bëło to, żebë nie zabòczëc chto nadól wielewsciëmu turniejowi taci rozmach ë rozgłos: wasta dyrektor Józef Brzeziński. Wiemë jacim mëstrëm bël Hewelt złë jidze o narracëjë, chtërna w jëgo pozdrzätku muszała sę wiedno nalënac do maklewnëch faktów, do okreszków żëwi faktografji.

Cilowól w malincich obròzkach, chtërnëch malënk dosc dlugo nieròz cizelowól w swoich mëslach. To pasowanie są materiä znac je we wiërsztach Henrika. Zawdë bëł swiädny tij stolemnyj nierównotë midze

ubodzim słowem, a farbą lokadą sjata, w chłernym niedregu je wczetac szlaché Boga. We wierszetcu „Naji sjat” tak rzecze: staré sę dlô lédzy bëc / spiewem ptôków ë wzénikem slůnca”. Nôtera je wcyg na palôrze u tego utwórcé. Przëswiôdczają o tim kumkôrsi dokôzé Hewelta. Bo nôlégó nacidnác, że wasta Henrik bëł znóny jako méster od wërzinków w drewnie. Jego mióno zapisóné ostalo w rejestrze utwórców lédowij rzezbë. Wiele tich dokôzów „zaludniło” muzealne polëce ë priwatné nórccëci ludowégó piëkna. Pokazny dzél tij snôzoté, jako wësza spod dlôta utwórcé, je w domocym môlu Heweltów. Parcik nëch swiátków ë wsowëch szaturów utacël sę w gosçetewnym domostwie Marka Byczkowskiégó, w Kaszëbscim Uniwersitece Ludowim, kole Wiëzycé. Osoblëwie jedna z tëch plastkatëch rzezbów zapadła w moją pamięć: czółn na wałach wodé, a w nim rëbôk z wiôlgą rëbą w jadrach. We wszëtcich figurowëch pokazënkach odbijô sę starbno, wiecznô harmonia, chłernô mô swój początek w Bożim Nôrodeniu. Szopka ë triptik bożonôredzeniow mają wiôlgą, mésterską wórtnotę.

Ciedë zdrzec na brunë wëso-kopniowi postacëje, znankujący sę apartnim stilem, tëdë człowiek ugwesniô sę w udbie: sjat wëczarzony z drewna przez Henrika Hewelta nasztelowóny je na chwôlbę bëłnoté, a nie na gorzbę ë zlosc. Cërpieni ë tëstniaczka tëż nie omijają tego sjata, są w niego wpisóné. To, co nie dało sę wëpowiedzec w drewnie, Hewelt próbował odszpëglowac w słowie - wiersztowónym; w gódkach ë powiôstkach. Mądrosć nalinała go żebé brac rzeczę tacimi, jacié one po prôwdze są w jawer-noce. A złë nie są, złë odbiegijają od normë, tej nie ostôwô nick okóm smiëchu. È w tim gôdkowim przesmiëwaniu Wasta Henrik bëł nôjlepszi. ■

recenzje

MARCELI NAPIĄTEK

UWAGA! ELLWART

W serii folderów, zatytułowanej „Wędrówki po Kaszubach. Gminne przewodniki i informatory turystyczne”, ukazał się właśnie „Lipusz i okolice” „Copyright by Jarosław Ellwart Sopot 1994”. Publikacja ta, w nakładzie 2500 egzemplarzy, sfinansowana została przez Urząd Gminy w Lipuszu.

Jarosław Ellwart swego czasu zapisał się jako współtwórca pisemka – efemerydy „Tatczëzna”. Prawdopodobnie epizod z „Tatczëzną”, jak i znajomość języka kaszubskiego stanowią swoistą legitymację J. Ellwarta wobec sponsorów jego wydawnictw, z których „wyróżnia się” informator „Kaszuby”. Czegoś bardziej niechlujnego trudno szukać. Przeliczone błędy merytoryczne (nawet ortograficzne), podlane ideologicznym sosem, szkoda nie tylko turystom, ale i nam, dla których imię Kaszuby coś znaczy. Zatrważająca niewiedza, arogancja, nieodpowiedzialność, przy wyczuwalnej bufonadzie autora, powinna być przez nas, Kaszubów, a także wydawców, wytykana. (O informatorze pisaliśmy w nr 7/8 „Pomeranii” – przyp. Red.).

Wracając do „Lipusza i okolic”. Wydawnictwo o Kaszubach nam i turystom trzeba. Zawsze jednak idzie o jakość, a także o gospodarność w wydawaniu skromnych środków – gminnych, także, a może przede wszystkim, choć w różnym zakresie, przeróżnych sponsorów. Wydawca zapowiada: „W

przygotowaniu z serii »Wędrówki po Kaszubach«: »Linia, Strzecz, Potęgowo« – przewodnik po gminie Linia oraz północnej części Lasów Mirachowskich, »Jasień, Łupawsko, Skotawsko« – przewodnik po gminie Czarna Dąbrówka, »Wierchucino, Krokowa i okolice« – przewodnik po gminie Krokowa, »7 tras rowerowych po Kaszubach – (...) wokół Pucka, Wejherowa, Lęborka, Bytowa, Kartuz, Kościerzyny, Słupska i Gdańska«”.

Jeśli i te informatory i trasy rowerowe będą tak opracowane, jak „Lipusz i okolice”, to nasza i sponsorów strata będzie niepowetowana.

W przypadku Lipusza autor podaje niewiele informacji, a przy tym sporo błędnych, powołując się na literaturę – 7 pozycji, autorów: G. Labudy, M. Lemańczyka, I. Trojanowskiej, J. Szukalskiego, F. Mamuszki i W. Szulista (!?). Nie ma najnowszej monografii gmin Lipusz i Dziemiany pod red. J. Borzyszkowskiego, któremu można, aby nie nadmiernie złośliwie, przekazać wyrazy współczucia w związku z tą formą promocji i mecenatu ukochanej przezeń gminy. Ktoś przecież mógłby dla jej – gminy dobra, i naszego wspólnego, to Ellwartowe „dzielko” przed drukiem zrecenzować; może dałoby się i poprawić. Może też wówczas czytelnik wiedziałby, co jest rodzianną Borzyszkowskich opowieścią czy lokalną legendą, a co autentyczną, niezmiernie interesującą historią, choćby przeuroczego Jabłuszka. Autor czytał „Lipusz” M. Lemańczyka, ale nie skorzystał z autorskiego wstępu, w którym mówi się wyraźnie o zapisie lokalnej tradycji, pamięci historycznej mieszkańców, a nie o historii Lipusza i okolicy. Dla J. Ellwarta opowieść, legenda i historia – to samo. W tymże przewodniczku nie ma

Lipusz i okolice



też współczesności; nie ma przede wszystkim wspaniałych lipuskich ludzi – nawet Bolesława Jażdżewskiego – twórców ludowych i działaczy, lipuskich zespołów i kolekcjonerów – tego wszystkiego, co dla turysty najbardziej interesujące, a w gminie najcenniejsze. Po prostu nie ma w tym folderze niczego oryginalnego, nic z sympatycznego klimatu tej gminy i gościnności, serdeczności jej mieszkańców.

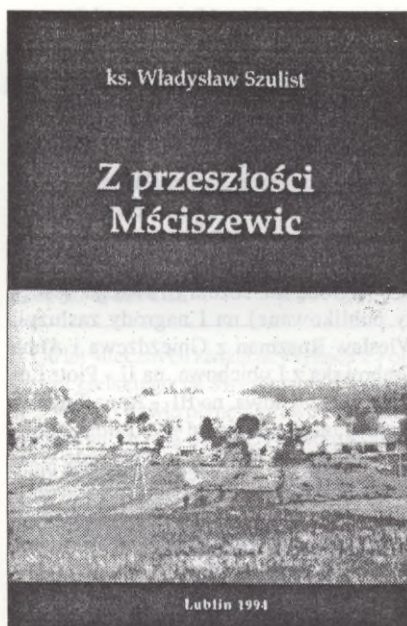
W każdym zakątku lipuskich stron może turysta poznać, poza krajobrazem, przede wszystkim wspaniałych Kaszubów, także gawędziarzy, interesujące dzieje Kaszubów pogranicza, twórczego ducha ludzi tej ziemi... Niestety, przewodniczek J. Ellwarta w tym jest bezużyteczny, a sam język wręcz zniechęcający. Nie ma w nim ducha Remusa i A. Majkowskiego, nawet o nich wzmianki, a tym bardziej o rodzinnych gniazdach i dokonaniach takich postaci, jak poeta Stanisław Janke czy profesor Edward Breza. Jak długo zagrażać nam będą podobne wydawnictwa i podobni „biznesmeni”? Jak długo gminni sponsorzy będą tak bezkrytyczni, a czytelnicy wyrozumiali? Sponsorzy – obudźcie się!

Jarosław Ellwart, Lipusz i okolice.
Sopot 1994.

STANISŁAW JANKE

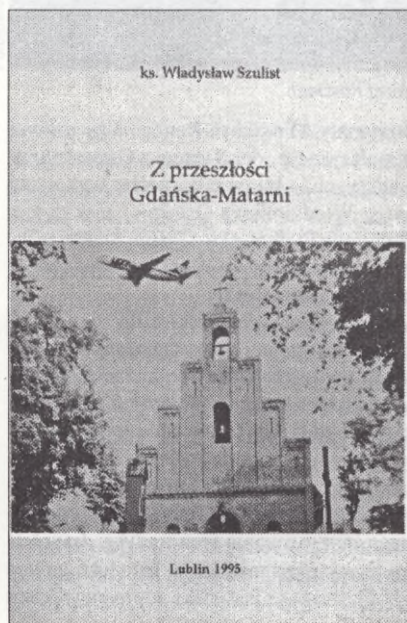
Z PARAFIALNEJ STRONY

Książd Władysław Szulist jest autorem wielu przyczynków historycznych, głównie poświęconych miejscowościom, w których sprawował służbę duszpasterską jako wikary czy proboszcz. Znany jest też z wielu prac etnograficznych i historycznych dotyczących kaszubskiej Polonii, a także, od niedawna, monografii. Ostatnio ukazały się monografie Mściszewic i Gdańska-Matarni. Wybór tych właśnie miejscowości nie jest przypadkowy. Były to bowiem dwie ostatnie placówki proboszczowskie ks. Władysława Szulista, który obecnie mieszka w Lipuszu, niedaleko rodzinnego Gostomka.



Obie książki – „Z przeszłości Mściszewic” i „Z przeszłości Gdańska-Matarni” – mają podobny charakter. Nie są to klasyczne, odpowiadające monografiom, opracowania. W dużej mierze bowiem dotyczą najnowszej historii parafii i osobistych doświadczeń autora jako proboszcza. Imponujący jest zbiór materiałów źródłowych i opracowań, wykorzystanych w obu publikacjach. Wśród wielu dziesiątków prac znaczną liczbę stanowią teksty niemieckojęzyczne.

Mściszewice, położone na terenie środkowych Kaszub, są typowo rolniczą wsią. Jak w wielu podobnych osadach, rzeczywistymi właścicielami ziemi stali się dawni dzierżawcy, zahartowani przez ciężką pracę, wręcz biologicznie złączeni z naturą i surowym klimatem. Funkcjonujące w świadomości społecznej stereotypy, określające Kaszubów jako ludzi upartych



i wytrwałych, w odniesieniu do mieszkańców Mściszewic mają racjonalne uzasadnienie. Od wieków bowiem trwają na jałowej, nieurodzajnej ziemi, pogodzeni z jej możliwościami, i jakby genetycznie z nią zharmonizowani. „Nie lubią w życiu ryzykować – pisze o nich ks. Władysław Szulist – wolą raczej poruszać się po terenach bezpiecznych i sprawdzonych”.

Matarnia, która dzisiaj stanowi część Gdańska, a przedtem była jego zapleczem, już dawno straciła rolniczy charakter. Kaszubi są obecnie mniejszością wśród ludności parafii, jednak to właśnie oni stanowią najtrwalszy trzon parafialnej wspólnoty, żywo uczestnicząc w jej duchowym życiu i utrzymując bliski kontakt ze swoim proboszczem. Wątek zasiedziały mieszkających ze starych domów i przybyszów mieszkających w nowym osiedlu, przewija się w całej monografii, charakteryzując obecne oblicze Matarni – w połowie wsi i miasta, z granicami nie do zniwelowania.

Ks. Władysław Szulist bardzo skrupulatnie opisuje kościoły Mściszewic i Matarni, a także zakres przeprowadzonych podczas swojej służby duszpasterskiej remontów i prac budowlanych. To ostatnie zdaje się być publicznym rozliczeniem, wypływającym z poczucia odpowiedzialności za powierzony mienie oraz należące do wierznych środki finansowe. Zresztą wszystkie wątki dotyczące osobistych przeżyć autora są szczególnie zajmujące. Wyłania się z nich sylwetka człowieka pochłoniętego pracą duszpasterską i pasją badawczą, a jednocześnie ceniącego kontakty z wiernymi oraz ludźmi nauki, kultury i orędownikami kaszubskiej sprawy.

„Starłem się łączyć duszpasterstwo i remonty, czy budowę z pracą publicystyczno-naukową – pisze ks. W. Szulist – tak jak to praktykowali kiedyś księża W. Łęga, P. Czaplewski, B. Sychta czy S. Kujot”. Wymienieni kapłani znani są głównie z owoców swojej pracy, publikacji. Książd Szulist natomiast, zarówno w swoich dwóch ostatnich książkach, jak i wcześniejszej – „Z ziemi ojców”, odstąpił wiele autobiograficznych faktów, a także właściwy sobie sposób postrzegania i wartościowania różnych zjawisk. Jego publikacje są niewątpliwie ważnym przyczynkiem w poznawaniu codziennego życia kaszubskich księży, twórczo uczestniczących w rozwoju nauki i kultury.

Ks. Władysław Szulist, *Z przeszłości Mściszewic*. Wydawnictwo „Bez Erraty” SC, Lublin 1994;
Z przeszłości Gdańska-Matarni. Wydawnictwo „Bez Erraty” SC, Lublin 1995

KŁĘKA

W Wielu po raz 18.

Wiele, które w sobotę i niedzielę (29 - 30 lipca) po raz 18. gościło uczestników Turnieju Gawędziarzy Ludowych z Kaszub i Kociewia, położone jest wśród pięknych lasów, wzgórz i nad wspaniałymi jeziorami południowych Kaszub. "Trudno znaleźć



Kazimierz Maurer

piękniejsze miejsce do rozgrywania turnieju gawędziarzy ludowych" - powiedział przewodniczący jury Stanisław Pestka. Ziemia ta wyjątkowo sprzyja twórczości artystycznej, wydała wiele wybitnych osób, zasłużonych dla Kaszub. Stąd pochodzą: malarz - marynista Marian Mokwa, poeci kaszubscy - Jan Karnowski i Hieronim Derdowski oraz Wincenty i Tomasz Rogalowie.

Na tegorocznym konkursie zabrakło kilku czołowych gawędziarzy, którzy zmarli w ostatnim roku. Im właśnie poświęcił swój najnowszy utwór Józef Roszman. Dojrzałość tekstu, wspaniałe wykonanie, udowodniło wszechstronność i klasę gawędziarza z Gnieźdźewa, któremu jury w składzie: Stanisław Pestka (przewodniczący), Tadeusz Lipski i Edmund Lewańczyk (członko-

wie) przyznało Grand Prix w turnieju o nagrodę Hieronima Derdowskiego. Po wysłuchaniu 17 gawędziarzy w różnym wieku, jury przyznało także następujące nagrody i wyróżnienia: W turnieju o nagrodę Hieronima Derdowskiego (gawęd nie publikowanych) I nagrodę otrzymała Halina Wreza, II - Rafał Wreza, oboje ze Świńcza, III - Marta Wrycza z Lubichowa; wyróżnienie - Katarzyna Baranowska z Redy. W turnieju o nagrodę im. Józefa Bruskiego (gawędy publikowane) na I nagrody zasłużyli Wiesław Roszman z Gnieźdźewa i Anna Grabowska z Lubichowa, na II - Piotr Lewicki z Lubichowa, na III - Anna Topka z Lipnicy; na wyróżnienie - Karolina Szramka z Lubichowa. W turnieju o nagrodę Wincentego Rogali (gawęd z innych regionów) I nagrodą wyróżniono Kazimierza Maurera z Babic, II - Celinę Słapek, III - Emilię Łasek - obie z Baszowic.

Wszyscy nagrodzeni i wyróżnieni otrzymali prócz nagród pieniężnych także rzeczowe, takimi obdarowano również najmłodszego uczestnika Piotra Lewickiego i najstarszego Kazimierza Maurera. Podobne



Józef Roszman

otrzymała Mirosława Begger - za żarliwą popularyzację idei Turnieju Gawędziarzy Ludowych - otrzymała rzeźbę wykonaną przez Włodzimierza Ostoję - Lniskiego, a Bogumiła Fiałkowska - Pismo Święte w języku kaszubskim za merytoryczną opiekę nad grupą kociewską.

Jury w protokole podkreśliło, że z satysfakcją dostrzega rosnący poziom turniejowych prezentacji oraz pojawianie się nowych, utalentowanych twórców, ceniących wartość rodzimej mowy, co pozwala z optymizmem patrzeć na następne lata kaszubskiego i kociewskiego gawędziarstwa. Miłym akcentem jest też pojawianie się rodzinnego kultywowania tych tradycji. Laureatka pierwszego miejsca w kategorii gawęd publikowanych jest córką zdobywcy Grand

Prix. Na turnieje - jak mówił Tadeusz Lipski - przyjeżdżają brat z siostrą, ojciec z córką, babcia z wnuczką, czy inne rodzinne duety.

Jak co roku, gospodarzem i organizatorem turnieju był Dom Kultury w Wielu, którego dyrektor - Zbigniew Czapiewski - powiedział, że gdyby dysponował odpowiednimi środkami, to z radością organizowałby takie imprezy częściej. Edmund Lewańczyk, konferansjer wielewskiej uroczystości, wytworzył ciepłą rodzinną atmosferę, która podkreśliła jeszcze bardziej piękno kaszubskiej kultury. Niedzielny, finałowy dzień turnieju uświetnił występ zespołu folklorystycznego z Lipnicy, mało jeszcze znany na terenie Kaszub, którego poziom pozwala mieć nadzieję, że już niebawem usłyszymy o jego sukcesach. **EPP**

Z pokłonem u Królowej Kaszub

Na odpust Matki Boskiej Szkaplerznej w Sianowie 16 lipca przybyło kilkanaście tysięcy wiernych. W zwartych grupach podążały do Królowej Kaszub pielgrzymki z Kartuz, Sierakowic, Lęborka, Bytowa, Przodkowa, Wejherowa i, po raz pierwszy, z Sulęcyna. W tym roku pielgrzymem był też prezydent Lech Wałęsa, który wraz z ordynariuszem pelplińskim Bernardem Szlagą pojawił się na placu przed plebanią o godz. 11.15. Po krótkiej modlitwie przed obliczem cudownej figury prezydent i biskup, na czele procesji, przeszli do kaplicy polowej, gdzie rozpoczęła się uroczysta suma odpustowa. Koncelebrowali ją biskup Szlaga w asyście ks. prałata Franciszka Cybuli - kapelana prezydenta i ks. prałata Tadeusza Misiornego - dziekana kartuskiego.

Pod koniec eucharystii, z elementami liturgii słowa po kaszubsku, ks. biskup pokazał wiernym złoty kielich - wotum dla Królowej Kaszub od Lecha Wałęsy, zaś przedstawiciel sianowskiej parafii wręczył głowie państwa piękny zegar z ukrytym wizerunkiem Królowej Kaszub, wyrzeźbiony przez mistrza stolarskiego z Kartuz, Augustyna Kowalewskiego. Wręczając zegar powiedział m.in.: „prosimy Cię, abyś wspierał nasze wysiłki w celu zachowania tożsamości kaszubskiej, tak jak pięknie zauważył to Jego Świątobliwość Ojciec Święty Jan Paweł II podczas pamiętnego kazania w Gdyni w Roku Pańskim 1987”. Prezydent zrewanżował się parafianom kryształowym talerzem ze stosowną dedykacją.

Po mszy odbyło się spotkanie. Prezydent podkreślił, że zna Kaszubów z ich „sumienności i trudnej pracy”. Mówił także, że na Kaszubach zawsze „ładował akumulatory”, co i tym razem nastąpiło. Spotkanie przebiegało w atmosferze życzliwej przydatności. Tego dnia spotkał się jeszcze w Kartuzach z działaczami samorządowymi gmin kaszubskich. **EPP**

Jarmarki kaszubskie

Sezon letni sprzyja organizowaniu imprez kulturalnych o charakterze regionalnym, które prócz zabawy mają propagować naszą kulturę wśród przybyłych gości i turystów. Do takich zaliczyć można jarmarki i festyny kaszubskie, które odbywają się w większych miejscowościach Kaszub. Jarmarki mają niedługą tradycję, organizowane są zaledwie od kilku lat. Trwają nierzadko kilka dni. Mają wszędzie podobny charakter: występy zespołów, przeróżne konkursy, stragany z twórczością ludową i masą innych towarów, wystawy. Ich atrakcyjność zależy od pomysłów organizatorów, którymi są najczęściej placówki kulturalne, ale także miejscowe oddziały ZKP, oraz od pieniędzy, jakie potrafią zdobyć.

W tym roku imprezy takie odbywały się kolejno: w Wejherowie – V Jarmark Wejherowski, w Kartuzach – IV Jarmark Kaszubski, w Pucku – Pucki Jarmark Morski, we Wdzydżach – Jarmark Wdzydzki oraz w Rumi – II Jarmark Kaszubski.

Tegoroczny Jarmark Wejherowski nie był zbyt obfity w akcenty regionalne, wśród licznych zespołów wystąpił tylko jeden kaszubski – „Kaszuby” z Chojnic.

W Kartuzach równocześnie z jarmarkiem odbywały się imprezy towarzyszące, m.in. promocja obrazów malarzy kaszubskich, wystawa malarstwa Józefa Wnukowej pt. „Święty Franciszek na Kaszubach” oraz koncert muzyki organowej w kolegiacie kartuskiej. Jarmark miał tym razem zdecydowanie kaszubski charakter. Przez estradę przewinęła się cała gama przeróżnych grup profesjonalnych i amatorskich, w tym śmiałanka najlepszych zespołów folklorystycznych z Kaszub, a wszystkich łączył językiem kaszubskim konferansjer Zbyszek Janowski.

Dniem regionalnym puckiego Jarmarku Morskiego była niedziela. Tego dnia przy śpiewie i muzyce kapeli Józefa Roszmana można było zjeść potrawy regionalne, pysznego sękacza, upieczonego przez Marię Kuchnowską z Gnieźdźewa oraz przejechać się bryczką konną. **EEP**

W Rumi na stadionie bawiło się kilka tysięcy osób. Zachęcał do zabawy Edmund Lewańczyk, rozbawiając zebranych gadkami i wicami. Grała orkiestra miejska, popisywały się „Nizabótczi” ze Stężycy i „Bazuny” z Żukowa. Kilkunastu twórców pokazywało swoje dzieła. Wszystkie te hafty, rzeźby, wyroby z rogu można też było kupić. Z licznych konkursów największym zainteresowaniem cieszyły się wspinaćka na drąg, malowanie wzoru kaszubskiego (konkurs rodzinny) i zażywanie tabaki, a także Loteria Kaszubska. Do wygrania były liczne nagrody, od mydełka „Fa” po obrazy L. Bieszka, A. Zwary, hafty B. Dawidowskiej, K. Wolf i R. Małeckiej oraz rzeźby S. Tuska i wiele innych. Wszystkie ufundowa-

li sponsorzy – prywatni bądź firmy czy sklepy. Można było też przejechać się wierzchem na koniu lub bryczką. Wieczorem wystąpiła jeszcze „Kapela Gdańska” i zespół „Zayazd”, a dla chcących popląsać była dyskoteka. **J.L.**

Pielgrzymka na bôtach

Od lat latecznych kaszubscy rybacy z Półwyspu Helskiego na święto swoich patronów Piotra i Pawła płynęli na swoich bôtach do puckiej fary na odpust. Po wojnie zwyczaj zaniechano, z różnych powodów. Dopiero w latach 80., podczas trwania stanu wojennego, pomimo przeszkód ze strony ówczesnych władz, reaktywował ten piękny zwyczaj Aleksander Celarek wraz z kilkoma rybakami. Obecnie do Pucka podążają już załogi z wszystkich wsi i miast półwyspu – z Chałup, Kuźnicy, Jastarni i Helu.

25 czerwca na Helu było bardzo gwaro. Rybacy i goście po krótkim naboże-

stwie płynęli dalej, do Pucka, by wziąć udział w koncelebrowanej sumie odpustowej.

W kościele metropolita powitał kaszubskim wierszykiem puckie dzieci i prezes miejscowego partu ZKP Stanisław Cygiert. Wyraził radość z przychylności arcybiskupa dla kaszubszczyzny w liturgii mszy świętej, przekazując jednocześnie słowa wdzięczności Kaszubów. Podczas mszy św. metropolita wielokrotnie zwracał się do rybaków, porównując ich pracę do posłannictwa św. Piotra. Przypomniwał także wydarzenia sprzed siedmiuset lat, Zapis Mestwina i koronację Przemysła II, które uroczystości obchodzono tego samego dnia w Poznaniu i Gnieźnie. Lekcję oraz modlitwy wiernych czytali po kaszubsku członkowie puckiego partu ZKP. Obecnie były również zrzeszeniowe sztandary.

Pielgrzymka rybaków do puckiej fary jest wielką manifestacją głębokiej wiary Kaszubów i ściąga coraz więcej uczestników z tak zwanego łądu, czyli terenów spoza mierzei. Miejmy nadzieję, że w przyszłości będzie miała jeszcze więcej akcentów kaszubskich. **EEP**



Fotografie: Robert Placzkiewicz



stwie wsiedli do łodzi i z polskim i kaszubskim śpiewem popłynęli w stronę Pucka. Płynęliśmy „Hawą” – średniej wielkości łodzią wycieczkową, która ze względu na dość duże zanurzenie musiała omijać wszelkie mielizny, wobec czego całą trasę przemierzaliśmy w trzy godziny. Na wysokości Oslanina na horyzoncie zaczęły pojawiać się następne kutry. O godzinie 12.30, niedaleko Cypla Rzucewskiego, nastąpiło spotkanie wszystkich pątników z arcybiskupem Tadeuszem Gocłowskim, by wspólnie skupić się na modlitwie prowadzonej przez arcypasterza gdańskiego. Razem z metropolitą przyłączyli m.in. wojewoda gdański Maciej Płażyński, proboszcz puckiej fary ks. prałat Jan Felski oraz burmistrz miasta Puck Janusz Łęgowski. Po-

Rybacki festyn w Chałupach

Organizowany jest od 1977 r. Jego pomysłodawcą jest Aleksander Celarek – miłośnik morza, szkutnik i żeglarz, który przed ponad dwudziestoma laty zainteresował się starymi ginącymi konstrukcjami kaszubskich łodzi rybackich. Sporządził dokumentację najciekawszej z nich – „pomeranki” i ją zbudował. Przyłączyli się do niego rybacy, którzy powyciągali swoje zapomniane i zniszczone łodzie. Po ich odnowieniu zorganizowano, właśnie w 1977 r., uroczystą paradę po Małym Morzu.



Kaszëbscë bóty pod żóglama

Tegoroczne „Kaszëbscë bóty pod żóglama” odbyły się 23 lipca. Festyn rozpoczęła msza święta z kaszubską liturgią słowa. Po niej załogi i tłumy kibiców, prowadzeni przez orkiestrę dętą, przeszli nad brzeg. Tu uroczystego otwarcia festynu dokonał burmistrz Władysławowa Tomasz Lesner. O tym, co działo się na morzu, informował po kaszubsku Aleksander Celarek, a tłumaczył na język polski Józef Roszman. Oni dwaj prowadzili całą imprezę.

Ściagały się załogi Budziszów, Konkelów, Celarków, Struków, Mużów i innych.

Po tej konkurencji kaszubszy rybacy zaprezentowali swoje umiejętności rybackie plecenia i naprawiania sieci i inne. Grały kapelle i występowały zespoły folklorystyczne. Wszyscy żałowali, że na następne regaty trzeba czekać cały rok.

EEP

Pociągiem retro przez Kaszuby

Polskie Koleje Państwowe uruchomiły na trasie Gdynia – Kościerzyna specjalny pociąg retro. Wyrusza z Kościerzyny rano, przed godziną 7.00, z Gdyni w powrotną drogę wyjeżdża przed 9.00. Zatrzymuje się w Wielkim Kacku, Gdańsku – Osowej, Żukowie, Somoninie, Wieżycy, Krzesznej i Gołubiu Kaszubskim. Zarówno pasażerowie jak i konduktor twierdzą, że byłoby jeszcze więcej chętnych, gdyby zatrzymywał się także na przystankach w mniejszych miejscowościach, pomiędzy stacjami. Tam głównie znajdują się ośrodki wczasowe i jeziora, nad które podążają turyści.

Pociąg retro przemierza trasę Gdynia – Kościerzyna w sobotę i niedzielę. W sobotę ciągnie go stary typ lokomotywy, natomiast w niedzielę nowszy, tzw. motorówka. Również wagony są starszego typu. Przemierza najpiękniejsze zakątki Kaszub. Po mi-

nięciu Żukowa ze wspaniałym wiaduktem, Somonina, mkną po Wzgórzach Szymbarckich, ocierając się o najwyższe wzniesienie pasa nizin europejskich – Wieżycę (368,6 m n.p.m.). Przedtem mija piękne jeziora Pojezierza Kaszubskiego, ze szczególnie urokliwym Jeziorem Ostrzyckim. To dobry pomysł na pokazywanie turystom pięknego kaszubskiego krajobrazu. Być może w przyszłych latach będzie takich pociągów więcej.

EEP

Jubileusz „Rodny zemi”

20 lipca minęło pięć lat od emisji pierwszego odcinka Magazynu Kaszubskiego „Rodnô zemia”, natomiast 30 lipca telewizji mogli obejrzeć jubileuszową 150. audycję magazynu. Jego redaktorem, od początku istnienia do kwietnia br. była Izabela Trojanowska. Niestety, pracę tę przerwała jej nagła śmierć, spowodowana zawałem serca. Od tamtego czasu magazyn prowadzi jej młodzi współpracownicy, których potrafiła przyciągnąć do tej pracy i możliwie dużo nauczyć.

W jubileuszowej „Rodny zemi” widzowie mogli obejrzeć, prócz krótkiego rysu historycznego, dokonania niedawno powstałego dziecięcego Zespołu Pieśni i Tańca z Borzestowa oraz nowego teatryku dziecięcego z Tuskowych koło Lipusza. Poza tym przedstawiono, przeprowadzoną wśród Kaszubów zgrupowaną na odpuszcie w Sianowie, sondę na temat popularności programu. Prawie wszystkie pytane osoby odpowiedziały, że oglądają program kaszubski regularnie co niedzielę. Tylko dwie, że nie znają programu, jako że są... spoza Kaszub. Pan z Gryfina pod Szczecinem wprowadził nie zna naszego programu, ale Kaszubów tak. Podkreślając kaszubskie pocho-

dzenie swojej żony, chwalił Kaszubów. Większość była zdania, że jest on za krótki i zbyt wczesna jest pora jego emisji. Dobrze, mówili, że teraz mówi się o Kaszubach i ich problemach. Ktoś powiedział, że najbardziej podobają mu się lekcje kaszubskiego. Inny chciałby, aby w programie mówiło się więcej o rolnictwie. Starszy pan z Tczewa tak jest zadowolony z „Rodny zemi”, że za jej pośrednictwem pozdrowił Kaszubów na całym świecie.

Realizatorzy „Rodny zemi” chętnie poznają także opinie czytelników „Pomeranii” o magazynie. Są otwarci na wszelkie uwagi i wskazówki dotyczące programu, jego tematyki. Opinie i propozycje prosimy przysłać pod adresem „Pomeranii”: Straganiarska 20-22, 80-836 Gdańsk, z dopiskiem „Rodnô zemia”, lub Telewizji Gdańsk, ul. Sobótki 15, 80-247 Gdańsk – Wrzeszcz.

EEP

Pomnik twórcy Błękitnej Armii

General Józef Haller, którego prochy przed dwoma laty sprowadzone zostały z Londynu do Krakowa, doczekał się pierwszego w kraju pomnika.

Monument, który przedstawia wyłaniającą się z fal morskich postać dowódcy Błękitnej Armii, w mundurze generalskim, z lasceczką, 13 sierpnia br. stanął na placu przy ul. Morskiej we Władysławowie. W uroczystości jego odsłonięcia udział wzięli m.in. arcybiskup metropolita gdański Tadeusz Gocłowski, dowódca marynarki wojennej admirał Romuald Waga, wicewojewoda gdański Józef Borzyszkowski, przedstawiciele samorządów ziemi puckiej, Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i organizacji „Sokół”. Obecny był także przewodniczący NSZZ „Solidarność” Marian Krzaklewski i honorowy prezes Towarzystwa Przyjaciół Hallerowa – senator Łukasz Andrzejewski.

Związki J. Hallera z Władysławowem sięgają roku 1920, kiedy to generał po zaślubinach Polski z morzem w Pucku udał się do tej, jeszcze wówczas niewielkiej, wsi i stamtąd, na kutrze Jakuba Myślisza, wypłynął w morze. Nieco później gen. Haller zakupił od gospodarza z Wielkiej Wsi 20 hektarów ziemi. Taki był początek miejscowości Hallerowo, będącej dziś dzielnicą Władysławowa. W ślady Hallera poszli jego oficerowie. W 1926 roku założyli oni Towarzystwo Przyjaciół Hallerowa, które inicjowało m.in. budowę drogi z Wielkiej Wsi do Jastrzębiej Góry, budowę dworca kolejowego czy wreszcie parku imienia Hieronima Derdowskiego – znajdującego się na przeciw władysławowskiego kościoła. Działania towarzystwa przerwała II wojna światowa, a próby jego reaktywowania po wojnie nie udały się, aż do roku 1991. Pamięć gen. Hallera i jego oficerów była jednak we Władysławowie żywa. W zbieranie pamiątek



Fot. Archiwum

po dowódcy Błękitnej Armii zaangażowali się m.in. Marian Adamczyk, Tadeusz Rewoliński, Piotr Łukasz Andrzejewski, Wanda Andrzejewska. W „Hallerówce”, gdzie mieści się obecnie dyrekcja Nadwiślańskiego Parku Krajobrazowego, powstała izba pamięci generała. Kontakty z jego rodziną, mieszkającą za granicą, zaowocowały przesłaniem ponad 100 wolumenów z prywatnej biblioteki J. Hallera. Wśród nich najcenniejszy jest jedyny egzemplarz „Kroniki rodu Hallerów”. Uwieńczeniem dotychczasowych prac reaktywowanego w kwietniu 1991 roku Towarzystwa Przyjaciół Hallerowa jest właśnie pomnik przy ul. Morskiej. Jego projektantem i wykonawcą jest gdański artysta Stanisław Szwechowicz.

Artur Jabłoński

Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Kościerskiej

Powstało na początku tego roku w Kościerzynie. Liczy obecnie około czterdziestu członków. Celem Towarzystwa – mówi jego prezes Helena Wegner – jest przede wszystkim upiększanie i dbanie o czystość miasta oraz zachęcanie do tego mieszkańców okolicznych wsi. Wygląd najbliższego otoczenia jest wizytówką naszej gospodarki. Mam nadzieję, że estetyczny wygląd naszych miast, miasteczek, wsi, ośrodków wczasowych, świeże powietrze, piękne krajobrazy przyciągną tysiące turystów.

Towarzystwo rozpoczęło swoją działalność od zasadzenia symbolicznego drzewka dębowego u stóp pomnika Józefa Wybickiego i parędziesięciu innych. Rozpisało już konkurs na najpiękniejszy balkon, posesję i ośrodek wczasowy. Wpłynęło kilkanaście zgłoszeń, które oceni komisja. Organizatorzy mają nadzieję, że w przyszłości konkursy te cieszyć się będą dużą popularnością i przy-

czynią się do poprawienia wyglądu miasta.

Towarzystwo chce także promować ziemię kościerską i cały region kaszubski poprzez organizowanie imprez kulturalnych, oświatowych, sportowych i innych. W najbliższej przyszłości chcą nawiązać współpracę z Towarzystwem Przyjaciół Kartuz i wspólnie realizować różne przedsięwzięcia, aby zasypać przepaść i niezgodę, która powstała w latach sześćdziesiątych podczas rozgrywanego wówczas turnieju miast. Oba towarzystwa są zgodne, iż wzajemna współpraca obu tak ważnych miast kaszubskich jest bardzo korzystna i potrzebna.

Wreszcie ostatnim, jak na razie, zamierzeniem towarzystwa jest włączenie się Kościerzyny i Kartuz do programu współpracy północy i południa Polski, zaproponowanego przez prezydenta Sopotu. Prezydent Jan Kozłowski podczas trwania Dni Kultury Krakowskiej w Sopocie powiedział w gdańskiej telewizji, że chce stworzyć program współpracy z południem. Do tej wymiany chciałby się włączyć również Kościerzyna i Kartuz, aby móc zaprezentować swoje osiągnięcia, a także promować region. Jest to idea godna naśladowania także przez inne miasta Kaszub.

EEP

Tuszkowy mają kaszubski teatrzyk

W ciągu kilku ostatnich lat powstało na Kaszubach wiele różnych dziecięcych zespołów folklorystycznych, np. w Stężycy, Borzestowie czy w Nowym Klinczu. W mniejszych miejscowościach, gdzie nie ma tylu dzieci i funduszy, nauczyciele chcą stworzyć taki zespół napotykają na większe trudności. Dla chcących nie ma jednak przeszkód. Tym razem udowodniła to Danika Rolbiecka. Pracuje w tuszkowskiej szkole podstawowej i studiuje jednocześnie geografii na Uniwersytecie Gdańskim.

Od września ubiegłego roku działa w szkole sekcja kaszubska w ramach samorządu szkolnego. Początkowo dzieci wraz z opiekunką zbierały legendy o Tuszkowach i okolicy, śpiewały piosenki kaszubskie i uczyły się wierszy. Zbierały też eksponaty kultury materialnej Kaszub, wyszukiwały w domach kaszubskie książki, których było niemało, i wspólnie urządziły w szkole wystawę. Po tych zajęciach wprowadzających przyszedł czas na trudniejszą pracę – na przygotowanie przedstawienia. Dzieci miały się zaprezentować na „gwiazdce” szkolnej. Wraz z nauczycielką postanowiły przygotować sztukę Anny Łajming pt. „Garnek”. Uczenie się kwestii, próby – popłacały. Przedstawienie podobało się dzieciom i ich rodzicom. Było swojskie i bliskie, w dodatku w języku kaszubskim, którego używają na co dzień. Przychylność rodziców zmotywowała Danikę i dzieci do przygotowania kolejnego przedstawienia. Tym razem była to „Pustô noc” ks. Romana

Skwiercza. Przedstawienie cieszyło się dużym powodzeniem. Zespół gościnnie występował z tą sztuką na konkursach „Rodny mowë” w Lipuszu, Łubianie, Piechowicach oraz na sobótkach w Lipuszu. Teraz chcą przygotowywać następną sztukę, jeszcze nie wiadomo jaką, ponieważ mają trudności z wyszukaniem odpowiedniego tekstu.

Danka twierdzi, że wcale nie trzeba się poświęcać, aby przygotować takie przedstawienie, dzieci są bardzo chętne i mają w sobie zakodowaną kaszubszczyznę. Jej zadaniem jest ją rozbudzić. Ma nadzieję, że przez wspólne działanie – dzieci, rodziców i nauczycieli – kaszubszczyzna będzie się pięknie rozwijać w ich wsi i okolicach.

Dobrze byłoby i w innych szkołach na Kaszubach propagować kaszubszczyznę w ten sposób, jeżeli nie można inaczej. Przecież nie jest to takie trudne.

EEP

Kronikarski zapis zdarzeń

Uroczysty przebieg miały w Bojanie obchody 50-lecia zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem. 9 marca przed godz. 9.00 strażacy z drużyny młodzieżowej zaciągnęli wart honorowe w miejscach upamiętnionych: przed tablicą na szkole ku czci zamordowanego przez hitlerowców kierownika szkoły Feliksa Cieplucha, przed tablicą na remizie strażackiej z nazwiskami poległych partyzantów-strażaków i na cmentarzu wojennym Głodowo, gdzie również wartę pełnili strażacy-weterani. O godz. 9.00 włączono syrenę na remizie, a w szkole rozpoczął się apel poległych. Delegacje młodzieży, rady sołeckiej, zrzeszeniowców, kombatanów, strażaków złożyły wiązanki kwiatów przed miejscami pamięci we wsi, a następnie na cmentarzu wojennym Głodowo.

Święto Ludowe, to nie tylko święto ludowców, ale wszystkich mieszkańców wsi, którzy gremialnie uczestniczyli w mszy św., którą odprawił w języku kaszubskim nasz ziomek, ks. Piotr Gruba. Później odbyło się spotkanie mieszkańców gminy z działaczami PSL, na czele z posem na Sejm Sławomirem Szatkowskim.

Tradycyjne sobótki w Bojanie zorganizowali zrzeszeniowcy i strażacy przy współudziale rady sołeckiej. Było pieczenie kiełbasek, konkursy, tańce i śpiewy. Bawiła się prawie cała wieś i liczni mieszkańcy sąsiednich siół.

Autokarowy wyjazd do Pucka na łodziową pielgrzymkę rybaków zorganizował dla społeczności zrzeszonej z Bojana i Warzna Alojzy Damaszkę. Ponieważ zabrakło miejsc na łodziach, leśdocy pielgrzymi poczekali ze swym sztandarem zrzeszeniowym w Pucku. Uczestniczyli we mszy św., a po niej łodzią, którą zdobyli wielkim wysiłkiem, popłynęli do Jastarni.

Spotkanie byłych więźniów obozu Potulice odbyło się w Szkole Podstawowej im.

Partyzantów Kaszubskich w Koleczkowie. Były występy, wspomnienia i wycieczka nad Ślężę w pobliżu leśniczówki Piekietko, gdzie miała miejsce znana bitwa „gryfowców” por. A. Loepera. Drężna Bronisława Licbarska, więźniarka Potulic, zaprosiła następnie do siebie koleżanki, z którymi dzieliła los obozowej mitręgi. Na spotkaniu obecni też byli m.in. autorzy przygotowywanego pamiętnika byłych więźniów obozu – Zygmunt Rohde i Bolesław Bieszk.

Posiedzenie Zarządu Oddziału. Prezes wręczył trzem nowo przyjętym członkiniom legitymacje Zrzeszenia, ustalono terminy zebrań sprawozdawczo-wyborczych w wiejskich klubach ZKP. Na początku września na kolejnym zebraniu zatwierdzony zostanie regulamin tegorocznego sejmiku uczniowskiego.

Zebranie Wiejskiego Klubu ZKP w Warznie. Sprawozdanie z jego działalności złożył przewodniczący Waław Hawelt. Wybrano nowego przewodniczącego klubu – został nim dręch Edmund Wentk.

B. Kor

Uroda starej fotografii

Wynaleziona w XIX stuleciu, rozkwitająca w pierwszej połowie naszego wieku, ustępować zaczęła wszechwładnej telewizji, środkom audiowizualnym. Tracąc walor dokumentacyjny, fotografia rozwija swój artystyczny język wypowiedzi.

Do tych wielkich, gdańskich dokumentalistów należał niedawno zmarły Zbigniew Kosycarz. Fotografował miasto od 1945 r. Fotograficznymi kronikarzami swoich wsi, miasteczek było wielu mniej znanych, przypominanych przy okazji różnych wystaw. Stefan Figlarowicz, sam znakomity fotograf, prowadzący od kilku lat Gdańską Galerię Fotografii (ul. Grobla 13/5), sięga po te właśnie zdjęcia. Ostatnio urządził wystawę „Gdańskie albumy 1945-1955”. Pokazał na niej fotografie z albumów ludzi, którzy zjechali do Gdańska zewsząd – z Wilna i ze Lwowa, z dawnej Kongresówki, z poznańskiego, z Pomorza.

Swoje domowe albumy opróżnili na potrzeby tej ekspozycji Wiesław Gruszkowski, Roman Okrój, A. i T. Głuszkowie, Jadwiga Rezmer-Marciniak, Andrzej Czapliński, Łucja Toczyska. Są autorami tych zdjęć? I to być może. Nade wszystko okazali się dbałymi ich kustoszami. Wydobyte dzięki S. Figlarowiczowi na światło dzienne poruszają naszą pamięć i wyobraźnię. Niby zwyczajne i codzienne, tworzą coś w rodzaju zapisu z wzrastania na nowo życia w tym okaleczonym mieście.

I zgola inny, długi rząd fotografii – „Mój kaszëbsczi mół świat” Władysława Baranowskiego – w Ratuszu Staromiejskim. Najpierw o W. Baranowskiego pasji fotografowania wszystkiego co wokół, dowiedziało się Chmielno, później, od 27 lipca, dookolny



Fot. Grażyna Paczkowska

Na otwarciu wystawy grał Stanisław Kiedrowicz

świat Cieszenia, rodzinnej wsi W. Baranowskiego, można było zobaczyć w Gdańsku.

Zaczął fotografować wcześniej, bo w roku 1938. Na wystawie – fotografie z lat 1936-1958. Posiadają walor historyczności. Dokumentują czas miniony na Kaszubach. Czas ludzi elegancko, sztywnie ubranych, uroczystych, odświętnych. Urzędników gminnych, wiejskich nauczycieli (jak Łukę z Cieszenia, o którym dopisek pod fotografią informuje, że został zamordowany przez Niemców w czasie II wojny światowej), chmielęńskich rezerwistów, którzy wkrótce zostaną powołani pod broń. Jeszcze nie wiedzą, co ich czeka, jeszcze są radośni. Twarze kobiet, kaszubskich wieśniaczek. Razowe, ale jakże dostojne zarażem. Ileż w nich ciepła i powagi!

„Nie każda gmina – jak dziś piszą o panu Baranowskim – może poszczycić się fotografem, który przez bez mała pięćdziesiąt lat utrwał na kliszy świat wokół”. Ten pokazany na wystawie dokumentuje dwadzieścia lat życia Kaszubów.

Ryszard Ciemiński

Pielgrzymka autokarowa

W ostatnią niedzielę maja Oddział Rumski ZKP zorganizował wycieczkę-pielgrzymkę autokarową do sanktuariów maryjnych na Pomorzu. W Matemblewie pod Gdańskiem, w miejscu, gdzie pośród drzew, w pięknej kaplicy na wzgórzu, stoi cudowna figura Matki Bożej Brzemiennej, uczestniczyliśmy w mszy św. i obejrzelśmy nowo budowany kościół i Dom Samotnej Matki im. Jana Pawła II. Następnie pojechaliśmy do Piaseczna, gdzie również znajduje się

sanktuarium Matki Bożej, zwanej Królową Pomorza. W przydrożnej kaplicy w skupieniu pomodliliśmy się, a następnie nabraliśmy źródlanej wody z głębokiej studni. Już w drodze powrotnej obejrzelśmy wnętrze kościoła, gdzie znajduje się cudowna figura Królowej Pomorza.

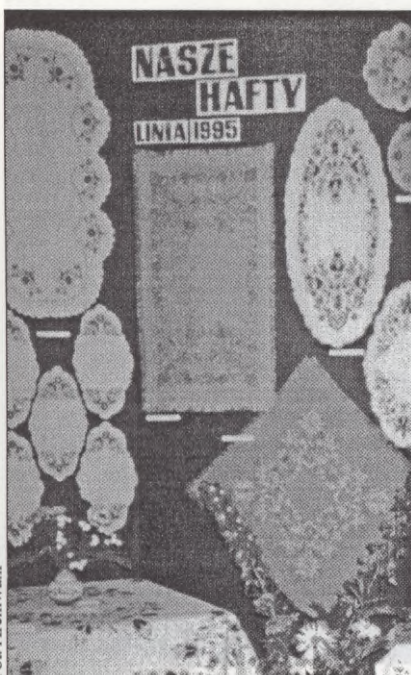
Głównym celem pielgrzymki był Okonin, wieś położona 12 km za Grudziądem. Tam 14.6.1990 roku, w dzień Bożego Ciała, po raz pierwszy objawić się miała Matka Boska, i od tego czasu miejsce to jest znane z wielu niezwykłych wydarzeń – objawień. Naszym przewodnikiem w Okoninie był Leon Bieszke.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się jeszcze w Pelplinie, gdzie zwiedzaliśmy katedrę i cmentarz. Przy grobie ks. bp. Konstancy Dominika pomodliliśmy się o jego rychłą beatyfikację i zaśpiewaliśmy hymn kaszubski.

J.L

Wystawa haftu w Lini

Otwarta została 12 lipca w Domu Kultury. Głównym organizatorem ekspozycji jest Edmund Szymikowski – dyrektor placówki, jednocześnie hafciarz. Zainteresowanie haftem wyniosł z zukowskiego domu rodzinnego, gdzie miał jeszcze okazję uczyć się tego kunsztu od znanych twórczyń szkoły zukowskiego haftu, siostr Zofii i Jadwigi Ptach. To zamilowanie przeniósł do Lini i zaraził nim żonę i córkę. Na wystawie prezentowane są serwety, obrusy, zakładki, poszewki twórców z Lini i okolicznych wsi i, oczywiście, rodziny Szymikowskich. Taką ekspozycja przygotowywana jest regularnie każdego lata.



Edmund Szymikowski mówi, że w ich gminie, o wybitnie kaszubskim charakterze, tak mało kultywuje się tradycje rodzinne. Żałuje, że nauczyciele ze szkół podstawowych nie włączają się do konkursów "Rodny mowę", którego finał corocznie organizowany jest w Chmielnie. W tym roku do gminnych eliminacji zgłosiły się tylko dwie szkoły – kaszubska w Głodnicy oraz szkoła w Miłoszewie. W tej sytuacji konkursu wcale nie przeprowadzono. Wierzy, że w przyszłych latach sytuacja się poprawi. Przeprowadzaniu konkursów nie sprzyja też niefortunne włączenie szkół gminy Linia do rejonu luzińskiego. Za organizację zeszłorocznego konkursu luzinianie zażądali 4 mln złotych, na co – jak powiada E. Szymikowski – ich nie stać. Może należałoby rozpocząć starania o stworzenie nowego rejonu, który obejmowałby Linię i na przykład Łęczycę czy Łębork.

EEP

750 lat Luzina

Imprezy rozrywkowe i refleksja historyczna wypełniły trzydniowe obchody 750-lecia Luzina. W piątek i sobotę 4-5 sierpnia gminnemu świętu patronował miejscowy klub CB-radiowców, któremu przewodniczył Edward Kanczkowski. Radiowcy, którzy zjechali do Luzina z kraju i Europy, oraz Towarzystwo Przyjaciół Luzina byli organizatorami imprez rekreacyjno-rozrywkowych, w tym meczów piłkarskich między drużynami największych firm luzińskich, zawodów strzeleckich. Były także pokazy skoków spadochronowych, jazdy samochodowej, występy zespołów artystycznych. Nie zabrakło wojskowej grochówki oraz oranżady dla dzieci, ufundowanej przez Józefa Lorcza. Przez wiejski radiowęzeł nadawano muzykę i reklamy.

Następnego dnia, w niedzielę, rocznicowe obchody zostały zorganizowane przez Urząd Gminy Luzino. Głównym punktem niedzielnej uroczystości był wykład prof. Gerarda Labudy o historii Luzina. Wykład, poprzedzający mszę św. koncelebrowaną przez metropolitę gdańskiego arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego, spotkał się z dużym zainteresowaniem luzinian. Profesor po kaszubsku podkreślił, że dzieciństwo spędził w pobliskim Wielkim Lesie i że był uczniem luzińskiej szkoły. Mówiąc o obchodach 750-lecia Luzina przypominał, że jest to rocznica pierwszej wzmianki o osadzie w dokumencie biskupa kujawskiego Michała, który nadał Luzino żeńskiemu klasztorowi norbertanek z Żukowa. Jednak historia całej osady, co zaświadcza odkryte w latach 60. grodzisko nad Bolszewką, ma już tysiąc lat.

Gerard Labuda w barwny i sugestywny sposób opowiedział o życiu 30 pokoleń, bohaterów dziejów wsi. Niewiele do dziś, zdaniem profesora, zmienił się sposób bycia mieszkańców i postrzegania otaczającego świata. Radykalne zmiany nastąpiły jedynie w sferze higieny i komunikacji. Gospodarze oblicze Luzina zmieniło się znacząco dopiero na początku XIX wieku, gdy ustąpiła fala wojennych rabunków, a chłopcy uzyskali prawo do osobistej wolności. Podsumowując ponadpółgodzinny wykład Gerard Labuda zaznaczył, że harmonijny rozwój Luzina spełni się jedynie wówczas, gdy mieszkańcy wykazą się solidarną troską o ziemię i jej piękno oraz gospodarkę i rodzinę.

Po mszy św., podczas której odbyło się poświęcenie sztandaru luzińskiego klubu CB-radiowców, gospodarze zaprosili wszystkich gości na uroczysty obiad w Szkole Podstawowej im. Lecha Bądkowskiego. Wśród gości byli m.in. reprezentanci władzy wojewódzkiej, okolicznych samorządów, duchowni rodem z Luzina. Zwieńczeniem luzińskiego święta był festyn na szkolnym boisku, z koncertem miejscowej orkiestry dętej, pokazem mody, występami kaszubskiego gawędziarza Józefa Roszman, a także z prezentacjami gminnych zespołów instrumentalno-wokalnych oraz rodzinnymi konkursami i turniejami.

Trwałymi pamiątkami obchodów pozostaną wydawnictwa: specjalny numer Gminnego Biuletynu Informacyjnego oraz folder o wsi z tekstem Feliksa Sikory; niebawem ma się ukazać monografia wsi pod redakcją prof. Gerarda Labudy. Pod koniec października br. odbędzie się sesja popularnonaukowa „Luzino – wczoraj, dziś, jutro”.

s.j.

600 lat miasta Czarne

Przez trzy dni, 16-18 czerwca, trwały uroczystości związane z obchodami 600-lecia miasta Czarne i 50. rocznicy powstania miejscowej jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej. Tylu znakomitych gości odwiedza miasto raz na wiele lat. Tyle imprez, zabaw, wystaw, kiermaszy odbywa się przy okazji

wielkich świąt w życiu grodu. Czarne na swoje urodziny otrzymało od rajców i włodarzy prezenty, m.in. stację uzdatniania wody, nowe nawierzchnie na ulicach i elewacje niektórych kamienic.

Miasto powstało w 1395 r. Dokument lokacyjny i jednocześnie prawa miejskie otrzymało od Konrada von Jungingena i odtąd pieczętowało się herbem, w którym mieścił się młot, gwiazda i księżyc.

Historii miasta poświęcona była sesja popularnonaukowa, przygotowana przez doc. Z. Szultkę, dr. S. Żurawskiego i mgr M. Frydę.

Obchody uroczystości zainaugurowano w piątek, 16 czerwca. Po oficjalnych wystąpieniach przewodniczącego Rady Miasta i Gminy Jerzego Grzędy i przewodniczącego Społecznego Komitetu Obchodów 600-lecia, Krzysztofa Niedźwieckiego, bawiono się w amfiteatrze w towarzystwie zespołu tańca współczesnego „Rebelia” ze Szczecinka. Następnego dnia miasto gościło uczestników Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Ludowych. Wystąpiły zespoły „Gochy” z Lipnicy, „Gzube” z Tuchomia, „Rokity” z Czarnej Dąbrówki, „Pomorzanki” z Czarnego, „Słowinki” z Debrzyna, „Potęgowieńki” z Czarnej Dąbrówki; łącznie ponad 150 artystów.

W niedzielę Czarne gościło wielu oficjalnych gości: marszałka Sejmu Józefa Zycha, komendanta głównego Państwowej Straży Pożarnej gen. Feliksa Delę, dowódcę II Dywizji Zmechanizowanej gen. Zenona Wernera, wojewodę śląskiego Kazimierza Kleinę, senatora RP Andrzeja Szczepańskiego i posła Zbigniewa Galka. Uczestniczyli oni wraz z mieszkańcami w mszy św., odprowadzonej na rynku w intencji mieszkańców miasta, którą koncelebrował dziekan dekanatu Czarne, ks. proboszcz Andrzej Pacholski. W homilii powiedział m.in.: „to właśnie takie małe, wydawałoby się, nic nie znaczące społeczności, tworzą historię, to właśnie te ziarenka małych ojczyzn tworzą wielkość narodu i państwa”.

Po mszy gen. F. Dela wręczył czarneńskiej jednostce OSP sztandar, ufundowany przez Komendę Główną PSP i społeczeństwo ziemi czarneńskiej. Tego dnia bowiem obchodzono również 50-lecie OSP w Czarne.

Jednostka powołana została 18.8.1954 r., a więc już w kilka miesięcy po wyzwoleniu, jako jedna z pierwszych na Pomorzu Środkowym. Powołał ją burmistrz miasta Leopold Grudziński. Pierwszym komendantem OSP został mistrz kominiański Józef Mazur. Strażacy nie tylko gasili pożary, ale także odgruzowywali zniszczone miasto.

Tytuł Honorowego Obywatela Miasta Czarne otrzymał marszałek Sejmu Józef Zych.

Uroczystościom towarzyszyły festyny, zawody sportowe, zabawy. Gwoździem programu był korowód historyczny, w którym młodzież ze szkół gminy w strojach z dawnych epok zaprezentowała najważniejsze wydarzenia z historii miasta. Trzydniowe święto zakończył pokaz ogni sztucznych, fachocho przygotowany przez żołnierzy z czarneńskiej jednostki WP.

Małgorzata Drukowska

Folklor Ludów Północy

W dniach 7-13 sierpnia br. pod egidą Nadbałtyckiego Centrum Kultury zorganizowany został XIX Gdański Festiwal Folkloru. Po raz pierwszy miał on charakter Festiwalu Folkloru Ludów Północy. Wzięło w nim udział 15 zespołów z różnych krajów. Zdaniem Macieja Nowaka – dyrektora NCK – wszystkie zaproszone grupy mieściły się w formule festiwalu i reprezentowały surowy, oszczędny w swym wyrazie folklor północnych terenów Europy i Azji. Na plenerowych estradach Gdańska, Gdyni, Sopotu, Starogardu Gdańskiego, Łeby, Krokowej i Helu wystąpiły zespoły z Jakucji, Nowosybirsk, Moskwy, Petersburga, a także z Estonii i Finlandii. Polskę reprezentowały: prezentujący folklor Warmii i Mazur Zespół Pieśni i Tańca „Jedwabno”, grupa instrumentalno-taneczna z Kujaw oraz zespoły kaszubskie – „Kościerzyna”, „Bazuny” z Żukowa i „Gzub” z Tuchomia. Poszczególne koncerty prowadzili na zmianę Kaszuba Edmund Lewańczyk i góral Stanisław Jaskułka.

W finale festiwalu z dwoma koncertami, z których pierwszy odbył się w ruinach gdańskiego kościoła św. Jana, a drugi na bulwarze Nadmorskim na Helu, licznie zgromadzonej publiczności zaprezentował się czołowy polski kwartet jazzowy Jarosława Śmietany z towarzyszeniem kaszubskiego zespołu „Koleczkowanie”. Wspólne próby jazzmanów i „Koleczkowanie” trwały trzy dni. Efektem tej pracy były nowe aranżacje kaszubskich pieśni. W jazzowym wykonaniu usłyszeliśmy po raz pierwszy tak znane utwory, jak chociażby „Dzysô wieselô, wtro

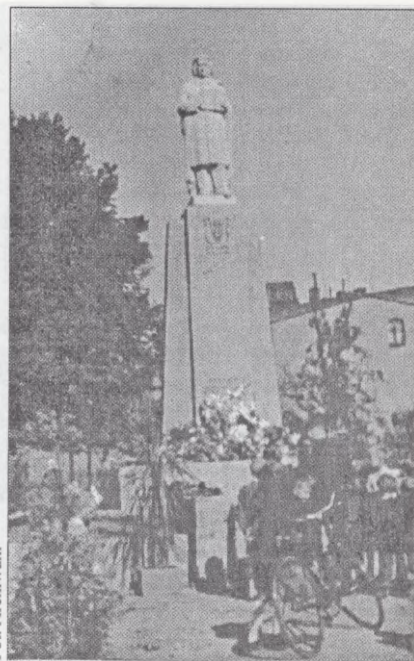
precz musza” i „Rëbë nie roscą w lesë jak grzëbë”. Diabelskie skrzypce towarzyszyły perkusji, dźwięki bazyuny powtarzał saksofon, a burczybas, mrëczk, akordeon, kontrabas i trąbka wtórowały gitarze Jarosława Śmietany. Choć nie zawsze muzycy imponowali zgraniem, gdzieniegdzie pojawiał się fałsz, to publiczność reagowała na ten eksperyment żywiołowo. Zapytani, jak można było połączyć jazz z folklorem kaszubskim, członkowie zespołu z Koleczkowa odpowiadali, że wszyscy polubili dźwięki jazzu i teraz chcieliby spróbować swoich sił z zespołem country.

W ostatnim czasie odnotować można wiele prób łączenia folkloru z muzyką rockową, reagge czy jazzem. Jarosław Śmietana jest pierwszym, który sięgnął do muzyki Kaszub. W poszukiwaniu inspiracji do swoich nowych utworów przesłuchał – jak sam twierdzi – wiele taśm z nagraniami różnych kapel. Wybrał „Koleczkowanie”, bo, jego zdaniem, są najbardziej autentyczni.

Artur Jabłoński

Mickiewicz na Kociewiu

Powstanie listopadowe rozbudziło na Pomorzu Nadwiślańskim ruch narodowowyzwoleńczy, podsycany przez emisariuszy Wielkiej Emigracji. Działalność konspiracyjną prowadzono głównie wśród młodzieży gimnazjalnej, która zaczęła się organizować na wzór filomatów wileńskich, w tajne związki. Należało do nich na Pomorzu Nadwiślańskim ponad 1300 młodzieży. Najwcześniejszy związek, zapewne o nazwie „Po-



Poświęcenie pomnika

lonia”, powstał w Chojnicach. Należał do niego Florian Ceynowa, o którym tak napisał ks. Gustaw Pobłocki, ówczesny proboszcz parafii Kokoszkowy pod Starogardem: „Florian był wielkim miłośnikiem dzieł Mickiewicza i jak Wallenrod chciał Litwinów oswobodzić z niewoli krzyżackiej, tak on pragnął być kaszubskim Wallenrodem. Niestety zaplanowane powstanie starogardzkie w 1846 r. nie udało się”. Na Kociewiu do filomackich związków należało około 150 osób. Najliczniejsza i bardzo aktywna grupa była w Starogardzie Gdańskim.

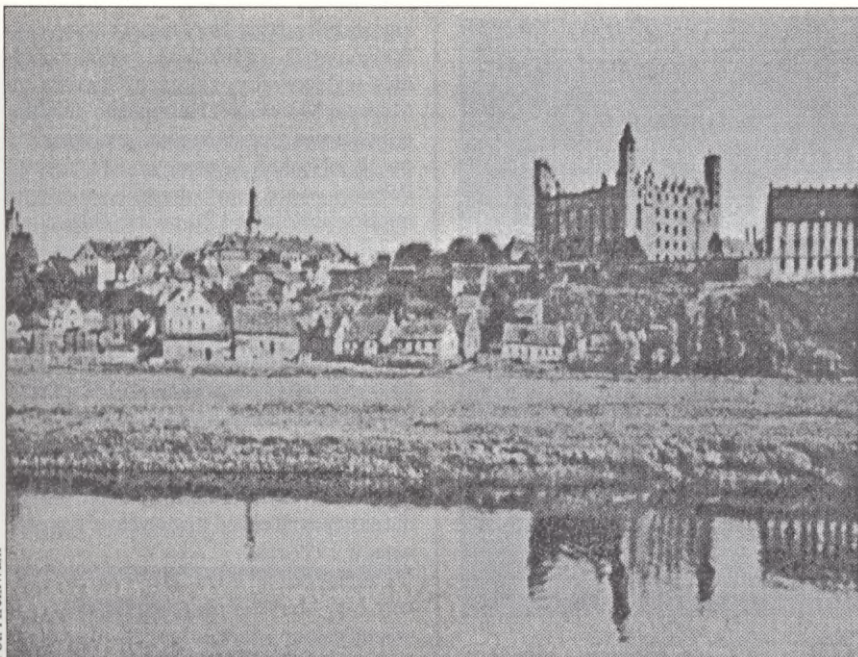
Idee twórcy romantyzmu polskiego popularyzował na Kociewiu dziedzic Jabłówka pod Starogardem, Teodor Kalkstein, korzystający z wykładów Mickiewicza, wygłaszanych w Collège de France, autor pracy doktorskiej z 1874 r. pt. „Eine historische sozialpolitische Studie” (Socjalnopolityczne studium historyczne). Kociewiaczy brali udział 4 lipca 1890 r. w pogrzebie prochów wieszczki narodowej na Wawelu w Krakowie, a w swoich miastach, nawet wsiach, słuchali „Ody do Młodości”, czy oglądali, jak w Świeciu, „Konrada Wallenroda”.

Odtąd na Kociewiu imprezy ku czci autora „Pana Tadeusza” powtarzały się, np. w Nowem nad Wisłą, Osieku i Pelplinie. Nasiliły się w setną rocznicę urodzin poety (1898), przy czym najokazalszy charakter miały w Starogardzie.

Nic też dziwnego, że właśnie w Starogardzie postanowiono w szczególny sposób upamiętnić setną rocznicę zgonu wielkiego wieszka (1955). Inicjatywa budowy pomnika wyszła od byłych wychowanków gimnazjum. Rok później stanął. Projekt wykonał rzeźbiarz Ignacy Zelek, kamieniarską oprawę monumentu z cokołem zrealizował warsztat Jana Czyżewskiego według projektu inż. Tadeusza Dobka. Dzień odsłonięcia pomnika Mickiewicza, 23 września, stał się dla miasta Dniem Mickiewicza, o którym nie za-



Występ folklorystycznego zespołu Pieśni i Tańca Budëli z Rygi



Zamkowe wzgórze

pominają starogardzianie, składając wiązanki kwiatów, organizując spotkania, wieczornice, konkursy. Przyległa do pomnika ulica, a przy niej osiedle i szkoła podstawowa otrzymały imię Adama Mickiewicza. Kult Mickiewiczowski na Kociewiu ma odbicie też w wielu publikacjach regionalnej literatury. Obecnie w przygotowaniu jest opracowanie upamiętniające 140 rocznicę śmierci Mickiewicza, przypadającą w tym roku, 26 listopada. **Józef Milewski**

W gniewskim zamku

Gniewinkowe uroczystości i zabawy rozpoczęły się w piątek 9 czerwca. Najpierw z koncertem kameralnym wystąpiła Piwnica Artystyczna – „Kandelabr” z Tczewa, później na przedzamczu muzycy z grupy „Jordan”. Następnego dnia zamkowi goście towarzyszyli zmaganiom zręcznościowym i siłowym oraz popisowi wiedzy reprezentacji szkół z terenu miasta i gminy. Walczyły gniewskie: „jedynka” i „dwójka” oraz szkoły z Opalenia i Gronowa. Główną nagrodę zdobyli uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Gniewie. Naprawdę zwyciężyli wszyscy, uczestnicząc w prawie czterogodzinny maratonie (pękały liny, kiedy przeciągać zaczęły się 10-osobowe drużyny z poszczególnych szkół). Po południu obejrzeć można było i usłyszeć Kociewską Kapelę „Mewa” z Gniewu, miejscową orkiestrę dętą „Silent Celtic Music” ze Sztumu, zespół „Missing Link” oraz Ireneusza Kamińskiego. W trzyaktówce „Ostatnia bezludna wyspa” swój kunszt aktorski prezentował zespół z MDK w Sztumie. Ogromnym zainteresowaniem cieszył się nocny spektakl „Światło i dźwięk”.

Turniej Kuszniczy i Rycerski

W niedzielny, 10 czerwca, Turnieju Kuszniczym i Rycerskim o Mistrzostwo Bractwa Rycerskiego Zamku Gniewskiego zwyciężyli: Darek Markowski z Warszawy (strzelanie z kuszy) oraz para: Andrzej Kocknecht i Sebastian Frymarsi z Gniewu (pojedynki rycerskie).

Tego dnia wystąpiły „Piaseckie Kociewia-ki”, „Było dobrze – będzie lepiej” oraz „Tymur i jego drużyna” z Gdyni.

Już tradycyjnie, w trakcie Gniewinek, udostępniono turystom kolejne zamkowe pomieszczenie. W tym roku było to trzecie piętro Dormitorium oraz Piwnica Rycerska „Pod ognistym smokiem”. Nową lokalizację uzyskała też ekspozycja archeologiczna, ze stylowym przejściem między kondygnacjami. Zmieniła i wydłużyła się trasa wycieczkowa.

Znowu kuli

II Międzynarodowy Pokaz Kucia Artystycznego rozpoczął się w sobotę 24 czerwca efektywnym przemarszem ulicami starego miasta rycerstwa gniewskiego oraz licznych kowali.

Dwa dni kucia zaowocowało nowymi eksponatami – prezentowanymi na wystawie kowalstwa artystycznego – mieczami i inną bronią sieczną, wykorzystywaną podczas imprez przez bractwa i stowarzyszenia rycerskie z całej Polski. W konkursie na najlepszą ekspozycję zwyciężył gdańszczanin – Franciszek Zulewski. Drugą nagrodą uhonorowano kowala z Niemiec – Ingolfa Eschenbacha. Za najlepsze prace wykonane podczas pokazu uznano wyroby kobiety (!) – Cary Frost z Anglii. Były też inne panie – Francuzka – Carolin Achaintre i trzynastolatka, Dorota Dajkowska, córka prezesa Stowarzyszenia Polskich Artystów Kowali (SPAK) – współorganizatora konkursu i pokazu.



Kobiety też kuli...

Wiele emocji wywołał koncert orkiestry dętej i grup tanecznych ze Świecia.

W Turnieju Kuszniczym o „Żelazny Belt” prezesa SPAK zwyciężył gniewianin, Tomasz Bettker. Również miejscowi rycerze – Jan Berent i Michał Ruda, brawurowo stoczonym pojedynkiem, wywalczyli kolejne trofea – miecze, ufundowane przez SPAK.

W plebiscycie na najbardziej efektywny strój, rycerskie i dworne zachowanie się podczas imprezy, zwyciężyły Beata Muller i Anka Woźniak, dystansując tym samym strojnie paradujących po Wzgórzu Zamkowym przedstawicieli męskiej połowy braci średniowiecznej.

Ognisko nad Wisłą, konkurs wianków, zmagania Janów – solenizantów i poszukiwanie kwiatu paproci (bo to noc świętojańska) zakończyły sobotnie zabawy.

Odwiedziny przedsiębiorców

Na zaproszenie władz miasta i gminy przebywali w zamku przedsiębiorcy, działacze gospodarczy, zrzeszeni w Regionalnej Izbie Gospodarczej. W spotkaniu, poświęconym omówieniu problemów aktywizacji ekonomicznej naszego regionu, uczestniczył również wojewoda gdański Maciej Płażyński oraz przedstawiciele gniewskich władz samorządowych i administracyjnych.

Żałoga zamku zaprezentowała gościom program z tańcami historycznymi, pokazy walk (bito się zresztą „ostro”, pękały miecze) oraz Pokaz Mody Niekonwencjonalnej (nie wszyscy byli przekonani czy prezentowane wzory znajdą powszechne naśladownictwo). O północy straszył Duch Komtury; miejmy nadzieję, że na tyle skutecznie, by sprawić, że wszelkie ambitne przedsięwzięcia Regionalnej Izby Gospodarczej powiodą się.

Krotochwile biesiadne

Wieczór 1 lipca upłynął na dziedzińcu zamkowym pod znakiem biesiadowania. Były też imprezy dla ducha: koncert fortepianowy Wojciecha Lewandowskiego z Tczewa, występ „Silent Celtic Music” oraz Zespołu Muzyki Dawnej „Discantus” z Trąbek Wielkich. Były walki rycerzy, wspólne tańce i sporo innych uciech. Imponująco przedstawiał się zestaw dań – m.in. kasza plebejska, barszcz na kościach Saracena, drób pieczony ze wsi pańszczyźnianych, jaja kaszelańskie i inne specjały z zamkowego gospodarstwa.

Wprawdzie o północy straszył duch, ale nie przeszkodził we wspólnej – gości, dworak i rycerzy – zabawie do białego rana.

Piętnastowieczne imaginacje

2 lipca odwiedzający zamek uczestniczyli w inscenizacji historycznej pn. „Średniowieczny dzień na Zamku Gniewskim”. Akcja dwugodzinnego spektaklu dzieje się w 1468 roku i obfituje w wiele niespodzianek. Uczestniczy w nim każdorazowo kilkudziesięciu rycerzy, giermków, dwórek i reprezentantów innych stanów.

Do końca sezonu letniego odbędzie się jeszcze wiele imprez, spektakli i turniejów, jak choćby IV Mistrzostwa Polski w strzelaniu z kuszy historycznej. O czym później.

Jerzy Krause

Flis '95

W ramach obchodów 1000-lecia pierwszego zapisu o Gdańsku, Liga Morska zaplanowała w latach 1995-1997 zorganizować szereg imprez wodniackich o charakterze spływu gwiazdzistego Wisłą i jej dopływami do Gdańska, nawiązującego do staropolskich tradycji flisackich, pod ogólną nazwą Wisłany Flis do Gdańska 997-1997.

Pierwsza rekonesansowa edycja flisu odbyła się w dniach 22.6.-2.7. br. na trasie Warszawa-Gdańsk-Elbląg. Flis '95 upamiętnił w ten sposób 400-lecie pierwszego wydania w 1595 roku wierszowanej pracy Sebastiana Fabiana Klonowica pt. „Flis, to jest spuszczenie statków Wisłą i inszymi rzekami do niej przypadającymi”, będącej pierwszą encyklopedią wodniaków wiślańskich. „Flis” Klonowica zawiera locję Wisły od Warszawy do Gdańska, aktualną po dzień dzisiejszy. Stanowi też kompendium wiedzy w zakresie zwyczajów i obyczajów flisackich, jak również wiedzy szluczkowej i nawigacyjnej. Jest też przewodnikiem korzystnego handlu zbożem. W okresie „złotego wieku” spław wiślany, zwany też flisem, pływanką i ryżą, stanowił podstawę potęgi gospodarczej I Rzeczypospolitej. Z flisu wzbogacał się Gdańsk, rosły w zasobność inne miasta nadwiślańskie i leżące nad dopływami Wisły. W organizacji spławu, jego głównym spuście do Gdańska, corocznym „Fryjtorze” brały udział liczne rzesze wodnia-



Fot. Archiwum

Flisacy. Fotografia z pocz. XX w.

ków. Tworzyli oni bractwa wodne szyprów, retmanów, sterników i flisaków – cechy, kongregacje, konfraternie i korporacje żeglarszy wiślańskich.

Idea nowego flisu narodziła się w czasach II Rzeczypospolitej, w łonie ówczesnej Ligi Morskiej i Rzecznej. Ostatni przedwojenny spływ odbył się w 1939 roku. Ideę flisu podjęto w 1945 roku pod patronatem Ligi Morskiej, przy współudziale związków żeglarskich i turystycznych. Pierwszy spływ na trasie Warszawa-Gdańsk odbył się już w dniach 17-27 czerwca 1945 roku, z okazji Święta Morza. 46 jednostek i 165 wodniaków pokonało po drodze wiele trudności natury nawigacyjnej, a zwłaszcza aprowizacyjnej. Wraz z likwidacją Ligi Morskiej upadła idea organizowania tego typu imprez.

Przywrócenie obecnie Wiślanego Flisu do Gdańska, jako imprezy wodniackiej, ma zarazem działać na rzecz rozsądnego i racjonalnego wykorzystania Wisły i jej dorzecza, wszystkich zasobów wodnych i środowiska przyrodniczo-geograficznego dla przyszłych pokoleń Polaków. W myśl tej idei flis powinien zachęcić regionalne i lokalne środowiska profesjonalne, społeczne oraz młodzież do ratowania degradowanego przez nas samych środowiska wodnego.

W trakcie Flisu '95 organizowane były, z udziałem władz samorządowych miast nadwiślańskich, liczne imprezy, popularyzujące sprawy morza, problemów Wisły i obszarów nad nią położonych, związków gospodarczych kraju z Gdańskiem, polityki morskiej, polskich tradycji morskich i flisackich, morskiego i wodniackiego wychowania młodzieży.

Symboliczny wręcz wymiar miało zamurowanie 30 czerwca flotyli statków flisowych obok Żurawia Gdańskiego i podniesienie za pomocą jego mechanizmu – nie uruchamianego od lat – worka z pszenicą kujawską i flagą flisową. Potem współcześni flisacy w pochodzie udali się na Długi Targ,

aby złożyć pokłon Neptunowi i skropić go wiślaną wodą, a symboliczny worek z pszenicą wylądował w zbiorach Centralnego Muzeum Morskiego. Następnego dnia flotylla flisowa złożyła kurtuazyjną wizytę w porcie gdyńskim i wojennym na Oksywiu. Późnym wieczorem jednostki wróciły na miejsce postoju pod Żurawiem Gdańskim.

2 lipca flisacy popłynęli do Elbląga.

Flis '95 spełnił oczekiwania organizatorów. Przypomnił m.in. znaczenie gospodarcze, kulturalne i rekreacyjno-turystyczne Wisły, pobudził inicjatywy regionalne i lokalne do jej promowania. Zwrócił także uwagę na problem oczyszczania wody i usunięcia w ten sposób najpoważniejszej bariery rozwoju rekreacji i turystyki i, co bardzo istotne: stworzył warunki do przeprowadzania następnych edycji flisowych, w tym głównej w 1997 roku.

Organizatorem Flisu '95 był Zarząd Główny Ligi Morskiej przy współudziale: samorządowych władz lokalnych miast nadwiślańskich, dowództwa Marynarki Wojennej, Morskiego Oddziału Straży Granicznej, Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku i jego oddziału – Muzeum Wisły w Tczewie, Okręgowych Dyrekcji Gospodarki Wodnej w Warszawie i Gdańsku oraz Przedsiębiorstw Budownictwa Wodnego w Warszawie i Tczewie. Generalnym szyprem Flisu '95 został kmr ppor. rez. Adam W. Reszka z Warszawy, a generalnym retmanem Wisły Roman Klim wicedyrektor Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku.

Roman Klim

Pomnik Szarych Szeregów

W polonijnym ośrodku harcerskim na kanadyjskich Kaszubach w Ontario, 9 lipca br. odbyła się uroczystość poświęcenia pomnika Szarych Szeregów. Z informacji otrzymanych za pośrednictwem Pawła Brzeskiego z Toronto wynika, że inicjatorem budowy było środowisko harcerskie w Kanadzie, głównie kombatancki Szarych Szeregów.

Kilkunastoosobowym komitetem organizacyjnym budowy pomnika kierował 85-letni Marek Jagła. Dzieło zaprojektował architekt Antoni Gardynik. W uroczystości poświęcenia monumentu wzięły udział delegacje rządu kanadyjskiego i polskiego, weteranów wojennych, organizacji polonijnych, a także młodzież uczestnicząca w Akcji Letniej '95. Zebrani uczestniczyli we mszy św., którą na harcerskim stadionie „Milenium” odprawił harcerski kapelan ks. Marian Gil. „Kapelan w swoim pięknym kazaniu podkreślił – relacjonowała polonijna »Gazeta« – duże znaczenie pomnika Szarych Szeregów dla wielkiej rodziny harcerskiej. Później, po mszy św., przed przecięciem wstęgi, mieli swoje wystąpienia przedstawiciele rządu kanadyjskiego, rządu

polskiego i różnych organizacji. Wszyscy potwierdzili trafność budowy tego pomnika, właśnie na Kaszubach, tu, wśród harcerzy”.

Twórcą pierwszego ośrodka harcerskiego na ontaryjskich Kaszubach był harcmistrz, franciszkanin Rafał Grzondziel. Na początku lat 50. założył nad jeziorem Wadsworth ośrodek Kaszuby. W pobudowanej kapliczce umieścił wizerunek Matki Boskiej Swarzewskiej, patronki kaszubskich rybaków. Ojciec Rafał, jak o nim powszechnie mówiono, chociaż pochodził ze Śląska był wielkim miłośnikiem kaszubszczyzny. To właśnie on w znaczącej mierze przyczynił się do popularyzacji nazwy Kaszuby w południowoschodnim regionie prowincji Ontario.

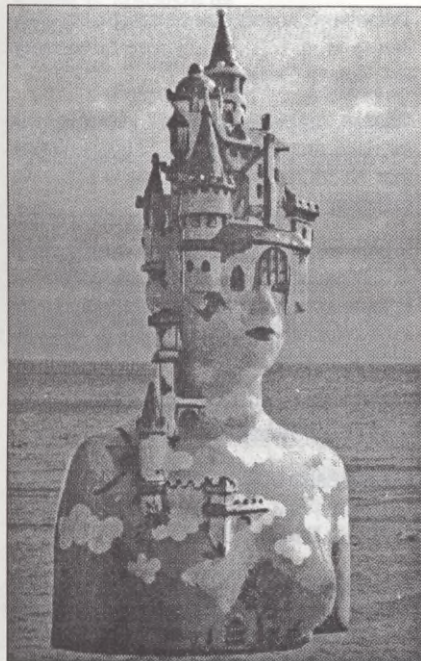
s.j.

Ceramika Anny Strzelczyk

Od połowy lipca do końca sierpnia w Muzeum Narodowym w Gdańsku czynna była wystawa Ceramika Anny Marii Strzelczyk.

Jest to druga próba, po ekspozycji ceramiki prof. Henryka Luli, prezentacji dorobku współczesnego twórcy na tle dawnej ceramiki, znajdującej się na stałej wystawie w dawnym Wielkim Refektarzu.

Anna Maria Strzelczyk ukończyła studia na wydziale projektowania graficznego PWSSP w Gdańsku. Od 1980 r. tworzy wraz z mężem, Tadeuszem Strzelczykiem, rzeźbę ceramiczną w technice majoliki. W 1984 r. nagrodzona została złotym medalem na międzynarodowym konkursie ceramiki artystycznej w Faenzy, a w 1991 r. otrzymała medal brązowy na V Międzynarodowym Triennale Ceramiki Sopot '91. Jej najbardziej znane prace to: popiersia „Okręt”, „Zamek”, „Zimowy ogród”, „Wyspa”, lalki,



skrzypce oraz wizerunki kotów, odzwierciedlające całe bogactwo natury tych zwierząt.

Artystka uprawia rzadką już obecnie technikę fajansu. Łączy formę rzeźbiarską z bogatą dekoracją malarską.

Intymny świat figur ceramicznych Anny Strzelczyk jest jednocześnie głęboko związany z tradycją fajansu, techniki, która do Europy dotarła już w XII wieku (Hiszpania), a do Włoch w wieku XV, co wydatnie widać na tle kolekcji dawnej ceramiki artystycznej.

Elżbieta Kilarska

Seminarium niemieckich ochotników

W Domu Pojednania i Spotkań im. św. Maksymiliana M. Kolbego w Gdańsku odbyło się na przełomie lipca i sierpnia seminarium przygotowawcze dla niemieckich ochotników (wolontariuszy) odbywających roczną praktykę społeczną w Polsce (17 młodych Niemców), Rosji i na Ukrainie (7).

Program obejmował intensywny kurs języka polskiego (oraz rosyjskiego i ukraińskiego), a także spotkania i prelekcje na temat historii Polski i Gdańska, spotkania z ludźmi kultury, działaczami młodzieżowymi, przedstawicielami instytucji społecznych oraz kościelnych.

Ochotnicy (wolontariusze) niemieccy podejmują od 1 września pracę w różnych placówkach w Polsce. Są to przeważnie ośrodki o profilu opiekuńczo-charytatywnym, ośrodki młodzieżowe, międzynarodowe domy spotkań młodzieży.

Organizatorem spotkania ze strony polskiej był Dom Pojednania i Spotkań im. św. Maksymiliana M. Kolbego w Gdańsku, ze strony niemieckiej Initiative – Christen für Europa z Drezna.

D.



Spotkanie z Polską

W ramach cyklu spotkań organizowanych przez Dom Pojednania i Spotkań im. św. Maksymiliana M. Kolbego w Gdańsku pod hasłem: „Gdańsk – miasto otwarte” w dniach 5-14 sierpnia br. odbyły się spotkania francusko-niemiecko-polskie pn. „Spotkania z Polską – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość”. Współorganizatorem spotkań ze strony niemiecko-francuskiej był Jugendwerk für Internationale Jugendarbeit w Aachen.

Młodzież z Polski (12 osób), Niemiec (8) i Francji (3) spotkała się z przedstawicielami ludzi kultury (M. Kołodziej), polityki (prof. Józef Borzyszkowski), z konsulem generalnym Niemiec (dr Drothe Boden), nauki (prof. Winklewski), działaczami społecznymi i duchownymi Kościoła katolickiego. Zwiedzili Westerplatte, Malbork, Kaszuby.

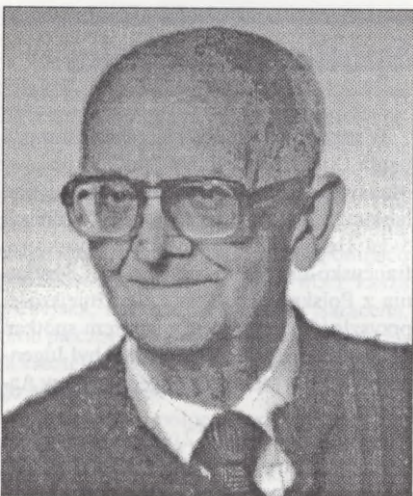
D.

Brunon Miąskowski (1909-1995)

Brunon Miąskowski, znany działacz Polonii gdańskiej, urodził się 22 listopada 1909 r. w Gołubiu na Kaszubach. Od roku 1913 mieszkał w Gdańsku. W latach 1918-1922 uczęszczał do szkoły niemieckiej, tzw. Mittelschule. Po jej ukończeniu wstąpił do powstałego w Wolnym Mieście Gdańsku, polskiego gimnazjum. Po zdaniu matury w 1931 r. przyjął pracę w Radzie Portu w Gdańsku.

Człowiek wielkiej społecznej pasji. Działal w wielu organizacjach, w: Gminie Polskiej Związku Polaków, Towarzystwie Ludowym „Jedność”, Towarzystwie Powstańców i Wojaków, Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, w Związku Harcerstwa Polskiego, w Klubie Sportowym „Gedania”, którego, od założenia w roku 1922 do wybuchu wojny był wiceprezesem. Po wojnie zaś jego prezesem; z przyczyn jednak niezależnych od niego przy końcu 1950 r. zmuszony był ustąpić z zajmowanego stanowiska.

Nakaz aresztowania B. Miąskowskiego przez władze hitlerowskie miasta Gdańska wydany został już 26 sierpnia 39 r. W tym dniu aresztowano Polaków – pracowników Zarządu Rady Portu oraz działaczy Polonii gdańskiej. Szczęśliwie uniknął aresztowania, uprzedzony przez woźnego przed wejściem do budynku Rady. Z jego też pomocą (woźny podstawił drabinę) przeszedł przez mur na teren Generalnego Komisarjatu Rzeczypospolitej Polskiej. Następnego dnia wywieziono go samochodem dyplomatycznym do Gdyni. Z polecenia komisarza miasta Gdyni wyjeżdża do Włodzimierza Lubelskiego, gdzie miał się tworzyć Legion Gdański. Do jego utworzenia jednak



nie doszło. Wstępuje do ZWZ. Na początku 1940 r. wraca na Pomorze, odkomenderowany do pracy w podziemiu. Pod nazwiskiem Brunon Sommerfeld bierze udział w zebraniu organizacyjnym, jest jednym z założycieli „Gryfa Kaszubskiego” (później „Gryf Pomorski”). Z ramienia AK mianowany zostaje komendantem rejonu „Hurtonia”, obejmującego powiaty Starogard, Tczew, Kościerzynę i czasowo Kartuzy. Używał ponadto pseudonimów Edwin, Sokół, Adam, Cegła. Głównym zadaniem „Hurtoni”, poza aktami sabotażu, był wywiad.

Przesuwająca się na zachód Armia Czerwona zrzucała, w celach wywiadowczych, małe oddziały spadochronowe. Na taki oddział natrafia w Borach Tucholskich B. Miąskowski ze swoją grupą. Patrolem dowodziła kobieta w stopniu majora. Wrogi stosunek do AK nie pozwalał dowodzącej patrolem przyjąć ostrzeżenia, że w najbliższej wiosce ciagle są jeszcze Niemcy. Po wysłaniu (na wszelki wypadek) zwiadu, który nie wrócił, towarzysza major uznała wiarygodność ostrzeżenia. Po wojnie aresztowano członków podziemia walczących z Niemcami hitlerowskimi. Aresztowano także B. Miąskowskiego wraz z jego grupą. Załadowani do pociągu towarowego, czekali na odjazd na wschód. Miąskowski, patrząc przez małe okienko wagonu, spostrzegł chodzącą po peronie kobietę w stopniu majora, tę spotkaną w Borach Tucholskich. Usłyszała wołania. Wyprowadziła Miąskowskiego z wagonu i powiedziała, że załatwi jego zwolnienie pod warunkiem, że w czasie rozmowy z dowódcą transportu nie powie, że był członkiem AK. Miąskowski poprosił ją o zwolnienie członków jego grupy, co udało jej się załatwić.

8 kwietnia 1945 r. wrócił B. Miąskowski do swojego, prawie zupełnie zniszczonego, Gdańska. Jak wielu, zostaje w swoim rodzinnym mieście, o którego polskość walczył, aresztowany. Po zwolnieniu z więzienia zatrudnia się w Zarządzie Miasta. Zostaje członkiem komisji weryfikacyjnej byłych obywateli Wolnego Miasta Gdańska i przyległych powiatów byłych Prus Wschodnich. Od 1953 r. do przejścia na emeryturę w 1976 r. pracuje jako kierownik administra-

cyjny Wydział Budownictwa Żelbetonowego w Politechnice Gdańskiej. Jak przed wojną, udziela się społecznie w Związku Zachodnim, Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich, Zrzeszeniu Kaszubskim, Towarzystwie Przyjaciół Gdańska i w Zrzeszeniu Właścicieli Nieruchomości w Gdańsku.

Zmarł 4 sierpnia 1995 r.

Cześć Jego pamięci. **Z. H. Wyszecki**

Pomóżmy

Stowarzyszenie Rodziców i Przyjaciół Dzieci Niewidomych i Słabowidzących „Tęcza” prosi o pomoc dla trzyletniego Rafała Szubela.

Nowotwór zaatakował siatkówkę obu oczu dziecka. Prawe oczko trzeba było usunąć, lewe jeszcze można uratować. Niezbędne jest leczenie w Londynie, u światowej sławy specjalisty w leczeniu nowotworów oczu u dzieci.

Koszt leczenia dziecka wyniesie około 8 tys. funtów. Rodziców Rafała nie stać na całkowite pokrycie kosztów leczenia. Za naszym pośrednictwem odwołują się do ofiarności czytających ten apel.

Do tej pory, za pośrednictwem naszego stowarzyszenia, już 30 dzieci wyjechało na specjalistyczne leczenie do Londynu; w większości przypadków udało się uratować wzrok i powstrzymać rozwój choroby nowotworowej. Pomóżmy i Rafałowi.

Wpłaty prosimy kierować na konto Stowarzyszenia Rodziców i Przyjaciół Dzieci Niewidomych i Słabowidzących „Tęcza” w Warszawie, PKO S.A. VI/O W-wa nr 501161-42002075-2701-110, z dopiskiem: na leczenie Rafała Szubela.

W imieniu rodziców Rafała oraz innych dzieci, którym uratowano wzrok dzięki pomocy wielu wspaniałych ludzi, bardzo serdecznie dziękujemy. Na zawsze pozostanie ona w naszych wdzięcznych sercach. ■

Po raz drugi opatrując nazwiskiem Zbigniew Jankowski tekst „Uczmy się od Tunezji”, nie zaznaczyliśmy, że autorem jest aktor Teatru Miejskiego w Gdyni, prezes Oddziału Gdańskiego ZKP a nie – znany, tworzący od kilkadziesiąt lat poeta Zbigniew Jankowski. Od tej chwili, szanując prawo poety Zbigniewa Jankowskiego, teksty jego imiennika podpisywać będziemy dodatkowym inicjałem.

Przepraszamy.

Red.

informacje regionalne

Audycje kaszubskie

Polskie Radio Gdańsk

Fale 67,85 i 103,7 MHz, niedz., g. 21.30-21.55, „Na bótach ë w borach”

Telewizja Polska

Gdański progr. II i III, niedz., g. 8.45-9.05, „Rodnô zemia”. W audycji co dwa tygodnie w okresie X-VI kurs języka kaszubskiego „Gòdómë po kaszëbsku”

Telewizja Sky Orunia

Kanał 22, druga niedziela miesiąca, g. 17.30-18.00, w audycji „Credo” retransmisja kaszubskiej mszy św. z kaplicy kościoła św. Jana w Gdańsku

Kaszubskie msze święte

Raz w miesiącu

Wygoda, kościół św. Józefa, pierwsza niedziela, g. 9.00, ks. **Bogdan Drozdowski**

Żelistrzewo, kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, jw., g. 17.00, ks. **Zbigniew Kulwikowski** i ks. **Roman Skwiercz**

Gdańsk, Zaulek Świętojański 2, kaplica kościoła św. Jana, druga niedziela, g. 12.00, ks. **Waldemar Naczek**; po mszy spotkanie w Domu Kaszubskim

Rumia, jw. kolejno w kościołach: św. Krzyża (ul. Kościelna 30), g. 12.30 oraz św. Józefa (ul. Podgórna 1), NMP (ul. Świętojańska 1) i św. Jana z Kęt (ul. Stoczniovców 23), g. 14.30, ks. **Stanisław Megier**

Lipusz, kościół św. Michała, czwarta niedziela, g. 15.00, ks. **Władysław Szulist**

Gdynia-Babie Doły, ul. Rybaków 2A, kościół MB Licheńskiej i św. Jerzego, ostatnia niedziela, g. 12.15, ks. **Edmund Skierka**

Kościerzyna, ul. Kościelna 6, kościół Trójcy Świętej, jw., g. 18, ks. prałat **Marian Szczepiński** i ks. **Jacek Dawidowski**

Gdańsk-Przymorze, ul. Zwycięzców 19, kościół NMP, pierwszy wtorek, g. 19.15, ks. **Bogusław Głodowski**; po mszy spotkanie w salce parafialnej

Raz w kwartale

Lębork, ul. Basztowa 8, kościół św. Jakuba, pierwsza niedziela kwartału, g. 15.00, ks. **Franciszek Formela**

Słupsk, ul. Dominikańska 9, kościół św. Jacka, druga niedziela drugiego miesiąca kwartału, g. 14.00, ks. **Franciszek Formela**

Nieregularnie

Goręczyno, kościół Trójcy Św. i Wszystkich Świętych, ks. **Hubert Kitowski**

Kościerzyna, ul. Świętojańska 10, kościół Zmartwychwstania Pańskiego, ks. **Jacek Dawidowski**

Kartuzy, ul. Klasztorna 5, kościół Wniebowzięcia NMP, ks. **Marek Trybowski**

Kielno, kościół św. Wojciecha, ks. **Franciszek Rompa**

Sprzedają „Pomeranię”

Księgarnie

- **Bytów**, ul. Wojska Polskiego 12, „Conrad”
- **Chojnice**, ul. Kościuszki 6, „Wiedza”
- **Gdańsk**, ul. Długa 62-63, „Dom Książki”
 - ul. Dubois 2A, „Bestseller”
 - ul. Grobla II 12-14
 - ul. Korzenna 33-35, „Literatura”
 - ul. Łagiewniki 56, „Ossolineum”
 - ul. Piwna 25-26, „Walter”
 - ul. Podkramarska 5, „W drodze”
 - ul. Wita Stwosza 55, „Literka”
- **Kościerzyna**, Rynek 14, „Dom Książki”
- **Lębork**, ul. Słowackiego 12, „Liber”
- **Łeba**, ul. Kościuszki 69
- **Puck**, pl. Wolności 33, im. Abrahama
- **Sopot**, ul. Kolberga 11, „Paulina”
 - ul. Powst. Warszawy 2-6, „Artystyczna”
- **Wejherowo**, ul. Sobieskiego 260, „Remus”
- **Władysławowo**, ul. Hallera 11, „Amber”

Sklepy i inne placówki

- **Gdańsk**, ul. Długa 45, Agencja IT
 - ul. Szewska 1-4, „Kaszubski”
- **Gdynia**, ul. Morska 95, „Venta”, W. Papierz
- **Jastarnia**, ul. Ks. Stefańskiego 27, „U Justyna”
- **Kościerzyna**, ul. Jeziora 4, „Papier i akcydensy”, J. Dorawa
- **Krokowa**, ul. Wejherowska 3, „Spożywczy”
- **Lipusz**, ul. Młyńska 12, kiosk w Klubie Rolnika
- **Ostrowo**, ul. Zabytkowa 20, „Spożywczy”
- **Puck**, ul. Morskiego Dywizjonu Lotniczego 7, piekarnia, I. Brzózka
- **Wiele**, ul. Dąbrowska 32, kiosk w DK
- **Żukowo**, ul. Gdyńska 52, „Supersam”

Podyplomowe Studium Edukacji Regionalnej i Alternatywnej

Program studium, powołanego przez Senat Uniwersytetu Gdańskiego, przewiduje zajęcia z zakresu edukacji regionalnej i alternatywnej, z przewagą zajęć warsztatowych. Studium trwa dwa semestry. Rozpoczyna się w roku 1995/96. Zajęcia odbywać się będą co dwa tygodnie w Sierakowicach, w piątki wieczorem i soboty rano, z możliwością noclegu.

Studium przeznaczone jest dla nauczycieli z wyższym wykształceniem, oraz dla studentów ostatniego roku kierunków pedagogicznego i nauczycielskiego. Słuchacz w czasie studiów zdaje egzaminy z następujących przedmiotów: edukacja regionalna, pedagogia alternatywna oraz socjolingwistyczne podstawy edukacji regionalnej.

W podaniu, adresowanym do Kierownictwa Studium Edukacji Regionalnej i Alternatywnej Uniwersytetu Gdańskiego, należy uzasadnić wybór tej formy kształcenia (własne doświadczenie edukacyjne, działalność w zakresie edukacji regionalnej, alternatywnej itp.). Do podania należy dołączyć kopię dyplomu, a także zobowiązanie do wpłaty czesnego, które wynosi pięć milionów starych złotych. Podania należy składać na ręce Janiny Kwiecień w Urzędzie Miejskim w Sierakowicach, 83-340, ul. Lęborska 30, w okresie od 1 września do 30 września 1995 roku. Po zakwalifikowaniu uczestnictwa podane zostanie konto wpłaty czesnego za udział w studium. Kierownictwo studium sądzi, iż w opłacie za udział w zajęciach można liczyć na samorządy poszczególnych gmin i na wsparcie oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Zajęcia prowadzić będą pracownicy UG, a także nauczyciele – animatorzy ruchu regionalnego i freinetowskiego.

Informacji szczegółowej o programie udziela Janina Kwiecień w Urzędzie Gminy Sierakowice (tel. centrala: 816-120) oraz sekretariat Instytutu Pedagogiki UG (tel. centrala: 572-047).



FOX - OIL S.C.

80-850 Gdańsk, ul. Rajska 6

Tel. 58/31-94-54, 58/31-28-61, w. 106 i 110
Fax 58/31-94-54 Tlx 0512364

Oferta ciągłej sprzedaży hurtowej:

olej napędowy

etylina 94, etylina 98

benzyna bezołowiowa

w SŁAWNIE, ul. Dworcowa 9
tel. 0-59/10-36-97, fax 0-59/10-30-43

oleje smarne

w SŁUPSKU, ul. Wrocławska 45, tel. 0-59/255-32

Bunkrowanie statków, 24h:

olej napędowy I M.G.O.
olej napędowy II M.D.O.
oleje smarne MARINOL
z GDAŃSKA, ul. Rajska 6

Produkty Rafinerii Gdańskiej S.A.



Przeszłość pięknem znaczone

Długo rozwiązywano ów trudny rebus ikonograficzny, jaki dla badaczy rzeźby krzyżackiej stanowiła dekoracja rzeźbiarska Złotej Bramy w Malborku. Podobnie bowiem do wielu innych dzieł sztuki średniowiecza, także i w tym zamkowym portalu przesłanie teologiczno-moralne wyrażono w języku form, które z upływem czasu stały się już tylko niejasnymi znakami. Jak dalece tamte pierwotne znaczenia po kilku stuleciach były niezrozumiałe, świadczą pytania stawiane w 1823 roku przez J.G.G. Büschinga o treści tego zabytku, a zwłaszcza o reliefy, będące formami hybrydycznymi, łączącymi w sobie elementy ciała ludzkiego z kształtami zwierzęcych: „Cóż mogą oznaczać te postacie? Czy są to wyobrażenia tego, co ludzkie, co niestety, często przemienia się w to, co zwierzęce, kiedy nie prowadzi się czystego i Bogu podobającego się życia? Czy wchodzący winien przed bramą świątyni rzucić te zwierzęce popędy i wejść oczyszczony? Czy to wyobrażenie ma przypomnieć o uwolnieniu się od zmysłowości? Dlaczego jednak unicestwienie tego, co ludzkie dokonuje się na samej postaci? Dlaczego to, co ludzkie nie jest nie skażone i zadowala się zwierzęcym uzupełnieniem? Na te pytania nie decyduje się odpowiedzieć, ale wedle mojego mniemania

SYMBOLIKA ZŁOTEJ BRAMY (II)

większość tych przedstawień jest tylko grą wyobraźni artysty (...). Te przedstawienia na odrzwiach, które znajdują się nad głowami, są zrozumiałe i chrześcijańskie”. Szczegółowy opis portalu opatrzył też Büsching uwagą godną przypomnienia: „To jest bogate w treść przedstawienie, które dotąd nigdy jeszcze nie wystąpiło i które z pewnością zasługuje na badanie”.

Owo przeświadczenie o doniosłości idei zawartych w malborskim portalu oraz zainteresowanie jednego z najdawniejszych autorów piszących o tym krzyżackim zamku, podzieliła też autorka niniejszego tekstu. W monografii tego pięknego i jakże intrygującego zabytku („Złota Brama w Malborku. Apokaliptyczne bestiariusz w rzeźbie

średniowiecznej”, wydanej w 1989 roku przez Muzeum Zamkowe w Malborku) poszukiwała odpowiedzi na te ważne i wnikliwe pytania.

Aby te odpowiedzi poznać, skierujemy uwagę najpierw na postacie Panien Mądrych i Głupich, a więc na te personifikacje, które być może nigdy nie przestały być „zrozumiałe i chrześcijańskie”, albo też których identyfikację i ich utajony sens najłatwiej było rozpoznać na nowo. Zapis św. Mateusza o Pannach Mądrych i Głupich należy do czterdziestu aż ewangelicznych przypowieści, do których odwołał się nauczający Chrystus. Jest jednak interesujące, że w dziełach sztuki chrześcijańskiej odtwarzano cztery zaledwie z owych nowotestamentowych narracji: historię Miłosiernego Samarytanina, opowieść o Bogaczu i Łazarzu, o Synu Marnotrawnym oraz także o Pannach. Przypowieści te zyskały największą popularność, ponieważ należały do najbardziej obrazowych spośród ewangelicznych wątków, odwoływały się też do fundamentalnych idei zapisanych w Biblii.

Owych dziesięć Panien oczekiwać miało u drzwi domu weselnego z zapalonymi lampkami oliwnymi na nadejście oblubieńca, aby z nim pójść na weselne gody. Czekwały na niego tak długo, aż wreszcie zasnęły. W teologicznych rozważaniach ten głęboki sen dziewic pojmowano jako oczekiwanie całych pokoleń ludzkich, które pograżyły się w śnie śmierci, aby obudzić się, kiedy Oblubieniec Chrystus znów im się objawi. A ów czas jego drugiego nadejścia nie był znany, powiadano tylko, że przybędzie „jak błyskawica”, albo „jak złodziej”. I wówczas przebudzone Panny Mądre zbliżą się do Oblubieńca z lampkami płonącymi miłością i zostaną zaproszone na uroczystość zaślubin z nim. Panny Głupie natomiast, które zaniedbały napełnić oliwą swoje lampki, nie będą rozpoznane w ciemnościach, usłyszą głos Oblubieńca: „zaprawdę powiadam nie znam was!” i już na wieki pozostaną za zamkniętą bramą.

Orszak dziesięciu Panien był więc ważnym symbolem, wskazującym na zbawionych i potępionych w dramatycznym momencie podziału na wybra-



Kapitel z motywem syreny wodnej



Figura Eklezji

nych i na bezapelacyjnie odrzuconych. I ten akt dopełnienia sprawiedliwości, choć odtwarzany już wcześniej, począwszy od sztuki starochrześcijańskiej, na stałe jednak wszedł do repertuaru ikonografii sakralnej dopiero w XII wieku. Pozostawało to w związku z dziełem znanym jako *Glossa ordinaria* – jednym z najbardziej rozpowszechnionych tekstów średniowiecznych, zredagowanym w tym właśnie stuleciu przez Anzelma z Laon. W tekście tym Panny przyrównano do Tablicy Dziesięciu Przykazań. Pięć Panien Mądrych oznaczało w nim to, co duchowe, pięć form wewnętrznej kontemplacji, ozdabiających duszę wiernego, zwróconego ku Bogu. Oliwa płonąca w lampkach Panien oznaczała najwyższą z cnót – *Caritas*. W odniesieniu do Panien Głupich natomiast cyfra pięć wskazywała na wszystko to, co cielesne, na uciechy pięciu zmysłów, które sprawiają, że dusza odwraca się od Boga i ulega płomieniom zgubnych namiętności.



Figura Synagogi

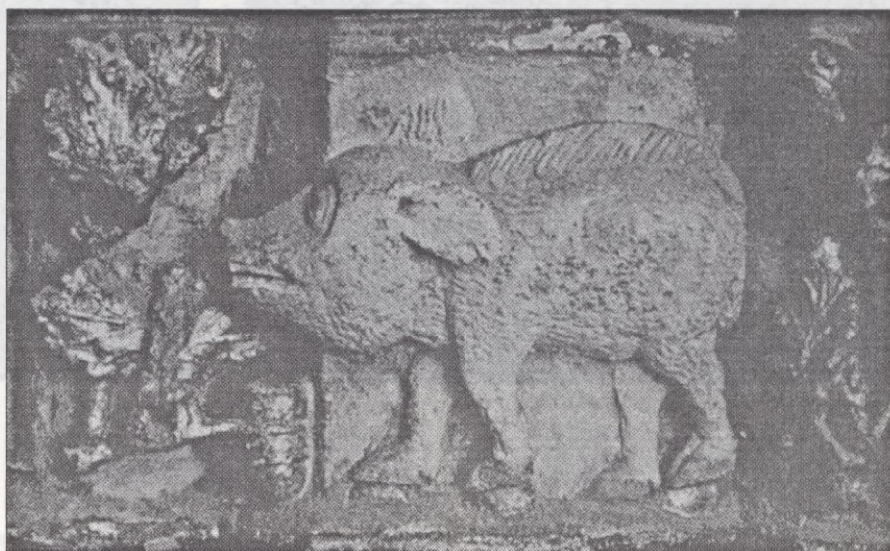
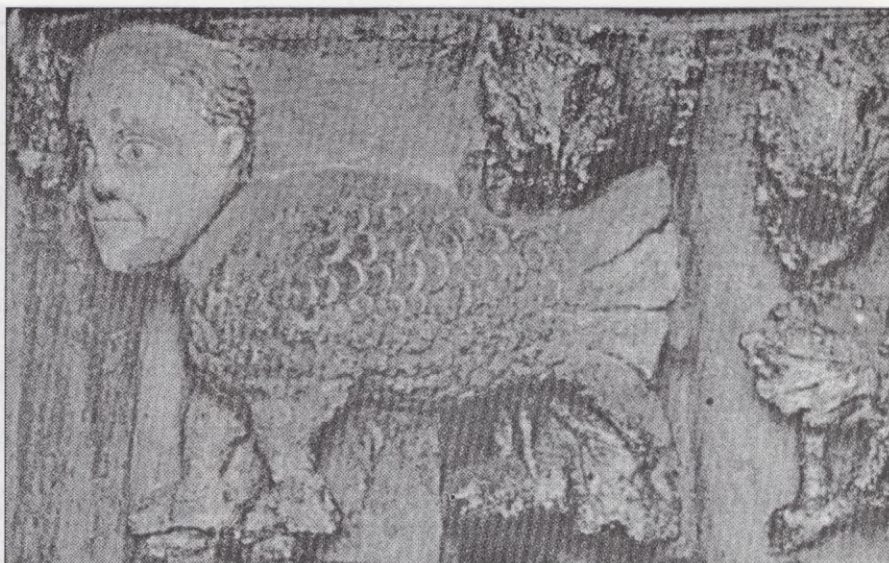
W wewnętrznym łuku archiwolty portalu, powyżej drobnych postaci Panien, ukazano dwie jeszcze, równie niewielkie, figurki niewieście. Po stronie Panien Mądrych „stoi dziewica z laską i w koronie na głowie, po drugiej stronie dziewica ze złamaną laską. Bezspornie łączy się to znów z Pannami Mądrymi i Głupimi – te we wspaniałości, tamte w potępieniu” – jak je Büsching opisywał, choć jeszcze ich nie identyfikował. Obie, przeciwstawione sobie postacie królowych, to personifikacje Kościoła – Oblubienicy Nowego Testamentu i Synagogi – znaku świątyni Starego Testamentu, odsuniętej pierwszej oblubienicy Chrystusa. Owe wyobrażenia dziewcząt i obu wiodących je królowych skojarzono ze sobą na zasadzie przeciwstawienia, ale i analogii. Eklezja i Panny Mądre zostały nagrodzone przez Oblubieńca i poprowadzone na gody do niebiańskich komnat; Synagoga, która nie rozpoznała Chrystusa oraz Panny Głupie nie przekro-

czą już bramy zbawienia. Panny zatem oraz obie ich królewskie przewodniczki wyrażają myśli, prowadzące ku zdarzeniom z końca dziejów, kiedy Chrystus zasiądzie na łuku tęczy obejmującym wszechświat, aby „sądzić żywych i umarłych”. I w tym też momencie ukazano go na owalnym zworniku sklepienia kruchty, który wyrzeźbiono najpewniej już w pierwszej połowie XIV wieku, jako dopowiedzenie idei Sądu Ostatecznego, która zdominowała program treściowy portalu pierwszej kaplicy zamkowej.

Postacie niewieście, wytyczające perspektywę eschatologiczną, nie wyczerpują jednak w pełni treści Złotej Bramy. W bezpośredniej ich bliskości bowiem, oprócz reliefów, odtwarzających opowieść o dwunastoletnim Chrystusie w świątyni, tkwią też motywy zwierzęce, w tym i twory hybrydyczne, osadzone na tle bujnych, liściastych gałązek. Reliefy wyobrażające kształty zwierzęce są zróżnicowane wielkością,

co sugerować może stopniowanie ich znaczenia w programie dekoracji krużchoty. Te o większych rozmiarach wkomponowano w strefie kapiteli kolumn, poniżej stóp Panien. Pojawiły się tu obie znane średniowieczu postacie syreny – syreny ptaka, o antycznym jeszcze rodowodzie, i syreny wodnej, która dopiero koło IX wieku „wypłynęła” u brzegu Wysp Brytyjskich. Jest tu też dzik, centaur, smok oraz niezwykła, dwugłowa hybryda, obecność której stała się punktem wyjścia na drodze do rozpoznania symboliki nie tylko tych fantastycznych istot, przyczajonych w zwierzyńcu Złotej Bramy. Pozostałe hybrydy, już tylko jednogłowe, które tak zafrapowały Büschinga, wkomponowano na wałkach archiwolty, na tle krzewu winorośli po stronie lewej i stylizowanych liści akantu po prawej. W zamknięciu łuku natomiast widać półpostać króla, wyłaniającego się z otworu o kolistym obrysie.

Aby poznać chrześcijańską interpretację zwierząt wyrzeźbionych w Złotej Bramie, w pierwszej kolejności sięgamy po średniowieczne bestiaria, owe, jakże nas dzisiaj pasjonujące i urzekające zarazem, podręczniki historii naturalnej i moralnej. Najstarszy z nich, anonimowego autora, znany jako *Physiologus*, zredagowano w Egipcie albo w Syrii zapewne do 200 roku naszej ery. Obejmował on najpierw czterdzieści osiem rozdziałów, opisujących czterdzieści dwa zwierzęta, dwie rośliny i dwa kamienie szlachetne. Z upływem wieków te przyrodnicze kompendia stale zwiększały swoją objętość i opisywały oraz komentowały już ponad stu przedstawicieli świata fauny, a zawarte tam komentarze przybierały najczęściej formę alegoryczno-moralizującą. W tomikach bestiariów odnajdujemy tylko sześciu reprezentantów zwierzyńca Złotej Bramy. Ich klasyfikacja moralna utrwalała się tam od bardzo dawna i zawsze tylko negatywna. Czasami też to samo zwierzę łączyło w sobie nie jedno, ale nawet kilka pejoratywnych odniesień. Syreny ptaki uosabiały demony śmierci, były potworami, które pożerały nieostryżne, oczarowane ich śpiewem ludzkie stworzenia. W epoce średnio-



U góry: kapitel z motywem syreny-ptaka. U dołu: kapitel z motywem dzika

wieczy syreny w parze z centaurami symbolizowały też heretyków, a ich śpiew, jak wzrok bazylijszka i oddech smoka, stanowił zawsze śmiertelną pułapkę dla człowieka słabego, tonącego w występkach. Centaurom, których natura była „okrutnie dzika”, przypisywano najczęściej wielką agresję i równie wielką pobudliwość zmysłową. Dlatego też centaur wskazywał na grzech nieczystości, tak jak lubieżny kozioł i koza oraz także i dzik, który był też zarazem tą psalmową bestią, która stratiła winnicę Pańską. Z kolei smok, dzik i centaur uosabiały też samego szatana, do orszaku którego należą wszystkie te zwierzęta jako jego *ministri*, jego słudzy, którzy w Złotej Bramie przyoblekli się w kształty zwi-

rzęce. Na wielość tych tak popularnych symboli występku i zła demonicznego nie wyczerpuje się jednak bestiariusz Złotej Bramy. Czają się tutaj bowiem także i istoty mieszane, o kształtach zupełnie niezwykłych, opisów których próżno nam poszukiwać w pisanych zwierzyńcach czasów średniowiecza. W wielkiej mnogości rozpoznajemy je natomiast w dziełach średniowiecznego iluminatorstwa, malarstwa ściennego i sztalugowego. Czy w krzyżackim portalu w Malborku są one „tylko grą wyobraźni artysty” – jak to przypuszczał Büsching – czy też także i one są tutaj utajonymi znakami – rozważać będziemy już w następnym numerze.

Bogna Jakubowska



- centrale telefoniczne
- aparaty dyspozytorskie
- systemowe aparaty telefoniczne

Centrale, które potrafią wszystko, co jest możliwe we współczesnych systemach łączności, a ponadto bezbłędnie współpracują w warunkach specyficznej sieci krajowej z każdą centralą elektroniczną i elektromechaniczną. Wysoki stopień niezawodności, zdalna kontrola, rejestracja 100% rozmów, możliwość pełnej współpracy z siecią komputerową. Dają się łatwo przystosować do specyficznych potrzeb każdego środowiska pracy.

Nie trzeba szukać daleko,
dobre jest w zasięgu ręki.



CYFROWE SYSTEMY TELEKOMUNIKACYJNE

DGT Sp. z o.o. 80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 15, tel. (058) 418091 w. DGT, tel./fax (058) 412553



WSZECHŚWIAT CIESZY